

POGLĄDY DO WYNAJĘCIA
Jak Roman Giertych
został liderem opozycji

POLSKA JEST GALERIĄ
Samopoczucie w cenie:
po co chodzimy na zakupy

CZAS ADWENTU
Boskie źródło
naszego istnienia

PAUL MCCARTNEY
Pyzaty dżentelmen
i jego tytaniczne moce

Kraków 2 grudnia 2018 nr 49 (3621)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Niewydolne państwo panów

Rozmowa z prof. Ewą Łętowską



„Tygodnik” + książka

UDANE POŁĄCZENIE!

Książka ks. Adama Bonieckiego
„Połączenie odebrane”[■]

W PREZENCIE

– dla każdego, kto wykupi

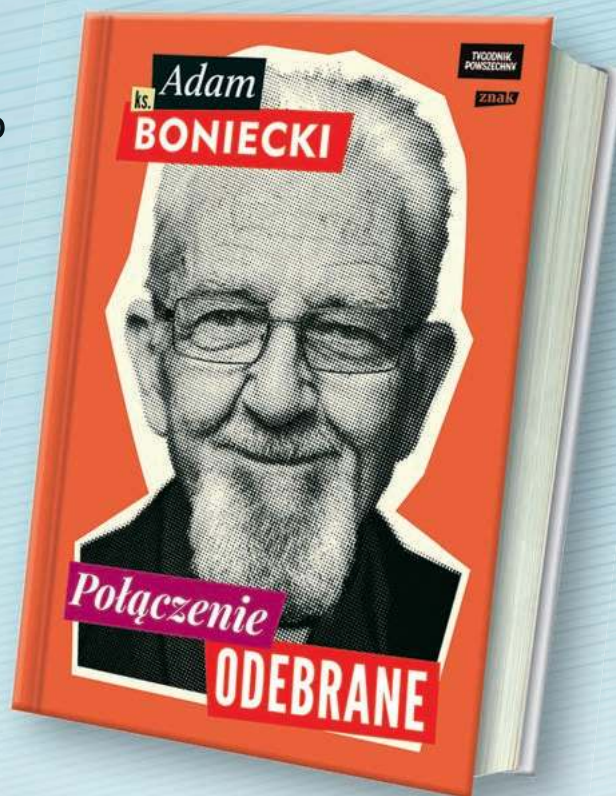
do **10 grudnia 2018**

DOWOLNĄ[■] prenumeratę

„Tygodnika Powszechnego”!

■ „Połączenie odebrane”, rok wydania: 2018, cena katalogowa – 39,90 pln, stron 224. Wysyłka książki będzie realizowana w styczniu 2019 bez dodatkowych opłat.

■ Aby skorzystać z oferty, należy do 10 grudnia 2018 opłacić (wykupić nową lub przedłużyć na kolejny okres) dowolną krajową prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”. Cennik i zasady zakupu prenumeraty opisane są poniżej.



ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia	300 zł	

NOWA OFERTA!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE”
W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	429 zł
Pokolenia + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

KS. ADAM

Boniecki: Miejsce dla wszystkich

GALERIE I TARGOWISKA („BAZARKI”) TO FRAGMENTY naszego zbiorowego portretu. Opowiedz mi o swoim ulubionym miejscu tego typu, a powiem ci, kim jesteś. Zamieszczone w tym numerze artykuły więcej mówią o nas niż o targowiskach i galeriach (patrz zwłaszcza wywiad z socjologiem Tomaszem Szlendakiem).

Jeśli chodzi o Kraków, to w opisach tych przestrzeni zabrakło mi krakowskich kloszardów. Bezdomnych, których związek z obu analizowanymi typami przestrzeni – a dokładniej z Galerią Krakowską i najstarszym tutejszym targowiskiem, Starym Kleparzem – jest szczególny. Dodajmy, że Galeria Krakowska (otwarta w 2006 r.) znajduje się w odległości kilku minut piechotą od Rynku Kleparskiego (targowiska od ponad 650 lat).

Nie sądzę, by galeria była konkurencją dla Kleparza i *vice versa*. Obie te przestrzenie są dla bezdomnych ważne, ale w różny sposób.

Zacznijmy od galerii. Zawsze wysiadują na ławkach ustawionych w jej długich pasażach. Czasem też snują się po obszernych halach wejściowych. W ciepłe dni można ich spotkać także na zewnątrz, przy wejściach do galerii. Najbardziej interesujący są jednak ci, którzy siedzą. Siedzą tam godzinami nie tylko dlatego, że w zimie jest ciepło, a w lecie panuje tam przyjemny chłodek klimatyzacji. Siedzą tam przede wszystkim dlatego, że pobyt w galerii jest dla nich ważnym, upragnionym doznaniem wychodzenia z samotności i nieznosnej izolacji.

Kiedy tak godzinami siedzą w lśniącem i eleganckim otoczeniu neruchomi, anonimowi i milczący, wtedy, chociaż nie mają pieniędzy na zakupy, czują się zrównani ze spieszącymi gdzieś klientami drogich butików, niosącymi firmowe eleganckie torby z zakupami lub popijającymi kawę w przeszklonym lokalu. Jeśli siedzą spokojnie, nikt ich stąd nie przepędza. W końcu galeria jest dla wszystkich.

Iluz z nich, jeśli nie wszyscy, wyczołguje się rano z jakiegoś barłogu swojej samotności, gdzieś na marginesach społeczeństwa, i przychodzi tu przeżyć – iluzoryczną wprawdzie, ale zawsze ja-



kąś – wspólnotę z innymi i bez pytania o pozwolenie być na równych prawach razem z innymi. Rzadko proszą o wsparcie. Widziałem radość w ich oczach, kiedy proszący o parę groszy na jedzenie usłyszą zaproszenie na wspólny posiłek w którymś z galeryjnych barów. Pytanych, co by zjedli, trzeba ośmielać, bo zawsze z jadłospisu wybierają dania najtańsze.

Kloszardzi z Kleparza są inni. Bo Kleparz to miejsce, gdzie ludzie się znają. Nasi kloszardzi z Kleparza egzystują w życzliwym świetle. Imają się doraźnych prac, zatrudniani przez właścicieli sklepików. Wnoszą towar, sprzątają itp. To są doraźne zajęcia, ale podejrzewam, że bezdomni – nawet ci, którzy by mogli pracować – nie szukają stałego zatrudnienia. Wolą popracować tyle, aby przeżyć z tego dzień, dwa, byle się nie wiązać stałym zobowiązaniem. Na Kleparzu, w pobliżu targowiska często się spotyka osoby, które proszą o wsparcie. W niewielkiej odległości od placu targowego spotykamy kilkanaście osób sprzedających rozłożone na chodniku warzywa, owoce, grzyby oraz przedmioty bardzo używane.

Przy rozłożonych na ziemi płachtach stoją, często dość leciwe, kobiety. Przychodzą wcześniej rano, w porze, w której nabywców starych, znoszonych butów, lekko zaśnieżonej paterki, znoszonej kurtki czy damskiej torebki z całą pewnością nie uświadczysz. Na pytanie, po co przychodzą tak wcześnie, nieodmiennie odpowiadają, że w pustym mieszkaniu, w samotności tkwić się im nie chce. Motywacje więc na Kleparzu nie zawsze są natury czysto materialnej. Z tego stania nad „towarem” może czasem wpadnie im parę złotych, na pewno jednak mniej niż starszce proszącej przechodniów o pieniądze na lekarstwo. Ale one nie chcą żebrać, te dzielne starsze panie.

Na Kleparzu, jak pewnie i na innych targowiskach świata, spotykają się jako sobie równe „wszystkie stany”: profesoria uniwersytetu i lud nieuczony, pisarze i analfabeci, ludzie młodzi i emeryci, a wśród nich niżej podpisany. Stąd wiem, że Stary Kleparz jest Krakowowi do zachowania normalności niezbędny. Nic mu na szczęście nie grozi. ©P

TP

Zapraszamy na spotkania z ks. Adamem Bonieckim

WARSZAWA,
środa, 28 listopada,
godz. 18.00
Spotkanie autorskie, promocja
wywiadu rzeki Anny Goc
„Boniecki.

Rozmowy o życiu”.
Miejsce: Muzeum POLIN,

ul. Anielewicza 6. Spotkanie
będzie transmitowane
na żywo w internecie
pod adresem:
powszech.net/polin

BĘDZIN,
środa, 5 grudnia, godz. 17.00

Spotkanie autorskie.
Miejsce: Miejska i Powiatowa
Biblioteka Publiczna
im. S. Żeromskiego,
plac Prof. W. Wójcika 1.

LUBLIN, czwartek, 6 grudnia,
godz. 18.30

Spotkanie autorskie.
Miejsce: Centrum Transferu
Wiedzy KUL, sala 408
(Aleje Racławickie 14).

Kontakt w sprawie spotkań:
kuczminska@tygodnik.com.pl



32 Kiedy prawo ma wąsy
Z PROFESOR EWĄ ŁĘTOWSKĄ ROZMAWIA RAFAŁ WOŚ:
Czy odpowiedzialność za niewydolność państwa w sferze socjalnej powinna być przerzucona według klucza płciowego na kobiety?



36 Zawsze jest pierwszy raz
PIOTR SIKORA
Wchodzimy w okres, w którym zostaniemy skonfrontowani z Bożym Źródłem naszego istnienia. To adwent, czyli oczekiwanie Przyjścia.



46 Zaczekamy jeszcze dzień
MARCIN ŻYŁA Z TANZANII
Nawet setki kilometrów od szpitala w Nyangao podmuch wiatru zapachnie szpitalnymi środkami odkażającymi.

22 Prawdziwy lider opozycji
ANDRZEJ STANKIEWICZ
Gdy zarządzał edukacją za pierwszych rządów PiS, liderzy Platformy wznosili hasła: „Giertych, zostaw nasze dzieci!”. Dziś w obawie przed PiS powierzają mu swe dzieci i samych siebie.



64 Pieprz nie zwietrzał
ROBERT KASPRZYCKI
W pozornie kruchym ciele McCartneya tkwi tytanowy szkielet. Przez nieszczęsną ładną buźkę musi udawać, że nie jest „budyniem z college’u”.



76 Kiedy człowiek znika
ADAM ROBIŃSKI
Uświadomiłem sobie, że mogę narysować padlinę i wylazące z niej larwy i żadne dziecko nie poczuje się zniesmaczone – mówi Tomasz Samojlik, przyrodnik i rysownik.



■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Incydent azowski
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA
/ PIOTR SIKORA

45 Tygodnik Czytelników
Przemoc w pracy – Wasze głosy

■ ■ KRAJ

22 Prawdziwy lider opozycji
ANDRZEJ STANKIEWICZ

26 Marsz po niezadowolonych
RAFAŁ ZYCHAŁ: Czy w kolejnych
wyborach komuś uda się
stworzyć istotną siłę na prawo
od PiS?

29 Czar targu RAFAŁ WOŚ:
Bazary przetrwały wojnę,
komunę, hipermarkety.
Czy teraz padną?

■ ■ Z ODDECHEM

32 Kiedy prawo ma wąsy
ROZMOWA Z EWĄ ŁĘTOWSKĄ

■ ■ WIARA

36 Zawsze jest pierwszy raz
PIOTR SIKORA

40 Hałk na cenzurowanym
TOMASZ MAĆKOWIAK: Kto chce
zamknąć usta znanemu także
w Polsce czeskiemu teologowi?

42 Naprawić świat nogami
BERNADETTE JONDA:
Pielgrzymka, jakiej w Polsce
jeszcze nie było

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■ ■

12 Sklepie nasz
MAREK RABIJ
Niemal 30 lat temu skończyła się
epoka pustych wystaw i pótek.
Między Czarnym Piątkiem
a Mikołajem warto zapytać,
co zrobiliśmy z wolnością
kupowania.

16 Polska jest galerią
ROZMOWA Z TOMASZEM
SZLENDAKIEM:
Im bardziej się bogacimy,
tym bardziej poszukujemy
miejsc, w których możemy się
rozвивać. A jak tu się rozwijać
w galerii handlowej?

■ ■ FELIETONY ■ ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER 44 SZYMON HOŁOWNIA
59 ANDRZEJ STASIUK 63 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCIEWICZ 82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Na okładce: PROF. EWA ŁĘTOWSKA
Fotografia: Sławomir Kamiński / Agencja Gazeta
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

■ ■ ŚWIAT

46 Zaczekamy jeszcze dzień
MARCIN ŻYŁA

50 Palestyńska wojna
bratobójcza DARIUSZ ROSIAK

54 Śmiertelne fake newsy
AGATA KAŹMIERSKA
I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

■ ■ HISTORIA

56 Mroczny czas Prymasa
BARTŁOMIEJ NOSZCZAK:
Czy jesienią 1965 r. kardynał
Wyszynski przeżywał kryzys?

■ ■ NAUKA

60 Sprawa Kępińskiego
MIRA MARCINÓW: Urodzonego
przed stu laty psychiatrę można
czytać jak współczesnego uczonego

■ ■ KULTURA

64 Pieprz nie zwietrzała
ROBERT KASPRZYCKI

68 Teatr jest gdzie indziej
DARIUSZ KOŚCIŃSKI: Europejska
Nagroda Teatralna dla Jana Klaty

72 W świecie zamrożonych
dźwięków DOROTA KOZIŃSKA

74 Test na solidarność ANITA
PIOTROWSKA o filmie „Ajka”

75 Warto zobaczyć w TV

81 Cztery lata w słońcu LEKTOR
o książce „Durrellowie z Korfu”

■ ■ ZMYŚŁ

76 Kiedy człowiek znika
ADAM ROBIŃSKI

KRZYSZTOF WOJCIK / FORUM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➡ Woś się jeży

Polska musi się wreszcie stać krajem dobrej pracy. Bez wyzysku i bez mobbingu. Jeśli się nie uda, to niech ten nasz cud gospodarczy szlag trafi – **RAFAŁ WOŚ** apeluje o pracownicze #MeToo tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➡ Futbol jest okrutny

Oto przyczynek do portretu psychologicznego kibica – jego ulubieńcy rozgrywają najlepszy mecz w sezonie, a on marudzi, jak mają ciężko – **MICHAŁ OKOŃSKI** nie tylko o derbach Londynu okonski.blog.tygodnikpowszechny.pl



Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONASWIATA

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



INCYDENT AZOWSKI

Obok Krymu i Donbasu, wojny informacyjnej i wywiadowczo-dywersyjnej, Rosja otworzyła właśnie nowy front przeciw Ukrainie: na Morzu Azowskim.

WOJCIECH PIĘCIAK

ŚCIŚLEJ RZECZ BIORĄC, FRONT TEN KREML stworzył już dawno temu, a momentem zwrotnym – czyniącym dalszą eskalację i na koniec wybuch poniekąd nieodwracalnymi, jedynie odwleczonymi w czasie skutkami aż do minionego weekendu – było zbudowanie przez Rosjan słynnego mostu przez Cieśninę Kerczeńską. Most ten – otwarty w maju osobiście przez Putina – nie tylko zapewnił połączenie lądowe między Rosją i okupowanym Krymem. Stworzył też pewien drastyczny (dla Ukrainy), ale dotąd ignorowany (przez Zachód) fakt dokonany w basenie Morza Azowskiego – tego, patrząc na mapę, jakby wielkiego jeziora, które z Morzem Czarnym jest połączone właśnie przez Cieśninę Kerczeńską.

Otóż w rękach Rosjan most ten stał się narzędziem, dzięki któremu mogą w każdej chwili (twierdząc, że to ich strefa morska) zamknąć cieśninę i odciąć Morze Azowskie od świata. A wraz z nim – odciąć od świata ukraińskie miasta portowe Mariupol i Biełdzańsk, dla których handel morski stanowi gospodarcze być albo nie być. Oraz uzależnić od własnego widzimisię ruchy ukraińskiej marynarki wojennej, dla której – po utracie Krymu – kluczowymi portami stały się Odessa i Mariupol.

I właśnie coś takiego działo się tu od miesięcy: łamiąc prawo międzynarodowe, Rosjanie wprowadzili coś w rodzaju blokady Morza Azowskiego. Według sobie znanych kryteriów zatrzymywali i kontrolowali statki handlowe

*Protest przed
ambasadą
Rosji w Kijowie
po ataku
na statki
w Cieśninie
Kerczeńskiej,
25 listopada
2018 r.*

przepływające pod mostem, czasem zamykali też cieśninę. Boleśnie uderzyło to w Mariupol i Biediańsk oraz w ogóle w gospodarkę Donbasu (zależną m.in. od eksportu węgla i stali); ruch statków, a wraz z nim handel zmniejszyły się dramatycznie, wzrosło bezrobocie.

Kijów wiele razy prosił o interwencję w sprawie Morza Azowskiego, ale tzw. wspólnota międzynarodowa (w tym Niemcy i Francja, które – jako członkowie patrolującego rozejmowi „formatu normandzkiego” – teoretycznie ponoszą szczególną odpowiedzialność za Ukrainę) ignorowała te prośby. Bo same tylko oświadczenia były tu w istocie równie ignorowaniu.

To, co narastało od dawna, musiało w końcu wybuchnąć: w niedzielę 25 listopada rosyjskie okręty zaatakowały kilka ukraińskich jednostek płynących z Odessy do Mariupola (po wodach, które w myśl prawa są ukraińskie lub międzynarodowe, a nie rosyjskie). Ostrzelane, trzy ukraińskie okręty zostały zdobyte abordażem przez rosyjski specnaz; mowa jest o rannych marynarzach.

Ten akt jawnej agresji – w odróżnieniu od agresji wciąż kamuflowanej, w Donbasie – sprawił, że na chwilę zapachniało otwartą, chciałoby się rzec: klasyczną wojną rosyjsko-ukraińską. Ale choć w chwili, gdy zamykaliśmy ten numer „Tygodnika”, władze ukraińskie rozważały ogłoszenie stanu wojny z Rosją (choć wojna trwa od prawie pięciu lat, *de iure* nie jest wypowiedziana), to równocześnie prezydent Poroszenko wysłał sygnał – w pierwszym rządzie zapewne do zachodnich partnerów – że nie planuje reakcji militarnej. Niemniej, jakoś Poroszenko odpowiedzieć musi. Także w kontekście wyborów prezydenckich (marzec 2019 r.), w których walczy o reelekcję: brak stanowczej reakcji w takiej chwili mógłby oznaczać dla niego polityczne samobójstwo.

Umiedzynarodowienie konfliktu wokół Morza Azowskiego – przez mocne włączenie się Zachodu – byłoby więc także sposobem na uniknięcie eskalacji militarnej. ©P

Więcej na: powszech.net/morze-azowskie

Tekst ukończono w poniedziałek 26 listopada, o godzinie 11.30.

Dziennikarz nie odpowie za dobrą robotę

PAWEŁ BRAVO



OPERATOR TVN NIE BĘDZIE NA RAZIE WZYMANY do tłumaczenia się, że wykonał swoją pracę zgodnie z regułami sztuki. Prokuratura krajowa anulowała decyzję prokuratury niższego szczebla, która zażyczyła sobie przesłuchać Piotra Wacowskiego, chcąc mu postawić zarzut propagowania nazizmu. Rzecz w tym, że brał on udział w osławionych „urodzinach Hitlera” w lesie na Śląsku, które stanowiły część nadanego w styczniu materiału o polskich neonazistach. Podobnie jak dwoje pozostałych autorów reportażu, uprawiał dziennikarstwo wcieleniowe: reporter, aby od środka opisać sytuację w środowisku zamkniętym, czy to z racji ideologii, czy konfliktu z prawem, musi wcielić się w członka danej grupy i zachowywać zgodnie z obyczajami w niej panującymi. W przypadku grup stosujących przemoc, od „po-

prawności” kamuflażu może nieraz zależeć życie i zdrowie dziennikarza.

Komentując niewczesny pomysł prokuratury warto pamiętać, że do dziś tylko jeden ze zdemaskowanych czcicieli Hitlera został ukarany, reszta wciąż czeka na akty oskarżenia. Warto też zauważyć, że ostatnio prokuratura i wierne władzy media próbują odwrócić kota ogonem, nagłaśniając fakt, iż jeden z neonazistów twierdzi, że zorganizował urodziny na prośbę i za pieniądze telewizji. Najbardziej niepojęte jest jednak to, że swoje wezwanie Wacowski dostał dzień po tym, jak amerykańska ambasador przekazywała w Sejmie polskiej władzy napomnienie, iż USA nie będą tolerować ataków na wolne media (w domyśle: szczególnie należące do kapitału amerykańskiego, jak TVN). Na złość mamie władza znów odmraża sobie uszy? ©P

Bezdomni: alarm dla stolicy

CHCĘ URATOWAĆ CZŁOWIEKA. Nie interesuje mnie, skąd on jest – mówi „Tygodnikowi” Adriana Porowska, szefowa Kamilańskiej Misji Pomocy Społecznej, prowadzącej m.in. ośrodek dla bezdomnych mężczyzn w stołecznym Ursusie. „Nie do przyjęcia jest sytuacja, w której nie można przyjąć człowieka tylko dlatego, że miał ostatni stały meldunek w innej części kraju. Jak Wy sobie to wyobrażacie? Że niby zmarzniętego, głodnego (...) odeślemy spod drzwi, bo nie jest miejski albo gminny?” – pytała w apelu do władz siostra Małgorzata Chmielewska.

Chodzi o zmienione przepisy, których uboczne skutki Warszawa może poczuć od

1 grudnia. Wtedy to organizację, na które miasto ceduje zadanie pomocy osobom bezdomnym, wejdą w nowy okres finansowania. I przepisy, zgodnie z którymi schronisko – zanim przyjmie bezdomnego – będzie go musiało wysłać do ośrodka pomocy, by otrzymał „decyzję administracyjną”.

– Do tej pory było tak: przychodził człowiek, a ja go przyjmowałam. Teraz będę go musiała wysłać do ośrodka, by przeszedł długą procedurę. I by usłyszał, że skoro pochodzi z Puław, to niech sobie tam jedzie. Wiele z tych osób żyje w Warszawie od lat, i ma powody, by nie wracać – mówi Porowska.

Warszawa to największe skupisko osób bezdomnych (oficjalnie jest ich tu 3 tys., wedle szacunków organizacji – co najmniej dwukrotnie więcej). ©P PW

Program Prąd+, czyli pomoc publiczna

REKOMPENSATY z tytułu wzrostu cen prądu dostaną wszystkie gospodarstwa domowe – zapowiedział min. energii Krzysztof Tchórzewski. Dostawcy prądu w Polsce to w większości firmy kontrolowane przez Skarb Państwa. Podwyżki są nie do uniknięcia, głównie ze względu na wzrost cen certyfikatów emisji CO₂, które muszą kupować elektrownie. Część z nich musi też wymienić przestarza-

łe bloki energetyczne. Aby wystarczyło pieniędzy na jedno i drugie, ceny prądu muszą wzrosnąć o co najmniej 15 proc. – co w roku wyborczym będzie problemem dla rządu, który zatwierdza cenniki dostawców poprzez podległy mu Urząd Regulacji Energetyki.

Koszt rekompensat sięgnie ok. 4-6 mld zł rocznie. Pieniądze w budżecie zapewne się znajdą, w ostateczności rząd pozyczy nieco więcej. Czy będzie to pomoc publiczna, na którą zgodnie z unijnymi przepisami musiałaby się zgodzić Bruksela?

Formalnie – nie. I o to chodzi.

©P MR

W SKRÓCIE

PORÓWNANIE. Wicepremier i minister kultury Piotr Gliński uważa, że „język, którym mówi się o PiS, ma wykluczać, unicestwiać, ma nas odcztowiewać, delegitymizować, mamy być tak traktowani, jak Żydzi przez Goebbelsa”. „Zalecalibyśmy Panu Premierowi wizytę w Instytucie Pamięci Yad Vashem w Jerozolimie i bliższe zapoznanie się z problematyką” – skomentowała to ostatnie porównanie ambasada Izraela.

PODWÓRKO. Międzynarodowe echa wywołała też postawa polskiej prokuratury w sprawie ubiegłorocznego reportażu śledczego TVN o neonazistach (zob. komentarz Pawła Bravo), na krajowym podwórku natomiast głośna stała się inna aktywność polskich służb: CBA otrzymała z prokuratury nakaz przeszukania siedziby KNF dopiero po tym, jak jej były już szef Marek Chrzanowski zdążył opróżnić biurko (od czasu pierwszej publikacji „Gazety Wyborczej” na temat afery KNF minęło kilkadziesiąt godzin).

KORYTARZ. W gdańskim sądzie tymczasem Lech Wałęsa spotkał się z Jarosławem Kaczyńskim, który pozwał b. prezydenta za stwierdzenie, że podczas ostatniej rozmowy telefonicznej z bratem kazał mu lądować w Smoleńsku. „Po co ja pana ministrem robiłem?” – zapytał Wałęsa. „A ja pana prezydentem...” – odpowiedział Kaczyński pod salą rozpraw, ale po wejściu do środka obaj wykluczyli możliwość zawarcia ugody.

PRZESIADKA. Bynajmniej nieugodowo potraktowano również nowo wybranego radnego Koalicji Obywatelskiej na Śląsku Wojciecha Kałużę, który w zamian za przejście do PiS przyjął posadę wicemarszałka tamtejszego sejmiku. Faktycznie mało chwalebny czyn p. Kałuży internauci komentowali językiem wykluczającym i delegitymizującym, ale przecież do Goebbelsa im daleko.

Unia Europejska znalazła sposób na PiS

ANDRZEJ STANKIEWICZ



PRZEZ PARLAMENT PRZECHODZI EKSPRESOWO siódma już nowelizacja ustawy o Sądzie Najwyższym. Dlaczego PiS wycofuje się z czystki w SN? To chłodna kalkulacja polityczna. Projekt usuwa wszystkie zapisy, które były przedmiotem sporu z Brukselą. Jeśli wejdzie w życie, to główny proces przed Trybunałem Sprawiedliwości UE – ten, w ramach którego Trybunał wstępnie zamroził przepisy dotyczące m.in. odsyłania sędziów w stan spoczynku – straci rację bytu.

Wyrok w tym procesie miał zapaść wiosną, podczas kampanii wyborczej do europarlamentu. Porażka w takim momencie mogłaby się okazać dla PiS zabójcza. Opozycja przygotowuje się, by majowe głosowanie przedstawić jako plebiscyt za lub przeciw obecności Polski w Unii.

Rząd wystąpi także do Rady Europejskiej o częściowe zakończenie kontroli z art. 7 unijnego

traktatu, czyli tzw. procedury praworządności. Procedura nadal będzie trwać, tyle że będzie dotyczyć innych elementów systemu prawnego. Chodzi np. o skrócenie przez PiS kadencji członków Krajowej Rady Sądownictwa. Wiele wskazuje na to, że teraz Bruksela może pójść za ciosem i podważyć przerwanie kadencji poprzedniej KRS.

Wiceprzewodniczący KE Frans Timmermans znalazł skuteczny sposób na polski rząd. Procedura z art. 7 nie jest dla PiS-u wielką przeszkodą, do jej dalszego wdrożenia trzeba bowiem zgody wszystkich państw Unii – a to nierealne. Lecz skarga Komisji do TSUE to co innego. Tam się nie da nic załatwić politycznie; orzeczenia są dość szybkie i mogą być dotkliwe finansowo. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.



TEN PACJENT MA SZCZĘŚCIE: wykluczono, że choruje na gorączkę krwotoczną ebola; trafi do „zwykłego” szpitala w Butembo, we wschodniej części Demokratycznej Republiki Konga. W regionie – gdzie trwa też wojna domowa – wirusem ebola zaraziło się dotąd 341 osób, zmarło 215.

ŻYM ©©

Serwis Airbnb odbiera klucze osadnikom

ZNANA SIEĆ WYNAJMU MIESZKAŃ wycofała oferty żydowskich gospodarzy z Zachodniego Brzegu Jordanu tłumacząc, że choć odcina się od wchodzenia w „historyczne dysputy w regionie”, bierze pod uwagę krytykę. Decyzja dotyczy ok. 200 mieszkań w izraelskich osiedlach (wciąż można korzystać z mieszkań palestyńskich). Palestyńczycy mieli za złe Airbnb, że firma zarabiała tam, skąd wysiedlono ludzi. Do dyspozycji pozostaną wciąż kwatery na okupowanych przez Izrael wzgórzach Golan oraz w żydowskich osiedlach Wschodniej Jerozolimy.

Prawdziwe emocje – furię rządu, osadników i wyborców prawicy – decyzja Airbnb wywołała w Izraelu. Serwisowi zarzucono poddawanie się „antysemickiej nagonce” i dyskryminację. Podjęto próby wejścia na drogę prawną przeciw serwisowi. Miałoby to negatywne skutki: za pośrednictwem serwisu mieszkania wynajmuje 22 tys. gospodarzy; z Airbnb korzysta np. połowa turystów odwiedzających Tel Awiw. Osadnicy liczą na to, że potencjał turystyczny miejsca – wspierany finansowo przez rząd – będzie nadal przyciągał gości. Nie rozumieją jednak decyzji Airbnb. Pytanie, które na łamach prasy zadaje jeden z nich – „Bo czym właściwie różnimy się od Palestyńczyków?” – urasta do symbolu całej debaty. A nawet – sięga głębiej.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET z Tel Awiwu



I zstąpił Bachchan na ziemię

NAZWAĆ GO GWIAZDĄ KINA to nie powiedzieć nic. Amitabh Bachchan, legenda Bollywood, jest nie tylko multimilionerem, znanym producentem filmowym i aktorem, którego sama BBC nazywa najpopularniejszym na świecie. Filmy, w których wystąpił, rzeczywiście zgromadziły najliczniejszą dotąd widownię w dziejach kina. Nic dziwnego, że na subkontynencie indyjskim Bachchan ma status półboga. Gdy kilka lat temu podupadł na zdrowiu, w Indiach ukazywała się specjalna gazeta poświęcona wyłącznie tej tematyce. Gwiazdor, syn znanego poety Harivansha Raia Bachchana, znany jest również z działalności społecznej, w której koncentruje się na walce z pozostałościami systemu kastowego oraz na pomocy najbardziejniejszym.

W ostatnich dniach Indie mówią o nim właśnie w tym kontekście: Amitabh Bachchan spłacił bowiem długi 1398 ubogich farmerów z jego rodzinnego stanu Uttar Pradesh. Aktor wyłożył za nich łącznie ok. 560 tys. dolarów – czyli kwotę, której braku prawdopodobnie nie zauważy, gwiazdor słynie bowiem również z hulastycznego trybu życia, który niejednokrotnie zmuszał go do grania w kilku filmach jednocześnie. Każdy z oddłużonych rolników zawdzięcza mu jednak chwilową zapewne ulgę od kłopotów finansowych. Chwilową, indyjska wieść cierpi bowiem z powodu wysokiego przyrostu naturalnego, na który nakłada się szybko postępująca industrializacja terenów rolnych. Dodatkowy problem stanowi susza w wielu regionach kraju, a wszędzie – rosnące ceny paliw, ziarna siewnego i preparatów ochrony roślin, które pozbawiają rolników środków do życia. Indyjskie biuro statystyczne podaje, że liczba prób samobójczych na terenach wiejskich jest dziś o 144 proc. wyższa niż w miastach. Rokrocznie podnosi tu na siebie rękę ponad 11 tys. osób.

Jeden Amitabh Bachchan nie wystarczy, by trwale rozwiązać ten problem.

©© MAREK RABIJ

10 przykazań Sachsa

REZYGNACJA Z PALIW KOPALNYCH (węgiel, ropy i gazu), przejście ku odnawialnym źródłom energii, ograniczenie spożycia mięsa, zatrzymanie wycinki lasów oraz postawienie w stan oskarżenia firm i państw niestosujących się do tych zasad – to założenia „terapii szokowej”, w której prof. Jeffrey Sachs widzi ostatnią szansę uratowania ludzkości przed samozagładą. Słynny amerykański ekonomista zaprezentował swe postulaty w formie „dziesięciu przykazań” na sympozjum zorganizowanym przez Papieską Akademię Nauk.

Spotkanie uczonych z całego świata (Polskę reprezentowali profesorowie Zbigniew Kundzewicz i Paweł Rowiński), w ramach przygotowań do konferencji klimatycznej w Katowicach, to kolejny dowód troński Watykanu o ochronę środowiska. W ostatnich latach urosła ona do rangi jednego z najważniejszych wyzwań moralnych współczesnego chrześcijanina, choć papieskie nauczanie w tej kwestii (np. encyklika „Laudato si”) wciąż bywa bojkotowane, nawet – co przyznał ostatnio kard. Peter Turkson – przez biskupów i księży.

©© EDWARD AUGUSTYN

Episkopat na poważnie o pedofilii



ARTUR SPORNIAK

PO RAZ PIERWSZY POLSCY BISKUPI SPRÓbowali spojrzeć na pedofilię z perspektywy ofiar. Episkopat ogłosił zapowiadane stanowisko w sprawie wykorzystywania seksualnego osób małoletnich przez niektórych duchownych. Choć język wciąż jest „biskupi” (m.in. mowa o podejmowaniu „wzmocnionych wysiłków”), ton i perspektywa, z której stanowisko zostało sformułowane, są nowe. Biskupi nazywają rzeczy po imieniu. Mówią o wyjątkowo ciężkim grzechu i o przestępstwie, które naznacza życie ofiar głębokim cierpieniem. Nie pomniejszają problemu twierdzeniami, że pedofilia zdarza się nie tylko w Kościele. Przepraszają „za wszystkie krzywdy wyrządzone dzieciom i ludziom młodym”. Słowami Franciszka mówią, że krzywda „przez długi czas

była ignorowana, ukrywana lub wyciszana”. Doceniają także odwagę ofiar, które zdecydowały się ujawnić swoją krzywdę. Ponadto wyliczają podjęte w Kościele inicjatywy. W twardych słowach zwracają się do sprawców. Czy to reakcja wystarczająca?

Słychać głosy, że pokrzywdzeni mają już dość przeprosin, chcą konkretów, np. niezależnej komisji z dostępem do kościelnych archiwów.

W przypadku przestępstwa pedofilii nigdy nie można stwierdzić, że zrobiono wystarczająco dużo. A co do postulatów, warto docenić to, co już udało się dokonać, i wysuwać takie, które będą realistyczne. Zauważmy np., że prokuratura ma uprawnienia, by wejść do kościelnych archiwów – jest wątpliwe, by doraźnej komisji było łatwiej. ©©

Bez miecza

NOWY WIELKI MISTRZ Zakonu Krzyżackiego ks. Frank Bayard przyjął tzw. benedykcję opata z rąk kard. Christopha Schönborna w wiedeńskiej katedrze św. Szczepana. Dzieje Zakonu sięgają krucjat; w XIII w. powstało państwo potęgę skruszyli dopiero Jagiellonowie. Od XVI w. Krzyżacy przeszli liczne reformy; współcześnie prowadzą parafie, szpitale, domy spokojnej starości

i szkoły. „Zaangażowanie w tworzenie Królestwa Chrystusowego nie polega już na właściwej dla wcześniejszych czasów walce mieczem” – tłumaczy. Zakon liczy ok. tysiąca osób, w tym stu braci, dwieście siostr, pozostali to tzw. familianci. Krzyżacy chodzą w sutannach z pasem, nakrywając je białymi płaszczkami z czarnym krzyżem. Nowy Wielki Mistrz ks. Bayard (ur. 1971) studiował bankowość, teologię, historię i zarządzanie ochroną zdrowia.

©© MACIEJ MÜLLER

W SKRÓCIE

SPOTKANIE. Ofiary pedofilii pomogą przygotować spotkanie papieża z przewodniczącymi episkopatów w sprawie ochrony małoletnich, które odbędzie się w Watykanie w lutym – ujawnił rzecznik Watykanu, Greg Burke. Franciszek mianował już komitet organizacyjny. W jego skład weszli: kard. Blase J. Cupich z Chicago; kard. Oswald Gracias z Bombaju; abp Charles Scicluna z Kongregacji Nauki Wiary i ekspert Papieskiej Komisji ds. Ochrony Małoletnich – jezuita ks. Hans Zollner.

KADISZ ZA POLSKĄ MNISZKĘ.

„Musimy czcić pamięć o tych szczególnie ludzich. Cecylia należy do tej grupy:

najlepszych w ludzkości” – napisał o zmarłej polskiej 110-letniej zakonniczce rabin Meir Azari na swoim profilu FB. Rabin (prywatnie mąż ambasadora Izraela w Polsce) odmówił za dominikankę kadisz podczas wieczornej modlitwy szabatowej w synagodze Bet Daniel w Tel Awiwie. W czasie wojny siostra Cecylia Roszak wraz z innymi dominikankami w Wilnie ukrywała Żydów.

ZBIÓRKA NA CIEKAWY PROJEKTY. Wystartował portal crowdfundingowy Katolik-Wspiera.pl. Na nowej platformie twórcy mogą przedstawić swoje pomysły w takich kategoriach jak: projekty i inicjatywy ewangelizacyjne, internetowe, parafialne, misje, pomoc ubogim i bezdomnym, wspólnoty katolickie czy wydarzenia.



KAROLINA PRZEWROCKA-

-ADERET będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę 28 listopada o godz. 15.00. 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

Grand Prix powrotu

ROBERT KUBICA wraca na tory Formuły 1 po ośmioletniej przerwie jako kierowca Williamsa – i można by pewnie przy tej okazji zauważyć, że nie byłoby to możliwe bez wsparcia (nieoficjalnie mówi się o 50 mln złotych), jakie tej stajni udziela Orlen, a wsparcie to z kolei można wiązać z wypłynięciem taśmy z nagraniem, na którym ówczesny prezes BZ WBK Mateusz Morawiecki szydził z wypadku polskiego kierowcy. Można też studiować emocje: Williams był w tym sezonie zdecydowanie najsłabszym zespołem i trudno się spodziewać, że sam talent Kubicy wystarczy do zniwelowania technologicznych barier, dzielących jego bolid od najlepszych. Można by w końcu zdumiewać się popularnością w Polsce dyscypliny, którą uprawia – popularnością naprawdę gigantyczną, warunkowaną wszakże tym, że w rywalizacji bierze udział „nasz Robert”.

Wszystko to jednak powinno zejść na drugi plan w zestawieniu z jedną z najbardziej niezwykłych w dziejach współczesnego sportu historii o powrocie. Od dnia wypadku na trasie liguryjskiego rajdu Kubica przeszedł dziesiątki operacji, a jego rehabilitacja trwała długie miesiące. Pełnej sprawności nie odzyska nigdy, utyka, inaczej niż kiedyś (głównie za pomocą w pełni sprawnej lewej ręki) prowadzi samochód.

W swoim nowym bolidzie nie wygra wyścigu, ba: nawet o punkty za dalsze miejsca będzie mu trudno, emocje kibiców z czasem osłabną, a co zrobią za rok sponsorzy, nie sposób przewidzieć (Rosjanin Sierotkin, któremu miejsce w Williamsie również kupili krajowi mecenasi, właśnie został bezrobotnym) – ten moment jednak wypada odnotować poza rubrykami sportowymi, a potem motywować się nim i samemu inspirować w chwilach wątpliwości.

© P MICHAŁ OKOŃSKI

Francja zwraca kolekcję afrykańskich dzieł sztuki

MONIKA OCHĘDOWSKA



JEŚLI PAŃSTWA AFRYKI O TO POPROSZĄ, FRANCUSKIE muzea powinny zwrócić eksponaty, którymi dysponują – czytamy w raporcie przygotowanym na zlecenie prezydenta Francji. Aż 90 proc. dzieł sztuki afrykańskiej znajduje się obecnie poza kontynentem. Większość z tych, które posiada Francja (98 tys. obiektów), tworzy ekspozycję paryskiego Musée du quai Branly. Prezydent Emmanuel Macron zareagował na raport szybko – już zdecydował, że pierwsze 26 eksponatów zostanie „niezwłocznie” zwróconych do Beninu, jednego z trzech państw (obok Mali i Kamerunu), które od lat zabiegają o dzieła zrabowane przez Europejczyków w okresie gwałtownej ekspansji kolonialnej.

Francja inwestuje w relacje z Afryką Zachodnią w wielu wymiarach. Kiedy w listopadzie 2017 r. w Wagadugu, stolicy Burkina Faso, Macron obiecywał, że „w ciągu pięciu lat powstaną warunki dla zwrotów afrykańskiej spuścizny”, pierwszą operację przeciwko islamskim ekstremistom w regionie przeprowadzały wspierane przez Paryż oddziały G5 Sahel. Niedługo później francuski koncern Total zainwestował tu w największą w Afryce elektrownię słoneczną, zasilającą kopalnię złota. Zainicjowany przez Macrona program restytucyjny wywrze presję na politykę innych państw, w tym Niemiec czy Wielkiej Brytanii, posiadających w swoich zbiorach afrykańskie dzieła sztuki. © P

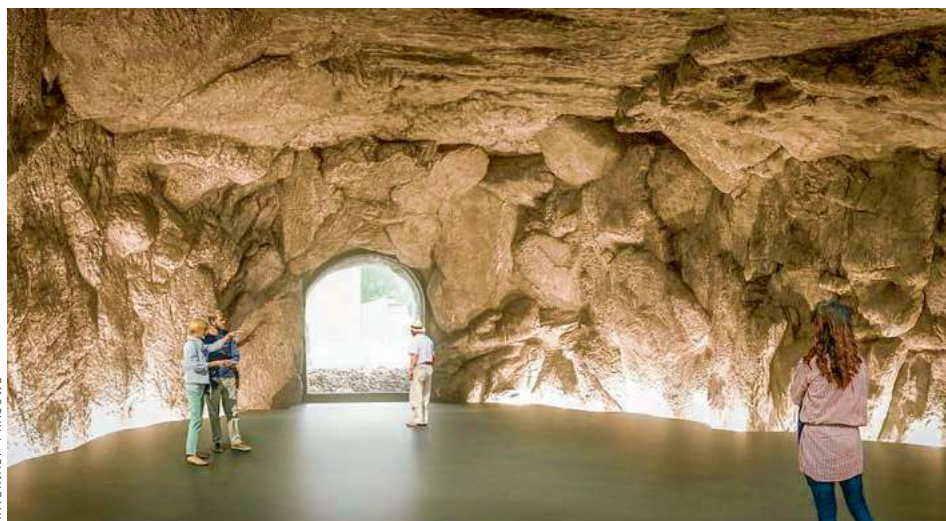
Sardyńki odpyływają w zimną dal

„ADDIO, POMIDORY” – śpiewał ongiś Wiesław Michnikowski. Portugalia w nucie fado śpiewa właśnie: „adeus sardinhas”, bo z powodu zmian klimatycznych gwałtownie kurczy się populacja sardynek u wybrzeży kraju.

Mała rybka, przyrządzana w portugalskiej kuchni na dziesiątki sposobów, jest jednym z jej kulinarnych symboli. Co roku w czerw-

cu, podczas festiwalu św. Antoniego, w portugalskich ustach znika statystycznie 13 sardynek na sekundę! Naukowcy alarmują jednak, że w przybrzeżnej strefie Atlantyku populacja rybek maleje od ponad dekady z powodu ocieplenia oceanu. Ławice przenoszą się w zimniejsze i lepiej natlenione rejony, poza zasięgiem małych kutrów używanych przez lokalnych rybaków. Ocieplenie klimatu zaburza w ten sposób nie tylko równowagę środowiska, ale też zmienia gospodarkę, zwyczaje i kulturę.

© P MR



A mogło być w Polsce...

TO JUŻ PEWNE: 2 stycznia nastąpi otwarcie założonego przez Grażynę Kulczyk Muzeum Susch. Wcześniej próbowała stworzyć swoje muzeum w Poznaniu lub w Warszawie. Powstało w Szwajcarii, w niewielkiej wiosce Susch, położonej w regionie Engadyny, niedaleko Davos, na terenie dawnego XII-wiecznego klasztoru. W jego zabudowaniach – byłej plebanii, hospicjum i budynkach gospodarczych, w tym w browarze z XIX w., zaadaptowanych i rozbudowanych wg projektu szwajcarskich

architektów Chaspera Schmidlina i Lukasa Voellmy'ego – przygotowano liczącą 1500 m² przestrzeń wystawienniczą. Ma być w niej prezentowana – w kontekście sztuki zachodniej – twórczość Europy Środkowo-Wschodniej oraz sztuka kobiet. Muzeum ma też, jak podkreśla jego założycielka, promować Polskę za granicą. Jego działalność zainauguruje przygotowana przez Kasię Redzisz, główną kuratorkę galerii Tate Liverpool, wystawa „Kobieta patrząca na mężczyzn patrzących na kobiety” z dziełami ponad 30 artystów, m.in. Mirosława Bałki, Louise Bourgeois, Lucio Fontany, Evy Hesse i Aliny Szapocznikow. © P PM

Jak one to robią?

U PEWNEJ GRUPY zamieszkujących jaskinie latających owadów, należącej do rzędu psotników, samice posiadają organy płciowe przypominające penisy. Chodzi o dwa rodzaje, znane pod łacińskimi nazwami: *Afrotrigla* (z południowej Afryki) i *Neotrigla* (z Ameryki Południowej).

Najbardziej rozwinięte żeńskie „penisy” występują u samic (czyli osobników składających jaja) *Neotrigla*. Używają ich do pochwycenia samców, wyposażonych z kolei w otwory przypominające waginy. Podczas seksu, trwającego u różnych gatunków *Neotrigla* nawet 70 godzin, z samczych „wagin” spływają potężne ilości plemników oraz substancji odżywczych. Biernie samce *Neotrigla* pozbawione są także typowych dla psotników „chwyteków”, pozwalających na unieruchomienie samicy podczas stosunku. W tym rodzaju to samice całkowicie przejęły inicjatywę.

U samic *Afrotrigla* też występują „penisy”, ale dużo prostsze, pozbawione funkcji chwytania. Co ciekawe, *Afrotrigla* to rodzaj blisko



spokrewniony z rodzajem *Sensitibilla*, występującym w tym samym regionie, u którego nie spotkamy jednak żeńskich „penisów”. Kazunori Yoshizawa, którego zespół kilka lat temu opisał życie płciowe tych owadów, tym razem przebadł ich geny, by rozstrzygnąć, czy u *Sensitibilla* doszło do redukcji żeńskich „penisów”, czy też wyewoluowały niezależnie u *Afrotrigla* i *Neotrigla*. Wyniki wspierają tę drugą hipotezę. Nie jest jednak do końca jasne, jakie presje selekcyjne pokierowały tak nietypową w świecie zwierząt ewolucją narządów płciowych u obu rodzajów. © P ŁK

W SKRÓCIE

ZAWRACANIE GITARY. „Czy mógłby Pan pomóc w przekazaniu przesłania pełnego współczucia dla zwierząt, ustanawiając 21 listopada – dzień urodzin Isaaca Singera – jego oficjalnym świętem?” – napisał Paul McCartney w liście do Pawła Kukiza, znanego młośnika polowań.

PRZECIĄGANIE STRUNY. Słynnemu wiolonczeliście podczas odprawy na Okęciu odebrano zapasowy zestaw strun, uznając je za narzędzie zagrażające współpasażerom. Amit Peled był solistą koncertu otwierającego festiwal celebrujący 85. urodziny Krzysztofa Pendereckiego. Podczas tamtego wieczoru nikt nie ucierpiął.

POŁYKANIE KSIĄŻEK. Gdy pracownicy warszawskiego lotniska unieszkodliwiali wiolonczelistę, rosyjscy celnicy przeglądali zamawiane w internecie książki. Rosyjskiej granicy nie mogą przekroczyć publikacje, które „propagują pewne poglądy”, stanowią „zagrożenie dla moralności” oraz „godzą w interesy gospodarcze Federacji”.

ROBIENIE KOŁO PIÓRA. Zagrożeniem dla moralności była prezentowana w olsztyńskiej Galerii Dobro wystawa grupy Zbiorowy. Na wernisażu okazało się, że namalowany na jednej z prac orzeł posiada fallusa. Postowie i radni PiS nie kryli oburzenia. Prokuratura Rejonowa Olsztyn-Południe wszczęła w tej sprawie śledztwo.

HOKUS-POKUS. Żołnierze wyklęci mają już swoją kładkę w Ostrołęce. Obiekt liczy 50 metrów długości, waży 50 ton i umożliwia przejście na drugą stronę ulicy z pomocą windy.

HOCKI-KLOCKI. Na pierwotnej warstwie farby i werniksu „Studium głowy i złożonych rąk młodego mężczyzny na przykładzie modlącego się Chrystusa” Rembrandta znaleziono dwa odciski palców. Dzieło zostanie zlicytowane 5 grudnia w Londynie. Dom aukcyjny Sotheby's przekonuje, że odciski „niemal na pewno” należą do artysty. Na szczęście nie zachowały się żadne inne odciski palców mistrza, które można byłoby porównać z tymi na obrazie.

SKLEPIE NASZ

Niemal 30 lat temu skończyła się epoka pustych wystaw i półek.
Między Czarnym Piątkiem a Mikołajem warto zapytać,
co zrobiliśmy z wolnością kupowania.

MAREK RABIJ

WKANTORKU LALI NA SUFICIE NIE MA spryskiwacza, który co trzy kwadranse ostrzykuje powietrze aromatem lawendy lub sosnowego igliwia. Tu pachnie chemikaliami i mokrą szmatą. Jest pomalowana na niebiesko szafa na ubrania, apteczka, podłużny zlew z nierdzewki, a na przeciwko – stół i trzy krzesła. Na szafie stoi radio, z rzadka włączane, bo po tylu godzinach słuchania muzyki, która wszędzie tutaj leci z głośników pod sufitem, nikt nie ma ochoty na więcej.

Na drzwiach pokoiku do niedawna wisiał napis: „personel sprząający”, ale ktoś go zerwał i nowego już nie zrobili. Gdy trzeba zamieść rozbite butelki z piwem w hipermarkecie albo liście, napędzone przez wiatr głównym wejściem, „personel sprząający” i tak wzywają przecież przez galeryjny radiowęzeł.

Lala ma 44 lata, a od prawie trzech sprząta w jednym z centrów handlowych na Dolnym Śląsku, czynnym od 9 do 21. Bez względu na dzień tygodnia pierwsi klienci pojawiają się zazwyczaj z otwarciem drzwi, co Lalę niepomnie dziwi, bo to przecież pora, o której wszyscy są w pracy, a przynajmniej być powinni. Z innych zdziwień wymieniałaby ceny szwajcarskich zegarków na wystawie salonu jubilerskiego z pierwszego piętra, siaty z zakupami notorycznie zostawiane przez klientów na podziemnym parkingu oraz paragon z miejscowej perfumerii na prawie 4,5 tys. zł, który jakiś czas temu zna-

lazła na posadzce. Na co komu perfumy i kremy za tyle pieniędzy?

– Ale tu w ludzi wariactwo wstępuje, zwłaszcza w soboty przed dużym świętem. Wtedy się wydaje, że się całe miasto zeszło – zauważa. – Najgorzej jest w męskich toaletach. Tak się spieszą na te zakupy, że nie potrafią wcelować.

Centrum handlowe, które Lala sprząta (na stałej umowie o pracę i ze stawką godzinową nieco powyżej urzędowej minimalnej), to jeden z blisko pięciuset tego typu obiektów rozsianych po Polsce, już nie tylko tej wielkomiejskiej. Łączna powierzchnia handlowa do wynajęcia w czerwcu przekroczyła w nich 11,7 mln metrów kwadratowych, a do końca przyszłego roku powinna urosnąć jeszcze o ok. 460 tys. metrów – czyli łącznie do powierzchni porównywalnej już z całym województwem śląskim.

Utożsamienie wzrostu liczby centrów handlowych z ich niesłabnącą popularnością będzie jednak błędem. Przeciwnie: coraz więcej wskazuje na to, że wielka galeria sklepowa, zwłaszcza na skraju miasta, z wolna, ale systematycznie przestaje być ulubionym celem zakupowych pielgrzymek – i to nie tylko Polaków. Jak szacują analitycy firmy Cushman & Wakefield, powierzchnia handlowa europejskich centrów handlowych oddanych do użytku w zeszłym roku zmalała aż o 23 proc. w porównaniu z rokiem 2016. Z najświeższych danych Retail Institute

wynika z kolei, że w okresie od 1 stycznia do 20 maja br. liczba Polaków, którzy odwiedzili galerię handlową lub centrum wyprzedażowe, spadła w porównaniu z tym samym okresem rok wcześniej aż o 3,14 mln, czyli o 2,6 proc. Od marca, gdy w życie weszły przepisy stopniowo ograniczające handel w niedziele, odpływ klientów z centrów handlowych wzrósł do 4,3 proc. – ale spadku zainteresowania zakupami w galeriach nie da się wytłumaczyć wyłącznie nowymi przepisami.

Kupowanie po polsku – jak pokażemy dalej – ulega dziś szybkim zmianom zarówno w formie, jak i w zawartości koszyka. Jedno tylko pozostaje aktualne bez względu na wektor wskaźników bezrobocia i tempo inflacji: po 30 latach od uwolnienia się od pustych półek nadal uwielbiamy zakupy.

Niedziela dłuższa o poniedziałek

Każdy z nas – jak wynika z danych firmy badawczej Nielsen – odwiedza przecież jakiś sklep statystycznie 360 razy w roku, blisko trzy razy częściej od przeciętnego Brytyjczyka (138 wizyt) oraz zauważalnie częściej od znacznie zamożniejszych Niemców (229). Każdego miesiąca bywamy przynajmniej 13 razy w dyskoncie, do tego dochodzi ok. 14 wizyt w piekarni i 12 w tradycyjnym sklepie spożywczym. Bilans uzupełnia nie więcej niż 10 wypraw do super- i hipermarketu, drogerii, ➔



→ kiosku, warzywniaka lub sklepu specjalistycznego.

Najważniejszym dniem handlowego tygodnia pozostaje czwartek, choć zsumowane utargi sklepów z sobót i niedziel dają ostatecznie pierwszeństwo weekendowi. A raczej dawały, do czasu wprowadzenia zakazu handlu w niedzielę, który w tym roku wyciął z roboczego kalendarza sklepów 21 dni, a w przyszłym pozwoli otwierać się jedynie w ostatnie niedziele każdego miesiąca. Handlowy rok tym samym skróci się o niemal miesiąc i sprzedawcy z pewnością odczują to w kieszeni (już tegoroczne prognozy mówią o wyhamowaniu dynamiki wzrostu polskiego handlu detalicznego do 4,5 proc., w porównaniu z 4,8 proc. rok wcześniej).

Pytanie, jak długo? I czy zakaz niedzielnego handlowania faktycznie pomaga małym rodzinnym sklepom, kosztem wielkich sieci, do kieszeni których wpada obecnie już 71,5 z każdych 100 zł wydawanych nad Wisłą na zakupy detaliczne?

– Żeby na siódmą rano dowieźć towar do naszych sklepów, muszę wstać o trzeciej, a latem nawet o drugiej – mówi Waldemar Kołczak. – Oszczędzam, na czym mogę, a dostawy przez przedstawicieli

Z jednej strony kupujemy produkty o coraz lepszej relacji ceny do jakości i w bardziej dogodny sposób – z drugiej jednak czynimy to kompulsywnie, dla samej radości z zakupów.

handlowych kosztują, dlatego zrezygnowałem. I widzę, że coraz więcej kolegów z branży też samemu wozi towar z hurtowni.

Kołczak wraz z rodziną prowadzi w Kielcach dwa sklepy spożywcze, obok których wiosną i latem stawia jeszcze sezonowe warzywniaki. Ten większy, ponaddwustumetrowy, mieści się na jednym z wielkopłytowych osiedli z lat 70. ubiegłego wieku, dziś zamieszkiwanym głównie przez osoby starsze. Mniejszy liczy niecałe 60 metrów kw. powierzchni i działa w jednej z nowszych i modniejszych dziel-

nic miasta, zamieszkiwanej głównie przez młode rodziny. Personel: 10 osób. Zyski?

– Nie ma o czym mówić – przekonuje właściciel. – Od lat nie wymieniam ład chłodniczych i innych maszyn, bo mnie nie stać. Bywają miesiące, gdy pieniędzy z trudem starcza na wypłaty. Jest coraz gorzej. Jeśli rząd nie zmieni polityki wobec małych sklepów, najpóźniej za pięć lat będzie po nas.

Teoretycznie, przyznaje Kołczak, taką zmianą był właśnie zakaz handlu w niedzielę: – Rzeczywiście: przed niedzielą nie-handlową mam wzrost utargu nawet o 10-15 proc. – wylicza. – Tyle że poniedziałki są potem praktycznie martwe, bo ludzie nakupili na zapas i zjadają, co im zostało.

W efekcie, zdaniem kieleckiego handlowca, na zakazie handlu w niedzielę najwięcej zyskały dyskonty, które w soboty trzeszczą w szwach od kupujących. – Może bardzo mały sklep, prowadzony wyłącznie przez właścicieli, jest w stanie odczuć poprawę. Ja już jestem na to za duży, z synem i żoną nie będziemy przecież w stanie obsłużyć dwustumetrowego sklepu, a personelowi muszę dać wolne. W efekcie to, co zyskam w piątek i sobotę przed niedzielą bez handlu, tracę w poniedziałek.

Literatura na zakupach

PROF. PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI, krytyk literacki, autor książki „Polska do wymiany. Późna nowoczesność i nasze wielkie narracje”:

KAPITALIZM, KONSUMPCJA, towary, kupowanie to dla literatury obszar eksperymentu, poznania i moralnego zobowiązania. Dlatego spotkanie literatury z konsumpcją zaczęło się od satyrycznego opowiadania „Homo polonicus” Marka Nowakowskiego – ostrego ataku na polską „biznesklas”, która kupuje sobie znaki tożsamości i odwraca się od reszty społeczeństwa. Potem – w drugiej połowie lat 90. – prozaicy nie przestawali znęcać się nad nuworyskami, ale coraz więcej miejsca przyznawali ludziorom ubogim. Znajdziemy ich

w debiutanckich reportażach Mariusza Szczygła, w prozie Sławomira Shutego, Mariusza Sieniewicza, Sylwii Chutnik, a także – już w pierwszej dekadzie XXI w. – w dramatach Masłowskiej „Dwoje biednych Rumunów” oraz „Między nami dobrze jest”. Cała energia postaci przedstawionych przez Masłowską wiąże się z zabieganiem o normalność. Ubodzy aspirują do tego, co rzekomo jest dostępne dla wszystkich – do zwykłych towarów, zwykłej pracy i przeciętnej płacy, normalnych wakacji. Ponieważ nie jest im to dane, muszą skonstruować

język, który będzie pomagał w udawaniu, że niedobór jest wyborem. Czyli niedojadanie, brak pieniędzy na elementarne sprawy, kolejne letnie miesiące bez wakacji muszą zostać przetłumaczone na nowy język i wyrażone w zdaniu: „a my w tym roku znowu sobie nie pojedziemy nad morze”. Te operacje językowe pozwalają zrozumieć, że najdotkliwszą cechą biedy czy nędzy jest upokorzenie. W drugiej dekadzie XXI w. dyskryminujące działanie biedy słabnie. W to miejsce wchodzi segregacja związana z zasobami pieniężnymi. Podziały powstają i są rozpoznawane już przez dzieci i młodzież – w szkole podstawowej i gimnazjum. Segregacja tworzy się w związku z ubiorem, miejscem zamieszkania,

zajęciami pozaszkolnymi, typami rozrywek, odwiedzanymi sklepami. Odkrywczo przedstawiła to Anna Cieplak w debiutanckiej powieści „Ma być czysto”. A eksperyment poznawania i komplikowania spraw związanych z konsumpcją domknąć można zbiorem reportaży Konrada Oprzędka „Polak sprzeda zmysły”. Na pozór książka mówi o tym, że kapitalizm zmusza ludzi do desperacji: Polak przyparty do ściany sprzeda zmysły. W istocie reportaże Oprzędka przedstawiają kapitalizm jako siłę wyzwalamą i zniewalającą. Kapitalizm – co przedstawia autor – wsparł na przykład emancypację kobiet, ale w inny sposób także je spętał. Wolność kupowania pozostaje wolnością w ryzach rynkowych. ©

Pod jednym dachem

Z szerszej, ogólnopolskiej perspektywy sytuacja wygląda identycznie: brak na razie jednoznacznych dowodów na to, by zakaz handlu w niedzielę choćby szczerkawo wspomógł drobny handel. Prognozy wskazują, że dużym sieciom uda się w tym roku nawet zwiększyć udziały w rynku o kolejne 1,8 punktu procentowego. Z głośnych, wielkich i męczących centrów handlowych na peryferiach, gdzie trudno dojechać, klienci przenoszą się wprawdzie do obiektów handlowych bliżej miejsca zamieszkania, ale wcale nie są to spożywcza prowadzone przez sąsiadów.

Wygrani są gdzie indziej. Stacje benzynowe, a więc branża również zdominowana przez duże korporacje, od marca do czerwca br. zwiększyły sprzedaż produktów spożywczych o blisko 30 proc. w porównaniu z rokiem 2017. Świetnie radzą sobie wspomniane dyskonty, mniejsi bracia hipermarketów, ulokowane zazwyczaj dogodnie pośrodku dużych osiedli i obowiązkowo z bezpłatnym parkingiem.

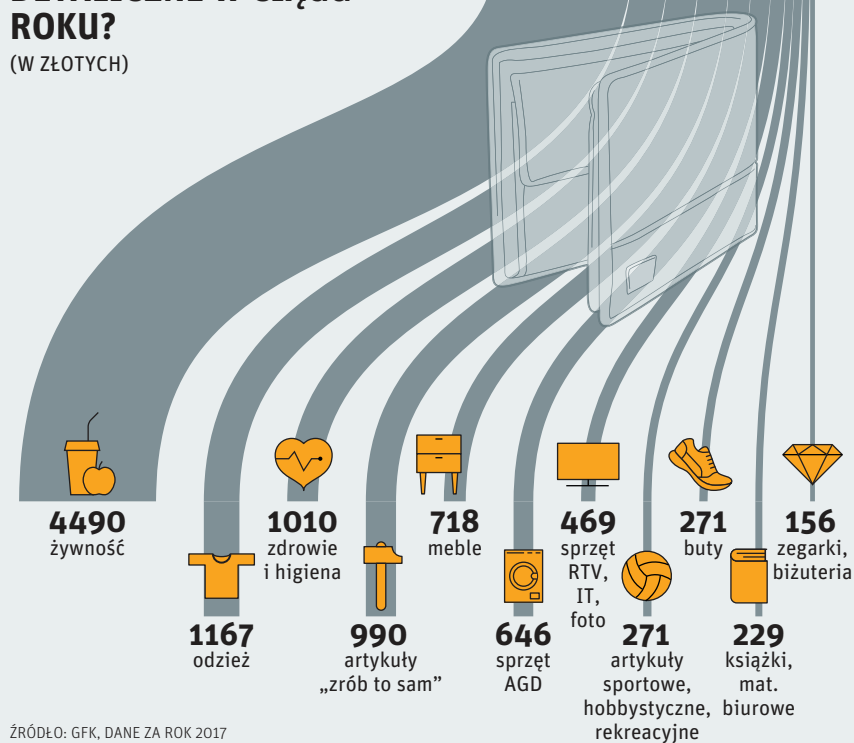
Termin „dyskont” w odniesieniu do sklepów z szerokim wyborem win, serów, pieczywa i wypieków, a do tego nierzadko ulokowanych w prestiżowych miejscach, traci wprawdzie sens, ale ich właścicielom chodzi właśnie o wyjście poza klasyczny podział na sklepy luksusowe dla zamożnych i te dla reszty. W Polsce, gdzie ponad połowa czynnych zawodowo obywateli co miesiąc dostaje wypłatę bliższą pensji minimalnej niż przeciętnej brutto, lepiej nie trzymać się kurczowo reguły Pareta, która mówi, że 80 proc. przychodów pochodzi od 20 proc. najlepiej sytuowanych klientów. Twórcy polskich delikatesów Alma, Bomi oraz Piotr i Paweł, które są już tylko hasłami w słowniku historii polskiego handlu, wiedzą o tym najlepiej. Przegrali z tymi, którym udało się sprawić, że pod jednym dachem spotkali się wybredni smakosze win czy regionalnych serów oraz emeryci robiący podstawowe zakupy z karteczką w ręce. W handlu, gdzie marża rzadko przekracza dziś 5 proc., liczy się przede wszystkim efekt skali.

„Częstotliwość zmian asortymentu, lepsza jakość oferowanych produktów oraz polityka niskich cen. Wszystko to sprawiło, że konkurencyjność sklepów dyskontowych nadal rośnie i jest ogromnym wyzwaniem dla pozostałych segmentów handlu detalicznego” – pisze Re-

ILE STATYSTYCZNY POLAK WYDAJE NA ZAKUPY DETALICZNE W CIĄGU ROKU?

(W ZŁOTYCH)

ogółem: 10 417



nata Twardowska, współautorka badania firmy GfK.

– Od kilku lat szybko postępuje w Polsce coś, co nazwałbym racjonalizacją decyzji zakupowych – dodaje Wiktor Miałkowski z firmy Pro Business Solutions, która doradza sieciom handlowym w pracy nad strategiami rynkowymi. – Przy kasie rządzi pragmatyzm, a dokładniej relacja ceny do jakości produktu, która musi być jak najlepsza. Wystrój wnętrza i jakość obsługi są ważne, ale schodzą na dalszy plan. Podział sklepów na delikatesy, hipermarkety czy dyskonty przestaje mieć tym samym znaczenie, zwłaszcza że różnice w ich wystroju i wyposażeniu są coraz mniejsze.

W polskim handlu, napędzanym przez lata potrzebą kompensacji PRL-owskich niedoborów i wizerunkowym „zastaw się a postaw się”, to chyba największa zmiana, w części zaś także dowód na powoli, acz systematycznie rosnącą dojrzałość konsumencką. Coraz więcej klientów rozumie, że prestiż marki to pochodna wydatków na jej wykreowanie, a nie gwarancja jakości surowca i wykonania; dość przywołać sukces tzw. marek własnych,

czyli produktów, które dyskonty i hipermarkety zlecają do wyprodukowania innym firmom, a następnie oferują pod własnymi znakami towarowymi. W Polsce już co trzecia złotówka zostawiona w sklepach idzie na zakup marek własnych, choć jeszcze dekadę temu wrzucanie ich do koszyka w wielu środowiskach uchodziło za coś, czym lepiej się nie chwalić.

Przybywa także konsumentów, zwłaszcza produktów spożywczych, dla których skład jest ważniejszy od ceny: – Weźmy chociażby chleb, produkt codziennego użytku – tłumaczy Wiktor Miałkowski. – Jego konsumpcja systematycznie spada, za to klienci coraz częściej kupują pieczywo lepszej jakości i takiej oferty oczekują od sklepów.

Mała stabilizacja

Katalizatorem zmian jest bez wątpienia rządowy program 500+, który pompuje do gospodarki ponad 24 mld zł rocznie – z czego Polacy ok. 18-19 mld zł zostawiają od razu w sklepach. Nadzieje ekonomistów na zwiększenie oszczędności, które wciąż utrzymują się na niskim poziomie, wzięły w łeb mimo →

→ początkowych informacji, że część wypląt udało się odłożyć. Dziś – jak pokazują dane NBP – udział pieniędzy z 500+ w oszczędnościach gospodarstw domowych znów spada w okolice zera. Ale czy to źle? Wiele polskich rodzin dopiero dzięki tym pieniądzom może kupić coś oprócz żywności i zrealizować dotąd niespełnione aspiracje konsumpcyjne.

Reklamowo-sklepowy świat – czy się nam to podoba, czy nie – dla wielu Polaków stał się bowiem „normą”. Przy okazji tymczasowemu zawieszeniu uległy w nim nawet twarde reguły ekonomii, które mówią, że nie można wydać więcej, niż się posiada. Tylko w ciągu czterech ostatnich lat zadłużenie Polaków wzrosło trzykrotnie. Z danych Krajowego Rejestru Długów wynika, że osoby między 36. a 59. rokiem życia mają dziś łącznie do oddania 28,5 mld zł. W kontekście tych informacji słowa o racjonalizacji wydatków zakupowych brzmią jak kiepski żart, ale obie strony mogą mieć rację. Można przecież kupować produkty o coraz lepszej relacji ceny do jakości i w bardziej dogodny sposób, ale nadal kompulsywnie, dla samej radości z zakupów.

Wiktor Miałkowski: – Bez wątpienia mamy w Polsce do czynienia z rosnącą świadomością, że zakupy szczęścia nie dają, nazwałbym jednak ten trend postępującym ewolucyjnie, tak jak wegetarianizm czy slow food.

„Dużo i tanio” w polskim handlu jeszcze długo nie ustąpi zatem miejsca mądrzejszemu „mniej, za to lepiej”, bliskiemu coraz bardziej popularnej w Europie Zachodniej filozofii „zero waste”, która woli naprawiać niż wyrzucać i wypożyczać niż kupować. Trzy dekady po rozstaniu z gospodarką niedoboru, w której „prześciowe trudności” w zaopatrzeniu sklepów stały się normą, zdecydowana większość Polaków nadal czuje potrzebę kompensacji tamtych dawnych niedoborów.

Albo – jak dodają psychologowie – odchowana na reklamach, nie potrafi już odróżnić własnych pragnień i potrzeb od tych, które się w nich sztucznie podsyca. © MAREK RABII

Czytaj także artykuł Rafała Wosia o bazarach w dziale Kraj.

Polska jest galerią

PROF. TOMASZ SZLENDAK, SOCJOLOG:

Przechodzimy od modelu konsumpcji, w którym demonstruje się własną wyższość przy pomocy samochodu albo butów, do modelu, gdzie wyróżniamy się tym, jak spędzamy wolny czas.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Czuje Pan już świąteczną atmosferę?

PROF. TOMASZ SZLENDAK: Absolutnie nie. Ale natrafiam już na jej elementy wprowadzone sztucznie – nikogo dziś nie dziwi, że w sklepach choinki pojawiają się po Wszystkich Świętych.

Choć pewnie większość Polaków powiedziałaby, że to przesada i komercjalizacja Świąt. A jednak handlowcy wciąż to robią. Wiedzą o nas coś, czego sami o sobie nie wiemy?

Przeciwnie – nie wiedzą i robią to siłą rozpędu. Gdyby zbadać percepcję elementów świątecznego nastroju, wyszłoby, że są one prześlepiane. Klienci ich zwyczajnie nie widzą.

Pytam, bo siedem lat temu rozmawialiśmy na tych łamach o przejmowaniu przez galerie handlowe kontroli nad naszym życiem – z jego rytmem, cyklami, rytuałami, praktykami społecznymi (zobacz: powszech.net/maszynadozycia). Tymczasem, gdy na początku tego roku zaczął obowiązywać zakaz handlu w niedziele, nie wyszliśmy na ulice w obronie swojej ukochanej formy konsumpcji, nie zażądaliśmy, jak Węgrzy, referendum w tej sprawie. Uznaliśmy, że tak wolimy? Coś się przewartościowało?

Ależ nie. Siedem lat temu rozmawialiśmy też o tym, że przestrzenie publiczne w Polsce, zwłaszcza instytucje kultury, zaczęły przejmować formę i funkcjonalność galerii handlowych. Spójrzmy na Centrum Nauki Kopernik, Muzeum Powstania Warszawskiego czy filharmonię w Białymstoku. Żeby przyciągnąć odbiorcę przyzwyczajonego do wielozmysłowości, kumulacji doznań i dostępności rozmaitych praktyk w jednym miejscu, muzea i podobne im instytucje zaczęły się wtedy zmieniać w coś na kształt galerii

handlowych. Tyle że oferujących więcej niż one i skoncentrowanych już nie na nabywaniu rzeczy, lecz tego, na czym dziś ludziom rzeczywiście w konsumpcji zależy: doznań i wrażeń. Więc gdy niedzielna wizyta w galerii stała się niemożliwa, alternatywa była już gotowa.

Równocześnie nasiliła się mobilność: dzięki autostradom Polki i Polacy z mniejszych ośrodków częściej jeżdżą w weekendy do centrów wojewódzkich. Toruń w niedzielę przeżywa oblężenie chętnych do zwiedzania Muzeum Piernika. Prowadziliśmy ostatnio badania socjologiczne w sześciu miastach pozametropolitarnych, od Dobrzynia po Elbląg – położonych z dala od centrów, przegranych w transformacji samorządowej, pozbawionych bazy edukacyjnej czy rozwojowej. Zaobserwowaliśmy bardzo wyraźnie, że im mniejsza miejscowość, tym większą mają chęć jej mieszkańcy do jeżdżenia w poszukiwaniu doznań.

Czyli wbrew nadziejom polityków i związkowców nie wróciliśmy do sposobów spędzania niedzieli sprzed pojawienia się galerii, tylko reszta naszego życia społecznego się do nich upodobniła?

Tyle że te tzw. nowe instytucje kultury są bardziej efektowne, specyficzne, wysoko statusowe. Nawet architektonicznie są ciekawsze niż galeria z blachy i plastiku, gdzie można było zobaczyć – jak w Poznaniu – najwyżej rzeźbę Mitoraja. Spędza się tam wolny czas, ulokowane są w nich restauracje i butik. Wszystko miesza się ze wszystkim, a konsumpcja jest na czele. Jak wynika z naszych ostatnich badań, toczy się tam życie rodzinne i towarzyskie, właściwie nie bywa się tam samemu.

To dotyczy wszystkich warstw społecznych?



Otwarcie domu handlowego Supersam, Katowice, październik 2015 r.

Niestety: nasze badania we wspomnianych sześciu miastach pokazały, że znaczna większość ich mieszkańców, bo 67 proc. ludzi, nie uczestniczy w kulturze właściwie w żaden sposób. Nie jeździ nawet do galerii handlowej, o kinie czy teatrze nie mówiąc – lecz spędza czas przed telewizorem. Proces przenosin z galerii do nowych przestrzeni kultury dotyczy klasy średniej, głównie z miast powyżej 200 tys. mieszkańców.

Czy te przenosiny świadczą też, że rosną aspiracje klasy średniej?

Oczywiście. Przez te siedem lat mnóstwo się zmieniło nie tylko w infrastrukturze, ale też mentalności. Przechodzimy od modelu konsumpcji czysto statusowej, gdzie demonstruje się własną wyższość przy pomocy samochodu albo butów, do modelu, gdzie wyróżniamy się sposobem i miejscem konsumowania szeroko rozumianej kultury. Inaczej mówiąc – tym, gdzie i jak spędzamy wolny czas.

Dotyczy to także wycieczek czy sposobów spędzania urlopu. Ale zaczyna się od konsumpcji w przestrzeniach festynopodobnych. Festiwal Smaku w Grucznie,

Święto Leszcza czy inne tego rodzaju sezonowe wydarzenia także zaczynają pełnić funkcje wszystkimających galerii handlowych. Jest tam i pokaz psów pasterkich, i znana pogodnyka podpisuje nową książkę, i gra muzyka, a przede wszystkim można zjeść i wypić.

Bo zastępowanie galerii handlowych innymi przestrzeniami dostarczającymi doznań zaczyna się od konsumpcji w sensie ścisłym: od jedzenia i picia. Nie przez przypadek przez te siedem lat doszło do boomu kulinarnego. W metropoliach pojawiają się przestrzenie niebędące galeriami handlowymi, a nawet sklepami, w których nie nabywa się rzeczy, lecz wrażenia, od kulinarnych począwszy. Jak warszawska Hala Koszyki, gdzie można się pokazać jedząc wyszukaną kuchnię i pijąc kraftowe piwo za kilkanaście złotych. Ale odbywają się tam też wydarzenia kulturalne, szkoły kucharzenia czy zajęcia dla dzieci.

Może to wyjaśnia, dlaczego z zakupami przenosimy się z galerii do sklepów średnioformatowych, jak dyskonty? Po wrażenia jedziemy gdzie

indziej, ale zwykłe zakupy też gdzieś trzeba zrobić...

Owszem, ale te przestrzenie zakupowe też starają się być niezwykle – bo ich właściciele dostrzegają, że przychodzą do nich dziś wszystkie klasy społeczne – więc muszą urozmaicać ofertę. Otóż dyskont to dziś jedno z niewielu miejsc, gdziezydent zamkniętego osiedla o zarobkach dalece przekraczających średnią może się spotkać z kimś, kto nie osiąga nawet mediany. Ale jedni i drudzy w tym samym miejscu konsumują zupełnie inne rzeczy: jedni wina, kraftowe piwa i delikatesy z limitowanych serii, a drudzy – tanie produkty marki własnej.

Czyli choć miejsce zakupów już nie służy podkreślanu różnic klasowych, to zawartość koszyka – jak najbardziej?

Konsumpcja nigdy nie jest przezroczysta klasowo. Do sklepu chodzi się z różnych powodów. Znajoma farmaceutka, której apteka sąsiaduje ze sklepem z bardzo drogą żywnością ekologiczną, opowiada mi o emerytach, którzy najpierw w tym sklepie zostawiają nawet 500-600 zł →

→ na pasztety z królika i inne dobra, bo uważają je za korzystne dla swojego zdrowia, a później w aptece utyskują na ceny leków. To właśnie przykład konsumpcji statusowej: ludzie ci nabywają przyjemność sięgania po zdrową żywność, wizyta w aptece zaś to konieczność i trudno poprzez nią demonstrować swój status. Z konsumpcji statusowej wynika też moda na piwa kraftowe czy odrodzenie sklepów z rękodziełem, których nie znajdzie się w żadnej galerii.

Choć to nie do końca prawda – bo coraz częściej w galeriach organizuje się wydarzenia z udziałem rzemieślników, twórców ręcznej biżuterii, artystów. Galerie robią to, bo są świadome, że nie ma u nich oferty, której Polacy zaczynają poszukiwać, że modowe sieciówki przestają nam wystarczać. Polski konsument jest już dość wyedukowany i wie, że często różne sieciówki należą do tego samego koncernu, nie może się więc za pomocą ich asortymentu wyróżnić.

W galeriach pojawiły się tymczasem instytucje użyteczności publicznej: poczty, oddziały urzędu miasta, biblioteki, domy kultury, centra co-workingowe. To te instytucje chcą być w galeriach, bo tam są ludzie, czy odwrotnie – to galerie je przyciągają, żebyśmy i my do nich wrócili?

To proces zapętłony: galerie pobudowano za dużo, w efekcie są w nich puste miejsca, ich właściciele muszą więc szukać sposobów na ich zagospodarowanie – zwłaszcza że oni też wiedzą, iż ludzie gdzie indziej już koncentrują dziś swoją aktywność społeczno-kulturową. Szuka się podmiotów, które przyciągną uwagę ludzi, choćby miały nie płacić komercyjnej stawki za wynajem lokalu. To nie tylko instytucje publiczne: w jednej z toruńskich galerii do niedawna było muzeum żużla.

Ale wszystko to i tak jest nieefektywne, bo galerie nie będą nigdy w stanie zapewnić takich atrakcji, jak nowe przestrzenie kultury. Mają one nad galeriami tę przewagę, że są konstruowane z myślą o przyszłych potrzebach naszego społeczeństwa, przyszłych doznaniach, które trzeba będzie zaspokoić.

Jakich?

Galeria nie skłania do żadnej aktywności poza łożeniem i kupowaniem. Nie rozwija. A tymczasem, jak wynika z naszych badań, rosnącym z roku na rok wskaźni-



WOJCIECH KARDAS / AGENCJA GAZETA

PROF. TOMASZ SZLENDAK jest dyrektorem Instytutu Socjologii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Zajmuje się socjologią konsumpcji oraz bada przemiany obyczajów w kulturze zachodniej, stylów życia i trendów z perspektywy socjologicznej, psychologicznej, antropologicznej i ekonomicznej.

kiem przynależności do klasy średniej okazuje się inwestowanie w samorozwój, np. uczęszczanie na rozmaite kursy. W Warszawie, wg badań stołecznego Biura Kultury z końca 2017 r., w samorozwój inwestuje 28 proc. mieszkańców. Im bardziej się bogacimy, tym bardziej poszukujemy miejsc, w których możemy się rozwijać. A jak tu się rozwijać w galerii handlowej? Już prędzej pójdziemy do centrum fitness. To wokół takich miejsc rozbudowuje się dziś infrastruktura konsumpcyjna i koncentruje się życie towarzyskie. Miejsca z ofertą służącą rozwojowi mają dziś nad galeriami przewagę.

No dobrze, ale właściwie dlaczego samorozwoju poszukujemy w duchu i estetyce narzuconej przez galerię handlową? Dlaczego potrzebujemy pójść do parku miniatur sakralnych zamiast do zabytkowego kościoła? Dlaczego nie odnaleźliśmy się w starym porządku „zwykłego muzeum z obrazami na ścianach”?

Ze względu na przynajmniej dwa procesy. Po pierwsze, wszystko dziś ekonomizujemy – z praktykami kulturowymi

i doznaniem wyłącznie. Czasu wolnego mamy dziś do dyspozycji coraz mniej, więc chcemy kumulować jak najwięcej w jednym miejscu i czasie, np. w weekend. Wybieramy więc przestrzenie, w których dostępne jest wszystko: od wystawy po restaurację, od piwa po koncert. W zabytkowym kościele jest tylko zabytek.

Po drugie, model zaczerpnięty z galerii handlowej to przestrzeń dostosowana nie tylko do naszych potrzeb, ale też do ograniczeń. Jednym z nich, zwłaszcza u młodszych, wychowanych w środowisku nowych mediów, jest niemożność skupienia się. Żyjemy wśród dystraktorów – i jesteśmy nieustannie rozproszeni. Miejsca wymagające skupienia się na jednej rzeczy odbieramy jako koszmarne.

Modelowi galerii handlowej, supermarketu zwykło się przeciwstawiać model tradycyjnego bazaru. Ale gdy tak Pana słucham, zaczynam się obawiać, że odradzające się dziś bazyry też wzorują się na porządku galerii...

Przeciwstawianie kultury galerii kulturze jarmarku ma dziś niewiele sensu, bo tradycyjnych jarmarków już prawie nie ma. Stare budy i wiaty przerabia się dziś na zadane przestrzenie o estetyce nieznanego bazarowi. Budka z mięsem to już nie jatka, lecz delikatesy z obsługą w firmowych fartuchach i możliwością płacenia kartą. Klientami bazarów, a zwłaszcza kooperatyw spożywczych, są dziś właściciele bmw, lexusów i priusów. Bazyry, tak jak wszystkie inne przestrzenie społeczne, zmieniają się w przedsięwzięcia wielozmysłowe, niekierowane już do klasy ludowej.

Pojechaliśmy niedawno na badania terenowe na festiwal disco polo w Ostródzie. Zamiast komercyjnego piwa i kiełbasy z grilla, zastaliśmy tam lokalne, kraftowe piwa i jakościowe burgery z food trucka. Strefa konsumpcji na festiwalu disco polo miała charakter właściwy raczej gustom wielkomiejskiej klasy średniej. Już nawet takie miejsca się bardzo silnie zmieniają.

A co z gorzej sytuowanymi ludźmi z mniejszych ośrodków?

Poprzez styl konsumpcji nadal widać podziały klasowe i nierówności społeczne. W klasie ludowej dla budowania prestiżu wciąż bardzo ważna jest rozpoznawalność marki. W ubraniach marek jeszcze niedawno pożądanym przez klasę śred-

nią zobaczy pan dziś członków niższych klas społecznych, z których wielu przecież długo musi na nie zarabiać. Klasy średnia i wyższa po takie oznaki statusu już nie sięgają. One konsumują doznania.

Czy w Polsce istnieje w ogóle zjawisko budowania swojego prestiżu na ograniczaniu konsumpcji?

Tak, ale jest marginalne. Tzw. minimalistami zostają zazwyczaj wysokostatusowi mieszkańcy wielkich miast. To ludzie, którzy postanawiają zmniejszyć ślad węglowy powodowany własną konsumpcją i ograniczyć się do noszenia, powiedzmy, stureczki. Ale ręcznie robionych. I lokalnych, a nie z Chin. Minimalizm w takiej postaci jest kosztowny, bo niewielu ludzi stać na rzeczy, które się nie zużyją po roku.

Trzeba być bardzo bogatym, żeby żyć ubogo?

Ograniczanie konsumpcji dotyczy tylko elit, równocześnie intelektualnych i majątkowych. Większość Polaków jest wciąż na dorobku, klasa średnia nieustannie żyje w konsumpcyjnej niepewności, więc konsumpcja służy jej jako motor napędowy stylu życia.

Do niedawna nie lubiliśmy się targować – bo czerpaliśmy poczucie statusu z tego, że nas stać. Dziś tryumfy święci smart shopping, zbieranie kuponów, programy lojalnościowe. Wraca nam konsumencki rozsądek?

Chodzi o coś innego. Konsumpcja musi być dziś jak film: ciekawa, inspirująca, za-

Im bardziej się bogacimy,
tym bardziej poszukujemy
miejsc, w których
możemy się rozwijać.

A jak tu się rozwijać w galerii handlowej?

bawna, przygodowa. Pragniemy przy okazji zakupów doświadczyć opowieści, dowiedzieć się czegoś. Porozmawiać z producentem nalewek o tym, że robi je z dziadadziada albo że nalepki na butelki zaprojektował mu lokalny artysta. Zakupy mają być doświadczeniem: człowieka, sytuacji, historii. Wpisuje się w to również targowanie: dostarcza emocji, przygody. Nie chodzi o to, żeby było taniej, tylko żeby coś nam się udało, byśmy coś zdobyli. A ekonomizacja zachodzi przy okazji.

W rozmowie siedem lat temu mówił Pan, że galeria handlowa tworzy świat sztuczny, jego symulację. Chciałoby się wierzyć, że festiwal kulinarny, bazar czy owa rozmowa z producentem nalewek stwarzają okazje do prawdziwych interakcji międzyludzkich – w odróżnieniu od galerii, gdzie już nawet kasy są automatyczne. Ale może to też są symulacje?

To światy również sztucznie wykreowane co galeria handlowa, ale biorące pod uwagę doświadczenia, którymi Polacy zdążyli już obrosnąć. Przez te siedem lat doświadczyliśmy na tyle dużo – zagranicy,

inności, różnorodności itd. – że prosta konstrukcja supermarketu z jego odczuwalnymi relacjami przestaje nam wystarczać. W nowych przestrzeniach konsumpcji makdonaldyzację zastępuje różnorodność. Pokazuje to też, jak się zmieniamy jako społeczeństwo, i że rośnie nam jakość życia. Mamy więcej potrzeb i pragnień, a więc wymagamy, by infrastruktura służąca do ich zaspokajania była lepsza, ładniejsza, bardziej zróżnicowana.

Co ważne, w ramach tych procesów zaczyna się w Polsce pojawiać prawdziwa przestrzeń publiczna. Chcemy nie tylko wielozmysłowych muzeów, ale też w podobny sposób urządzonych parków i miejsc wydarzeń kulturalnych. Ba – zaczynają się na galeriową modłę przekształcać centra miast. To procesy koniec końców pozytywne, choć oparte na symulacjach, mitach i utopiach. Widać to np. w retroutopii, której przejawem jest „żywność naturalna”: pragniemy takiej żywności jak kiedyś, wierząc, że była lepsza, bo nie zdajemy sobie sprawy, że gdybyśmy wrócili do praktyk żywieniowych sprzed wieków, to średnia długość życia skróciłaby się nam do 40 lat.

Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo sztuczny jest świat naszego życia. Ale coraz bardziej myślimy o projektowaniu go pod nasze faktyczne potrzeby i przeciwstawiamy się wielkim podmiotom, jak państwo i korporacje, które projektowały go dla nas bezmyślnie.

Jakość sztuczności nam rośnie?

To chyba dobrze, prawda?

© P Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabić, Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Sylwia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczyńska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziwilt-Meller, Szymon Hołownia, Jan Kłata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczyńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Królewski konkurs piękności



KRÓLOWA WASZTI ODMÓWIŁA PRZYBYCIA NA ucztę wydaną przez Ahaswerusa. Wszystko zaczęło się od zbyt dużej ilości wina. Król po prostu się upił, a jak się upił, to sobie podochocił. Chciał się pochwalić urodą żony. To – wydawałoby się – drugorzędne wydarzenie uruchomiło ciąg wyjątkowo dramatycznych dla Żydów zdarzeń. Do dzisiaj o tym czytamy w Tanach i czcimy tamte zdarzenia w trakcie malowniczych i radosnych świąt Purim.

Teraz w święto Purim wolno Żydowi wypić tyle, że nie potrafi odróżnić wstrętnego wezyra Hamana od wuja Ester – Mordechaja. Pewnie w ten sposób oddaje się cześć królowom Waszti i Esterze: jednej, bo straciła tron, drugiej – bo została królewską małżonką.

Xerxes-Ahaswerus zachował się tak, jak sobie wyobrażamy wschodniego satrapę. Miał nad poddanymi władzę absolutną. Chciał rządzić przyrodą i dlatego kazał batożyć niemiłe mu morskie wody. Był nieprzewidywalny, nie potrafił zapanować nad swoimi emocjami. Wydawał nieodwołalne i bardzo surowe dekrety. Tak postąpił z Żydami i Hamanem. Dał się manipulować magom i wezyrowi. Sam do końca nie wiedział, co czyni, i – sądząc również po jego nieudanych wyprawach na Grecję – nie należał do osób o wyjątkowym rozsądku i wojennych umiejętnościach. Na szczęście dla nas. Robił, co chciał, tyle że działał impulsywnie i kapryśnie. Klasyczny tyran, który nie wiedział, czym jest samoograniczenie i słuchanie prawa.

W tej baśni król nie został potępiony. Jeśli, to wyszydzony, wyśmiany. Tak, to jeden z drobnych przyczynków do filozofii politycznej obecnej w różnych księgach biblijnych. Nie o takim władcy państwa marzył dla Izraela Mojżesz i król Jozjasz.

Co się stało z nobliwą małżonką Xerksesa, nie wiemy. Powiada Herodot, że Waszti została osądzona i stracona. Biblia akurat w tej kwestii milczy. W każdym razie, o czym zapewniają nas mądrzy rabini, Bóg tymi wydarzeniami pozwolił działać opatrności. Nic nie jest tu przypadkowe i bez sensu.

Wraz z odsunięciem Waszti zaczęło się poszukiwanie nowej królowej, nowej Miss Persji, damy o wyjątkowej urodzie i cudownej łagodności. W tym miejscu pojawiła się Estera. Dzisiaj byłaby obecna na wszystkich okładkach pism, a jej wdzięki udostępniałyby liczne portale internetowe. Stałaby się wzorcem piękna kobiecego.

W Księdze nie tak wiele pisze się o wyglądzie Ester. Ważniejszy jest charakter. Okazało się – co wiemy z dalszego ciągu opowieści – że potrafiła w sytuacji próby zdobyć się na wyjątkową odpowiedzialność. Miała talent dyplomatyczny. Wiedziała, co chce osiągnąć i jak wielka jest stawka w jej życiu i w życiu perskich Żydów. Mogła polegać tylko na swoim takcie, odwadze i oczywistości na Adonaj. To On ją wiodł ku szczęśliwemu zakończeniu.

Melodramatyczny *happy end* z ocaleniem Żydów – jak wiemy – był uroczym zwieńczeniem opowieści. ©

O. WACŁAW

Oszajca: A jeśli nieba nie ma



W ADWENCIE CZAS POMYŚLEĆ... NO WŁAŚNIE: o czym, a raczej o kim? Przedświąteczne zakupy, gotowanie, choinki ubieranie, szykowanie prezentów, mycie okien, rozmrażanie lodówki, wysyłanie życzeń (kartki, e-mesy), telefony itd. Naszym krewnym i przy-

jaciółom będziemy winszować wszelkiej pomyślności, szczęścia i przede wszystkim zdrowia. Ale, co tu dużo gadać, nie jesteśmy naiwni, wiemy, że te życzenia spełnią się co najwyżej w jakimś, zawsze niewystarczającym, stopniu. Ale czy tym samym, jako ludzie ceniący sobie racjonalność, nie okłamujemy siebie i innych? Spróbujmy na tę sprawę popatrzeć z innej strony.

Czy życzenia, podobnie jak literatura, w ogóle sztuka, nie są wyrazem tego, co najbardziej ludzkie, a zarazem niemożliwe do adekwatnego wyrażenia – marzeń? Można powiedzieć, że to one są sercem Biblii. Wystarczy zajrzeć do pierwszej księgi, by się przekonać, że jest ona zapisem wędrówki człowieka od szczęścia do nieszczęścia i odwrotnie. Od Edenu do jałowej ziemi, z której został wzięty. Z ziemi do nieba po to, by niebo odnaleźć właśnie na ziemi. Królestwo Boże jest wśród nas – zapewnia ten, który przyszedł z nieba i zamieszkał pośród nas. W ostatecznym rozrachunku jest to wędrówka z ziemi do nieba, ale też z nieba do piekła – ale czy z powrotem też? Według św. Grzegorza z Nyssy jest to możliwe. W Księdze Psalmów czytamy: „Pan uczynił nam wielkie rzeczy i radość nas przepelnia. / Odmień nasz los, Panie, jak wyschłe strumienie w ziemi południowej! / Ci, którzy we łzach sięją, będą zbierać z radością. / Idą z płaczem, niosąc ziarno, lecz wracają z radością, niosąc snopy!”.

Natomiast prorok Baruch zapewnia: „Bóg postanowił zniżyć każdą wysoką górę i odwieczne pagórki, zasypać doliny do równego poziomu, aby Izrael mógł iść bezpiecznie w chwale Boga. Nawet lasy i drzewa pachnące na rozkaz Boga ocieniały Izraela, gdyż sam Bóg z radością prowadził Izraela do swego chwalebego światła, ze sprawiedliwością i miłosierdziem pochodzącym od Niego”. Dzieje się tak dlatego, mówi papież Franciszek, gdyż „marzeniem Boga jest jego lud: On go zasiał i pielęgnuje z miłością cierpliwą i wierną, aby stał się ludem świętym, ludem przynoszącym wiele dobrych owoców sprawiedliwości”.

Jeśli za marzeniem narodu wybranego stoi Bóg i, co więcej, to marzenie w tym ludzie roznieca, wolno powiedzieć, że również marzenie każdego człowieka jest od Boga. Kłopot zaczyna się dopiero wtedy, gdy człowiek swoim marzeniom zaczyna podcinać skrzydła, redukując je do takiego poziomu, jaki uzna za możliwy do zrealizowania tu i teraz. Póki jednak składamy sobie życzenia, to znaczy, że wierzymy w marzenia o szczęśliwym świecie, możliwym do zaistnienia niekoniecznie zaraz, tu i teraz. Życząc szczęścia, chcąc nie chcąc, mówimy o niebie. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Co to znaczy wierzyć

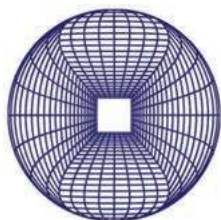
*Doskonałość wszystkiego
znajduje się w Ojcu
– wszystko więc ku
Niemu musi się wznosić.*

EWANGELIA PRAWDY



*Kto nie we wszystkim
widzi Boga, ten nie
widzi Go nigdzie.*

ELIMELECH Z LEŻAJSKA



ZBLIŻA SIĘ ADWENT. Stąd też niedzielna liturgia przyniosła nam fragment eschatologicznej mowy Jezusa, zapisanej w wersji

św. Marka (zob. 13, 5-37). Pan wymienia szereg znaków wieszczących dzień Jego przyjścia. Ostatecznie jednak stwierdza: „O dniu owym, ani godzinie nikt nie wie, ani aniołowie w niebie, ani Syn; tylko Ojciec” (w. 32).

To niezwykle ważne zdanie – ma moc poprowadzić nas do odkrycia samej natury wiary. Jezus nie przyszedł objawić nam dnia i godziny „końca świata”; przyszedł objawić nam Ojca. Nie przyszedł, aby przekazać nam tajemną „wiedzę”; przyszedł, aby zaprosić nas do głębokiej osobowej relacji z Bogiem. Nie przyszedł, aby nam udzielić odpowiedzi na każde z naszych pytań; przyszedł nauczyć nas powierzenia siebie Bogu z zaufaniem dziecka.

Wielu ludzi wyobraża sobie wiarę jako rodzaj gnozy – wyjątkowej wiedzy, dostępnej jedynie wybranym, mającym „gorącą linię” z „tym”, co święte... Wiedzą oni wszystko.

Tymczasem Jezus niczego takiego nie obiecuje swoim uczniom. Wiele ich pytań pozostawia bez odpowiedzi – zwłaszcza jeśli kieruje nimi niedomyślana do końca ciekawość. Tak pytał Piotr o Jana: „Panie, a co z tym będzie?”. Usłyszał odpowiedź: „Co tobie do tego?! Ty pójdz za Mną” (J 21, 21-23).

Ale są pytania bardziej natęrczywe: o cierpienie niewinnych; o powodzenie niegodziwych; o zło w świecie; o nagłą śmierć dziecka; o ludzką wolność w konfrontacji z odwieczną wiedzą Boga – jak się mają

do siebie mój wolny wybór i Boże przeznaczenie? Wszystkie kwitowane z reguły słowem: „Tajemnica”. Więc?

Nie. Nie muszę wszystkiego wiedzieć. „Muszę” zaufa. Zawierzyć Ojcu.

W szczególności nie muszę wcale znać daty swojej śmierci. „Muszę” decyzję o godzinie mojej śmierci złożyć z pełnym pokojem i zaufaniem w ręce Ojca.

Pamiętacie? Ten właśnie spokój przebił się jasno przez kolejne akapity „Testamentu” św. Jana Pawła II. Nagabywany, czy nie lepiej byłoby złożyć urząd, odpowiadał niezmiennie: ta decyzja jest w rękach Boga – ja jestem w rękach Boga. Trudno o lepsze i bezpieczniejsze ręce.

Jezus przyszedł pokazać nam Ojca. To imię Boga, którego nas nauczył. To prawda o Bogu, na którą nas otwiera. Również swoją postawą. Sam to imię – Ojciec (Abba) – wielokrotnie powtarza w godzinie swojej męki. W Ogroju mówi: „Ojcze!...”, i na krzyżu kilkakrotnie: „Ojcze, przebac im...”; „Ojcze, w Twoje ręce powierzam ducha mojego”. Wiara nie jest wiedzą – jest zaufaniem Ojcu.

W swojej pierwszej encyklice („Lumen fidei”) Franciszek stawia pozornie abstrakcyjne zadanie: gdybyś chciał opowiedzieć osobie niewierzącej o chrześcijaństwie tylko jednym tekstem, to tekstem tym powinna być... Modlitwa Pańska. Nie przykazania. Nie błogosławieństwa. Nie Skład Apostolski.

Co znaczy przekazać ten tekst? To znaczy otworzyć kogoś na doświadczenie dziecięctwa Bożego. Za tą relacją przyjdzie wszystko inne. ©

CYTANIA LITURGICZNE (2 – 9 XII)

1. niedziela Adwentu: Jr 33, 14-16;
Ps 25; 1 Tes 3, 12 – 4, 2; Łk 21, 25-28. 34-36;
Poniedziałek: Iz 2, 1-5; Ps 122; Mt 8, 5-11;
Wtorek: Iz 11, 1-10; Ps 72; Łk 10, 21-24;
Środa: Iz 25, 6-10a;
Ps 23; Mt 15, 29-37;

Czwartek: Iz 26, 1-6; Ps 118; Mt 7, 21. 24-27;
Piątek: Iz 29, 17-24; Ps 27; Mt 9, 27-31;
Sobota, uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP:
Rdz 3, 9-15. 20; Ps 98; Ef 1, 3-6. 11-12; Łk 1, 26-38;
2. niedziela Adwentu: Ba 5, 1-9;
Ps 126; Flp 1, 4-6. 8-11; Łk 3, 1-6.

Wybrał PIOTR SIKORA

A full-page photograph of Andrzej Stankiewicz, a middle-aged man with short grey hair, smiling and sitting in a dark brown leather armchair. He is wearing a blue pinstripe suit, a white shirt, and a red tie with small white dots. His hands are resting on the armrests of the chair. The background is a dark, textured blue. A red square is positioned above his head.

KRAJ

PRAWDZIWY LIDER OPOZYCJI

Gdy zarządzał edukacją za pierwszych rządów PiS,
liderzy Platformy wznosili hasła:
„Giertych, zostaw nasze dzieci!”.

Dziś w obawie przed PiS
powierzają mu swe dzieci i samych siebie.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

SĄ DWA ZASADNICZE TYPY ADWOKATÓW. Jedni prowadzą sprawy w ciszy i dyskrecji, uznając, że to najlepszy sposób na sądowy sukces. Inni przeciwnie, uwielbiają rozgłos, spektakl czyniąc nawet ważniejszym od prawnej rozgrywki. Roman Giertych jest mistrzem w tej drugiej kategorii.

Jeśli go wynajmujesz – a nie jest to wcale tanie – to przedkładasz awanturę nad procedurę. Ostrzeliwani przez PiS politycy opozycji i biznesmeni wybierają ten sposób, bo nie wierzą, że w państwie Jarosława Kaczyńskiego mają szansę w oparciu o procedurę uzyskać jakikolwiek prawny skutek.

Giertych nie musi rozdawać wizytówek. Dawny nacjonalista, przeciwnik UE i tropiciel gejoskiego odchylenia stał się czołowym adwokatem środowisk, które niegdyś gromił. Chcą wierzyć w jego przemianę w statecznego patriotę i pełnego tolerancji Europejczyka. Opozycja nie ma reżysera? Wolne żarty. Reżyserem opozycji jest Giertych.

Biznesowe samobójstwo

Zapewne nigdy się nie dowiemy, czy to mecenas kazał miliarderowi Leszkowi Czarneckiemu obkleić się sprzętem nagrywającym przed wizytą u szefa KNF Marka Chrzanowskiego. Czarnecki popełnił w ten sposób efektowne biznesowe samobójstwo, trudno więc go uznać za beneficjenta tej afery.

Beneficjentem jest za to bez wątpienia Giertych. Nie przypadkiem materiały nagrane przez Czarneckiego trafiły do „Gazety Wyborczej”, ale też do „Financial Times” – żeby świat się dowiedział o działaniach rządu, który w wersji Giertycha chce puszczać biznesmenów w skarpetach.

Żeby podgrzewać atmosferę, Giertych regularnie podrzucał opinii publicznej nowe wątki. To on opisał nagłe wrzucenie do Sejmu podejrzanych poprawek do ustaw finansowych, umożliwiających przejmowanie banków, co łatwo połączyć z naciskami ludzi PiS na Czarneckiego. Potem kolejne doniesienia, a przez cały czas tournée po mediach i efektowne wpisy na portalach społecznościowych. Metoda Giertycha w pełnej krasie.

Przed aferą KNF w podobnym stylu rozgrywał sprawę zarzutów korupcyjnych

wobec sekretarza generalnego PO Stanisława Gawłowskiego i jego aresztowania. Jeszcze wcześniej reprezentował przed komisją śledczą ds. Amber Gold Michała Tuska. Był nawet adwokatem Donalda Tuska podczas jego przesłuchania, tyle że były premier zostawił go na korytarzu, bo chciał być jedynym aktorem tego spektaklu.

Aż dziw bierze, że niewiele ponad dekadę temu był dla liderów PO – w tym Tuska – symbolem agresywnego nacjonalizmu i nietolerancji.

Tata i smok wawelski

Zawsze ciągnęło go do manifestów politycznych. To zapewne po dziadku, twarzym przedwojennym endecku Jędrzeju Giertychu. Dziadek został na emigracji w Londynie, ale mając – jak wielu przedwojennych endecków – przedziwny stosunek do PRL, przysłał tu na uniwersytety swe dzieci. W ten sposób trafił do komunistycznej Polski Maciej Giertych, ojciec Romana, dendrolog.

Ojciec zostanie zapamiętany jako członek rady konsultacyjnej przy gen. Wojciechu Jaruzelskim w czasie stanu wojennego, groteskowy kandydat na prezydenta w 2005 r., a nade wszystko naukowiec o barwnych, przełomowych poglądach – dowodzi choćby, że dinozaury żyły razem z ludźmi, wszak Szkoci widywali potwora z Loch Ness, a Polacy zapamiętali smoka wawelskiego.

Ważniejszy formacyjnie dla Romana Giertycha wydaje się młodszy brat ojca Wojciech – dominikanin, teolog Domu Papieskiego w Watykanie (Maciej i Wojciech mają jeszcze siedem siostr, w tym dwie to zakonnice). Ale głównym punktem odniesienia jest dziadek, a właściwie legenda dziadka. Jędrzej był bliskim współpracownikiem Romana Dmowskiego. Tak, imię wnuka nie jest przypadkowe.

„Nasze pokolenie jest pozbawione nadziei. Jesteśmy zmęczeni obłudą polityków, którzy ciągle mówią o reformach nie zmieniając niczego. System, w którym żyjemy, pozbawił nas w dużej mierze tak charakterystycznej młodości inicjatywy i męskiej, zdecydowanej woli walki o nasze prawa, o prawa naszej Ojczyzny. Trzeba otrząsnąć się z tego snu”. To cytat z fundamentalnej książki Romana Giertycha, zatytułowanej „Kontrewolucja młodych”, wydanej w 1994 r., gdy miał 23 lata. I dalej, zgodnie z popularną u autokratów

alegorią walki: „Jeżeli będziemy działać razem, jeżeli będziemy potrafili się zjednoczyć w walce, a będzie to walka z tymi, którzy boją się przyszłości, boją się nowego myślenia, boją się nowej epoki dla naszej Polski, jeżeli będziemy potrafili walczyć, to zwyciężymy. Musimy zbudować taką Polskę, o jakiej marzymy! (...) To jest nasze państwo, a nie skorumpowanych sługusów socjalizmu albo przemądrzałych urzędasów »Zjednoczonej Europy«”.

Książkowy manifest rozpoczął odbudowę ruchu narodowego w Polsce. Gdy dziś po listopadowych ulicach polskich miast maszerują wygoleni młodzieńcy w brunatnych koszulach – to są to w pewnym sensie polityczne dzieci Romana Giertycha.

Pakt z Rydzykiem

Pchał się do polityki, jeszcze gdy miał mleko pod nosem. Zaczynał w 1989 r. jako 18-latek. Wówczas to reaktywował przedwojenny szyld bliskiej Dmowskiemu formacji Młodzież Wszechpolska, próbując zorganizować środowiska młodych narodowców. Tych organizacji i partii było na początku politycznej drogi Giertycha wiele – Stronnictwo Narodowe, Blok dla Polski, a nawet Unia Polityki Realnej Janusza Korwin-Mikkego.

To dlatego, że zawsze, nawet jako polityczny nowicjusz, rozpychał się w każdym środowisku, co generowało konflikty i podziały. Sukces zapewnił mu dopiero pakt z ojcem Tadeuszem Rydzykiem – w 2001 r. zgrupowali małe prawicowe partyjki pod bogoojczyńnianym szyldem Ligi Polskich Rodzin. Formalnie liderem był Giertych, ale na pokładzie znalazły się takie charaktery, jak Antoni Macierewicz, Jan Łopuszański, Gabriel Janowski czy Jacek Kurski.

Giertych zaczął błyszczeć pod koniec kadencji, gdy wobec osłabionego afery Rywina rządzącego SLD Leszka Millera wyciągnięto kolejne zarzuty: nieprawidłowości wokół Orlenu. Giertych wszedł do pamiętnej komisji śledczej w tej sprawie. To właśnie ta komisja badała finansowe powiązania Aleksandra Kwaśniewskiego i jego żony, ona także utraciła prezydencką kandydaturę Włodzimierza Cimoszewicza – przy przemożnym udziale Giertycha.

Normalna rodzina

Przełomowym momentem dla Giertycha i jego LPR były wybory parlamentarne i prezydenckie w 2005 r. Szykujące się ➔

Roman Giertych
Warszawa, 2016 r.

→ do wspólnych rządów Platforma i PiS wzięły się za łby, gdy Donald Tusk i jego partia niespodziewanie ponieśli klęskę. Zwycięski PiS chciał dostać pakiet kontrolny we wspólnej koalicji, ale Tusk uznał, że taki układ mu się nie opłaca, i postawił na konfrontacyjny kurs – czego skutki widać w polskiej polityce do dziś. W tej sytuacji – bez entuzjazmu – bracia Kaczyńscy postawili na koalicję z narodowcami Giertycha oraz Samoobroną Andrzeja Leppera.

Giertych został wicepremierem i wywalczył sobie resort, na którym mu szczególnie zależało – edukację, czyli kształtowanie światopoglądu młodzieży. W swych publikacjach politycznych Giertych nadawał edukacji wagę szczególną. Wyliczał też, że MEN jest jednym z pięciu ministerstw, które w ogóle jest potrzebne, obok MON, MSZ, MSW oraz Ministerstwa Skarbu.

Z miejsca zaczął robić w resorcie porządki. Do listy lektur wstawił Jana Dobraczyńskiego, przedwojennego endeka, który za czasów PRL wspierał władze komunistyczne jako działacz koncesjonowanych organizacji katolickich – klan Giertychów miał do nich wyraźną słabość.

Jednocześnie usunął z listy lektur niektórych klasycznych autorów, choćby Gombrowicza, któremu zarzucał „promowanie pederastii”.

Zresztą Giertych miał na punkcie homoseksualizmu obsesję. W „Kontrrewolucji” pisał: „Jak można twierdzić, że nie-normalne zboczenie, jakim jest np. homoseksualizm, zasługuje na pełną zrozumienia akceptację, gdyż jest to inna preferencja seksualna? Przecież tym samym stawia się na jednym poziomie rodzinę normalną ze zboczeniem, patologię ze zdrowiem”.

Platforma straszyla Giertychem, a Tusk nazywał rząd „moherową koalicją”, co miało być dowodem na wpływy ojca Rydzyka w rządzie. To wszak Giertych proponował nadanie Rydzykowi Orderu Orła Białego.

Pożegnanie z antysemitami

Co do zasady, w ministerstwie Giertych realizował ideologiczną linię swego środowiska, prowokując w ten sposób protesty studentów i uczniów. Był jeden wyjątek – szybko zrozumiał, że należy się jednoznacznie odciąć od antysemityzmu przedwojennych narodowców.

Gdy w lipcu 2006 r. ambasador Izraela w Warszawie ogłosił, że będzie unikać

W ministerstwie edukacji realizował ideologiczną linię swego środowiska.

Z jednym wyjątkiem – szybko zrozumiał, **że należy się odciąć od antysemityzmu** przedwojennych narodowców.

kontaktów z Giertychem i LPR jako spadkobiercami antysemitzkiej ideologii Jędrzeja Giertycha, reakcja była natychmiastowa. Kilka dni później Giertych pojechał na obchody rocznicy pogromu w Jedwabnem, gdzie był najwyższej rangi przedstawicielem rządu. Pod pomnikiem złożył wiązanek z biało-czerwonych róż. Choć oficjele z Izraela omijali go szerokim łukiem, to w ten sposób pokazał swój polityczny talent i wyczucie. „W Polsce nie ma miejsca na antysemityzm” – mówił wówczas.

Po latach opowiadał w „Gazecie Wyborczej” o tym, jak się rozstał z antysemityzmem: „Manopello to wioska w Abruzji. Jest tam chusta Weroniki z odcisniętą twarzą Chrystusa. Kiedy byłem młody, w Stronnictwie Narodowym działał Bogusław Rybicki, który w PRL – teraz to wiemy – był tajnym agentem czy nawet oficerem SB. Produkował rasistowskie gazetki. Kiedy zobaczyłem ten całun w Manopello, to przypomniał mi się ten cały Rybicki – twarz Chrystusa spełniała kryteria z jego wykładów pt. »Po czym poznać Żyda«. To był moment, w którym wszystkie rasistowskie reminiscencje Ruchu Narodowego ostatecznie ze mnie wyparowały”.

W 2016 r. jako prawnik pomógł chasydzkiej rodzinie Gur – to jeden z największych ortodoksyjnych klanów w Izraelu i USA. Przed sądem wygrał dla jej członków zwrot synagogi w Górze Kalwarii. Obwieścił to triumfalnie na Facebooku, dodając: „Najpierw prezydent Izraela, a potem główny rabin Jerozolimy, a także były naczelny rabin Izraela, mer Jerozolimy i członkowie gabinetu premiera Netanjahu zadeklarowali mi przyjaźń”.

Demony po dziadku, utrudniające dziś działanie w polityce, zostały jednoznacznie przegrane.

Kancelaria na kredyt

Jako polityczna przystawka w pierwszym rządzie PiS, był Giertych dla Kaczyńskich ciężkostrawny, ale to Lepper wywołał torse. Polityczne pożycie z nim skończyło się skróconą kadencją rządów, znaczonych aferami. Finał był bodaj największą groteską w historii polskiej polityki. W 2007 r. CBA, kierowane przez Mariusza Kamińskiego z PiS, próbowało zatrzymać Leppera w sprawie korupcyjnej. Nieudolnie, bo Lepper został ostrzeżony. Przeciek miał wyjść od zaufanego człowieka Lecha Kaczyńskiego – szefa MSWiA Janusza Kaczmarka. Prawnie niczego dowieść się nie dało, ale koalicja się rozsypała. W ramach starcia z PiS Lepper z Giertychem stworzyli koalicję LiS (Liga i Samoobrona) i wystawili Kaczmarka jako kandydata na premiera. „Gdy Jarosław rzucił się na Leppera, powiedziałem: »Teraz albo nigdy«. Albo go załatwię, albo mnie wsadzi do więzienia” – wspominał po latach Giertych.

Próbowali skłonić Donalda Tuska, aby się do nich dołączył z Platformą, by odsunąć PiS od władzy w drodze sejmowego wotum nieufności. Podczas biesiady w swym domu, Giertych próbował nawet imponować liderowi PO mandoliną Józefa Tuska, czyli słynnego „dziadka z Wehrmachtu”, którą kupiła do swej kolekcji Barbara Giertych, jego żona. Na niewiele się to zdało. Choć znaczna część polityków PO namawiała Tuska na egzotyczną współpracę z Giertychem i Lepperem, on zdecydował się na przyspieszone wybory.

Pamiętam swe spotkanie z Giertychem w tamtym czasie. Podwarszawskie Łomianki, gdzie mieszkał, ulubiona cukiernia Tiramisu, której specjały recenzował ze znanstwem. „Słuch po PiS zaginie” – wieszczyl wówczas. Zupełnie nie miał racji. Co prawda PiS przegrało wybory, ale on miał większy problem. Po sześciu latach na pierwszej politycznej linii, wypadł z Sejmu. Musiał wymyślić się od nowa.

Miał fach w ręku – przed polityką skończył historię i prawo na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, a na początku działalności w środowiskach narodowych zrobił aplikację adwokacką. Otworzył kancelarię w stolicy. „Kredyt zaciągnąłem jeszcze dwa tygodnie przed wyborami, bo bałem się, że po wyborach bank mi nie da. Pierwsze lata były bardzo

trudne. Miałem 13 proc. zaufania społecznego i pod 70 proc. nieufności. W sądach nie witali mnie sympatycznie” – wspominał. Dziś zarabia miliony, ale o pieniądzach rozmawiać nie chce. „Nigdy mi się nie zdarzyło, żebym proponował komuś usługi. Nigdy nie wziąłem ani złotówki państwowych pieniędzy” – mówi.

Wyznanie win

W orbitę Platformy zaczął go powoli wciągać poznany jeszcze w rządzie PiS Radek Sikorski – on pierwszy dokonał wolty, przechodząc od Kaczyńskiego do Tuska. Został szefem MSZ w rządzie Platformy w 2007 r. Ustanowił Giertycha swym adwokatem w głośnych sprawach przeciwko mediom prowadzącym fora internetowe, na których pojawiały się antysemitckie inwektywy pod adresem jego i jego rodziny.

Stopniowo, sprawa po sprawie, lista klientów mecenasa robiła się coraz dłuższa – i coraz bardziej jednoznaczna politycznie. Sławomir Nowak, Jacek Rostowski, Jan Krzysztof Bielecki, wreszcie sam Tusk i oboje jego dzieci.

Giertych przez pracę dla polityków PO i ich rodzin przyklejał się do ówczesnej władzy. Gdy w 2012 r. prezydent Bronisław Komorowski zorganizował własny pochód w Święto Niepodległości – w kontrze do marszu brunatnej młodzieży wychowanej wedle dawnej myśli giertychowego dziadka – mecenas zajął miejsce w pierwszym szeregu, po prawicy Komorowskiego.

Ale doskonale wiedział, że bez jasnego odcięcia się od swych korzeni, dawnych poglądów, a po części także od dziejów swej rodziny, nie zostanie zaakceptowany nie tylko przez liberalne środowiska bliskie władzy, ale przede wszystkim przez antypisowskich wyborców.

Dlatego po utracie rządowego stołka wysiadł – czy też pospiesznie wyskoczył – z endeckiego pociągu. W serii długich wywiadów w świadomie wyselekcjonowanych mediach dokonał swoistej „spowiedzi”.

O początkach III RP: „Dzisiaj uważam, że rewolucja Solidarności dała Polsce dużo dobrego i te osoby, które brały w niej udział, zasługują na wdzięczność”.

O ONR: „Zdelegalizowałbym ich. To organizacja, która promuje idee niedopuszczalne w naszej konstytucji”.

O homoseksualistach: „Nic mnie to nie obchodzi, że jakiś mężczyzna śpi z innym

Zapytany o marzenie,
oświadczył, że po
wyborach chciałby zostać
**szefem komisji śledczej
rozliczającej rządu PiS.**
Niektórzy z prominentnych
politycznych klientów
widzą go w roli ministra
sprawiedliwości.

mężczyzną. Powiem tak samo, jak papież Franciszek: kim ja jestem, żeby ich oceniać?”.

Gdy znów, jak dekadę wcześniej, PiS wygrało podwójne wybory w 2015 r., Giertych tym razem był już wyrazistym graczem po drugiej stronie. Nie tylko stał się jednym z najbardziej charakterystycznych uczestników protestów wobec działań PiS, ale przede wszystkim zaczął realizować plan obliczony na totalną wojnę przeciwko nowej władzy. Postanowił wykorzystać do tego swój polityczny talent i dającą swoisty immunitet adwokacką tożsamość.

Pozycję startową miał wyjątkową. Już za rządów Platformy pojawił się jako adwokat w najważniejszych śledztwach w kraju – w tym w postępowaniu dotyczącym katastrofy smoleńskiej oraz podczas śledztwa w sprawie tańm kelnerów z restauracji Sowa i Przyjaciele. Dzięki temu miał unikatową wiedzę, która odpowiednio sączona nabierała politycznej mocy.

Wielokrotnie wychodził z roli adwokata. Jarosławowi Kaczyńskiemu zarzucał zbieranie „haków” na przeciwników politycznych (lider PiS wytoczył mu proces), Lechowi Kaczyńskiemu – że to on odpowiada za niesłuszne skazanie Tomasza Komendy za gwałt i morderstwo, zapowiadał też wyroki dla prokuratorów wykonujących polecenia Zbigniewa Ziobry, gdy PiS straci władzę.

W najtrudniejszej sytuacji znalazł się jednak, gdy sam został nagrany. Swą popijawę z Giertychem zarejestrował prawicowy dziennikarz Piotr Nisztor, ten sam, który ujawnił tańmy kelnerów z Sowy, stawiające przyjaciół i klientów Giertycha (Sikorskiego, Rostowskiego czy Nowaka) w trudnej sytuacji. Nisztor nagrał,

jak Giertych namawia go na wycofanie się z publikacji książki o Janie Kulczyku, oferując w zamian niemal pół miliona złotych. „Występowałem jako pełnomocnik biznesmena, który jest znajomym Kulczyka. Zależało mu, żeby książka się nie ukazała, bo mogła wpłynąć na pogorszenie stanu zdrowia ojca Kulczyka” – przekonywał Giertych.

Sprawa rozeszła się po kościach. Samorząd adwokacki – co do zasady niechętny PiS – patrzy na jego ekscesy przez palce.

Posprząta po Ziobrze

O co gra Giertych? Nade wszystko o rozpoznawalność i emocje wyborców. A zatem jest politykiem czasowo wykonującym zawód adwokata. W ostatnich wyborach próbował zrobić mały krok, by wrócić do polityki, ale nastroje społeczne mu to uniemożliwiły – mimo cichego poparcia PO przegrał mandat senatora.

W jednym z wywiadów zapytany o marzenie, oświadczył w swym stylu, że po wyborach chciałby zostać szefem komisji śledczej rozliczającej rządu PiS. Może to tylko przenośnia, bo niektórzy z prominentnych politycznych klientów widzą go po prostu w roli ministra sprawiedliwości, który miałby posprzątać po Zbigniewie Ziobrze.

Ale ci w Platformie, którzy uważają Giertycha za swego chłopca, odkupionego narodowca, Europejczyka z wyboru, umiarkowanego konserwatystę, mogą się mylić. Bo kiedy Giertych mówi szczerze, a kiedy gra – tego nie wie nikt.

Krótko po tym, jak maszerował w marszu pod rękę z Komorowskim, wysłał sprostowanie do telewizji swego dawnego pryncypała ojca Tadeusza Rydyka. Brzmiało ono tak: „W programie »Informacje dnia« wyemitowanym w Telewizji Trwam w dniu 30 grudnia 2012 r. zamieszczono nieprawdziwą informację, że zmieniłem swój światopogląd i opowiedziałem się jako zwolennik *in vitro*, złądziłem swój stosunek do ideologii ruchów homoseksualnych oraz zrezygnowałem z rozszerzenia ochrony życia nienarodzonych. Są to informacje absolutnie nieprawdziwe, albowiem nigdy nie zmieniłem swoich poglądów w kwestiach etycznych i nadal są one zgodne z nauczaniem moralnym Kościoła Katolickiego. Roman Giertych”. © ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem”.

Marsz po niezadowolonych

RAFAŁ ZYCHAL

Pytanie o siłę ugrupowań nazywanych zbiorczo narodowcami powraca co rok. Ale nie wygląda na to, by w następnych wyborach komuś udało się stworzyć istotną siłę na prawo od PiS.

W OKOLICACH 11 LISTOPADA WIELE osób zastanawia się, czy narodowcy to wciąż jedynie grupa głośna, ale jednak politycznie marginalna. Czy szczytem jej możliwości jest organizacja Marszu Niepodległości? A może rosną w siłę i mogą zacząć odgrywać większą rolę w polityce? To pytanie coraz bardziej aktualne, bo wyborczy maraton wystartował.

– W porównaniu do wcześniejszych lat nieco urosło w siłę. Ale jeśli mówimy o znaczeniu politycznym, to mieliśmy niedawno test, czyli wybory samorządowe. I oni w nich praktycznie nie zaistnieli – ocenia prof. Antoni Dudek. Jak tłumaczy, mimo że narodowcy stoją za dość spektakularnym marszem, to jednak jest to tylko jeden dzień w roku. – Miażdżąca większość uczestników nie podziela ich poglądów. Gdyby tak było, wyniki wyborcze byłyby inne – dodaje.

Politolog z UKSW wskazuje na jeszcze jeden powód, dość oczywisty: obecność na scenie tak potężnego gracza jak PiS. To

właśnie ta partia przyciąga zdecydowaną większość wyborców, którzy mogliby być skłonni do oddania głosu na narodowców. – Dlaczego mają głosować na pana Winnickiego, skoro mają Jarosława Kaczyńskiego? – pyta retorycznie.

Dużo ambicji, mało liderów

Precyzyjne opisanie, kto dokładnie jest częścią tego środowiska, to niełatwe zadanie. Bo środowisko to jest mocno rozdrobnione – są partie, stowarzyszenia, grupy i grupki. Każda z nich ma nieco inne interesy i ambicje. Za to brakuje wyrazistego lidera – kogoś, kto mógłby ich zjednoczyć i poprowadzić dalej.

A jest o co walczyć. Gra idzie o elektorat, który może sięgać kilkunastu procent. I to z pewnością kusi. Ale jednocześnie to grupa wyborców niejednorodna, a przez to trudna do zagospodarowania na dłuższą przez jedną formację. O kim mowa? O „niezadowolonych”, którzy w 2015 r. poszli za Pawłem Kukizem. A byli tam i osoby o po-

glądach skrajnie prawicowych, zwyczajni antysystemowcy czy eurosceptycy.

Chętnych, którzy myślą o tym kawałku politycznego tortu, nie brakuje. Do niedawna wydawało się, że naturalnym liderem będzie właśnie Kukiz. Swoją część zwykle przygarnia też Janusz Korwin-Mikke. Narodowcy mają się więc z kim bić. Choć brakuje im wyrazistego lidera, to mają do zaoferowania strukturę. W wyborach to rzecz cenna – stąd część tego środowiska trafiła pod skrzydła Kukiza¹⁵. Gdyby nie Kukiz, narodowców w Sejmie by nie było.

Dziś Paweł Kukiz, borykający się z kolejnymi problemami, wyraźnie osłabł. To sprawiło, że część jego niedawnych sojuszników zaczęła szukać politycznego szczęścia na własną rękę. A środowisko narodowców było grupą, która poluzowała te więzy jako pierwsza – tuż po wyborach Robert Winnicki wybrał rolę posła niezależnego. Wraz z upływem czasu odsuwali się kolejni – jedni trafiali na orbitę wpływów PiS, przyłączając się do ekipy Morawieckiego seniora.

Inni wytrzymali dłużej, chcieli nawet przekonać Kukiza do zmian – taką próbę podjął Marek Jakubiak, dziś już poróżniony ze swoim byłym liderem. Przytwórcy Kukiza¹⁵ zostało wprowadzić kilku posłów związanych ze środowiskiem narodowym, ale pytanie jest proste – jak długo ten stan się utrzyma?

Ponowne połączenie sił będzie wyzwaniem. Podobnie jak obsadzenie roli lidera. Nie bez znaczenia są jednak osobiste ambicje i animozje. Paweł Kukiz? Poobijany, pokłócony z coraz większą częścią tego środowiska. Od początku kadencji stracił blisko jedną trzecią sejmowej drużyny. Czy te środowiska zaufają mu raz jeszcze? Na dziś będzie o to trudno. Janusz Korwin-Mikke? Wieczny indywidualista. Jest też Ruch Narodowy i współpracujące z nim ONR oraz Młodzież Wszechpolska, czyli główne siły, które stoją za Marszem Niepodległości. To najbardziej zorganizowana struktura w środowisku narodowym. Ale wciąż bardzo słaba.

„Stawiamy na długofalową budowę samodzielnej siły politycznej” – deklaruje lider RN Robert Winnicki. Czy to oznacza, że szersza koalicja jest wykluczona? „Takie porozumienie musi przede wszystkim nas wzmocnić, nie osłabiać, a po drugie musi stanowić realny potencjał na scenie politycznej” – tłumaczy. Okazja może się pojawić już przy okazji eurowyborów.

POŻEGNANIE

Msza Święta w intencji radości życia wiecznego naszej Babusi

ś.†P.

Marii Mołęckiej

z Siekierskich, primo voto Taklińskiej
(1898–1982)

odbędzie się w niedzielę 9 grudnia 2018 r. o godz. 11.30
w Bazylice Archikatedralnej na Wawelu

o czym powiadamiają jej wnuki

MARYJKA, JACEK I ANDRZEJ OLECHOWSCY



Robert Winnicki z Ruchu Narodowego i kandydat Ruchu Narodowego na prezydenta RP Marian Kowalski (z prawej) podczas marszu z okazji 81. rocznicy powstania Obozu Narodowo-Radykalnego. Poznań, kwiecień 2015 r.

„Jestem w stanie sobie wyobrazić taką wspólną eurosceptyczną platformę. Ale ten sprzeciw wobec Unii musi być jednoznaczny” – zastrzega Winnicki.

Nie można zapominać, że na skrajnej flance tego środowiska są i takie osoby jak Jacek Miédlar czy Piotr Rybak. Grupa działaczy z Wrocławia wyrasta na najbardziej radykalną, co było widać po wydarzeniach z 11 listopada w stolicy Dolnego Śląska. Część bardziej umiarkowanych działaczy narodowych nieoficjalnie przyznaje, że nawet dla nich to już zbyt skrajne osoby. Dodatkowo Miédlar nie kryje swoich ambicji. Szans nie ma, wątpliwe, by dołączył do jakiejś szerszej koalicji. Prędzej niż w Brukseli znajdzie się za kratami.

Prawicowy Palikot

A może w obliczu tak dużych podziałów czas na kogoś nowego? Może wszystkich pogodzi Marek Jakubiak? Biznesmen od jakiegoś czasu zdradza zakusy na mocniejsze wejście w politykę. Czy powtórzy manewr swojego niedawnego lidera i zagospodaruje sporą część środowiska „niezadowolonych”?

Jakubiak ma dobre relacje z większością potencjalnych kandydatów do sojuszu – od środowiska narodowców, przez byłych i obecnych kukizowców aż po korwinistów. Był wreszcie też osobą, która starała się przekonać Pawła Kukiza, by skonsolidować te środowiska, nadając im bardziej polityczny rys. Zrozumienia nie znalazł.

Jakubiak ma jeszcze jeden atut – pieniądze. Jego majątek to kilkadziesiąt milionów złotych. Od jakiegoś czasu pozbywa się kolejnych części swojego browarniczego imperium. Co ciekawe, jeden z browarów, małopolski Tenczynek, trafił w ręce Janusza Palikota. Tylko czy Jakubiak jest osobą, która zarobione w ten sposób miliony rzuci na rozkręcenie partii? Ryzyko spore, zysk wcale nie taki pewny. Sam otwarcie mówi, że do Brukseli się nie wybiera.

– Jeśli on rzeczywiście przeznaczy te środki na politykę, to za rok wejdzie do Sejmu. Podobnie jak zrobił to Janusz Palikot – prognozuje prof. Antoni Dudek. Jego zdaniem dziś wystarczy kilka – kilkanaście milionów złotych, by zagwarantować sobie poselskie mandaty. – Tylko że to będzie kolejne pospolite ruszenie. I wcale nie jestem przekonany, że on rzeczywiście ma ochotę tyle zainwestować – mówi dalej.

– Uważam, że Marek Jakubiak jednak ceni swoją gotówkę i nie zainwestuje aż tyle w nowy projekt. A bez tego nie ma szans. Żeby stworzyć nowy ruch, trzeba naprawdę sporych środków, o czym wkrótce może się też przekonać Robert Biedroń. Najlepiej prześledzić, ile zainwestował Janusz Palikot i jak to się skończyło. Ten przypadek mówi jasno: trudno jest do parlamentu wejść, ale jeszcze trudniej się w nim utrzymać – przypomina profesor.

Bez względu na to, kto będzie liderem takiego ewentualnego porozumienia, swo-

istym poligonem mogą być dla niego wybory do Parlamentu Europejskiego. Wspominał o tym Robert Winnicki, mówi też o nim Kornel Morawiecki. Prędzej czy później do jakichś rozmów zapewne więc dojdzie.

Potencjalnym spoiwem może być niechęć do Unii Europejskiej, choć każdy z potencjalnych koalicjantów w różnym stopniu deklaruje swój dystans wobec Brukseli. W grę wchodzi więc walka o pojedyncze mandaty. Owszem, antyunijna retoryka jest jakimś paliwem na czas kampanii, ale pamiętajmy, że to będą specyficzne wybory. Frekwencja nie będzie wysoka, do urn pójdą głównie mieszkańcy większych miast. Ten scenariusz nie będzie sprzyjał eurosceptycznej koalicji.

Wreszcie, czym tak naprawdę ten blok może się znacząco odróżnić od PiS? Hasłem „wystąpimy z UE”? To za mało, by porwać tłumy. Dwa najważniejsze miejsca w wyścigu są już zajęte przez PiS i PO. Taki podział oznacza jedno: mało miejsca dla trzeciej siły.

– Skoro Polska uchodzi za najbardziej proeuropejskie społeczeństwo, to ilu jest tych przeciwników Unii? – pyta prof. Dudek. – Musiałyby nastąpić jakieś ruchy ze strony Brukseli, które naprawdę oburzyłyby Polaków. To byłaby jakaś szansa na budowę politycznego kapitału. Być może to jest kwestia kolejnej perspektywy budżetowej, bo jeśli przestaniemy być głównym beneficjentem, nastroje antyunijne mogą ewentualnie narastać – spekuluje. ➔

A może bliżej PiS?

→ Jeśli nie przy okazji wiosennych euro-wyborów, to może siły uda się połączyć przed jesiennymi wyborami do Sejmu? Do tej pory to Kukiz'15 wydawał się najbardziej naturalnym kandydatem do ewentualnej koalicji z PiS. Tylko czy ta partia będzie w ogóle potrzebowała koalicjanta?

– Mam wrażenie, że PiS ciągle wierzy w to, że znów będzie miało samodzielną większość – ocenia prof. Dudek. – Patrząc na jego stosunek do Kukiz'15, można było dostrzec, że prezes Kaczyński żadną koalicją zainteresowany nie jest. Bo i też jej nie potrzebował. Jedyne, czym ewentualnie był zainteresowany, to wyciąganiem pojedynczych posłów. I to mu się udało – dodaje politolog.

Wybory samorządowe pokazały, że zwycięstwo nie oznacza władzy. PiS musiał mocno się zaangażować w pozyskiwanie koalicjantów lub przeciąganie do siebie pojedynczych osób w sejmikach wybranych z innych list (najbardziej spektakularny transfer dotyczy Wojciecha Kałuży, działacza Nowoczesnej w sejmiku śląskim). To mogą być cenne doświadczenia w perspektywie walki o kolejną kadencję. Ale to też oznacza, że w sytuacji podbramkowej PiS nie będzie skazany na zaciśnięcie zębów i dogadanie się z koalicją, w skład której będą wchodzić także narodowcy.

O wiele mniejszym ryzykiem będzie porozumienie z tak ostatnio zwalczanym PSL, czy nawet SLD. To są bardziej przewidywalni gracze. Jeśli zajdzie taka potrzeba, prezes na pewno znajdzie argumenty,

które przekonają działaczy i wyborców. Nawet do koalicji z SLD.

Bo zbliżenie z siłami, które są jeszcze bardziej na prawo, to spore ryzyko i wątpliwy zysk. Przede wszystkim kłopot wizerunkowy – wielu umiarkowanych wyborców takiego ruchu nie zaakceptuje. A ich jest po prostu więcej niż tych, którzy przysiliby wraz z narodowcami. Mimo to, w tym roku pewna bariera padła.

Wszystko za sprawą zamieszania wokół Marszu Niepodległości. Pomimo niechęci do tych środowisk, o czym sam Kaczyński mówił nieraz, przed 11 listopada politycy PiS do rozmów usiedli. Tego do tej pory nie było – partia trzymała się z dala od marszu i wołała świętować w Krakowie. W tym roku, chcąc zapewnić sobie spokój na warszawskiej ulicy, musiała pójść na ustępstwa. Silnych kart w rękach nie miała, także dlatego, że z okazji rocznicy władza nie przygotowała mocnego akcentu. Zapłaciła za to obrazkami, które część wyborców zapamięta: za plecami liderów PiS powiewały i flagi ONR, i włoskich nacjonalistów z Forza Nuova.

Wątpliwe więc, by Jarosław Kaczyński chciał dalej iść tą drogą. Bardziej prawdopodobne, że wybierze inną opcję – próbę neutralizacji i osłabienia. Poniekąd już to zaczął robić, próbując przejąć ich największy skarb, czyli sam marsz. Narodowcy mają tego świadomość, więc też wcale nie palą się do tego, by iść dalej obok PiS. Część z nich mówi nawet wprost o kradzieży.

– Całe podzielone środowisko narodowe miało jedną cenną rzecz. I PiS zaczął im ją zabierać. Za rok okaże się, na ile skutecznie. Dlaczego więc nagle narodowcy

mieliby ich polubić? – pyta prof. Dudek. – Dla PiS realnym zagrożeniem było to, że dojdzie do awantur. Wtedy władza byłaby za to współodpowiedzialna i miałaby problem. Skoro tego się udało uniknąć, mogą ogłosić sukces. I przypisać sobie to, że te 250 tysięcy ludzi maszerowało wraz z nimi. Narodowcy oczywiście będą krzyżować, że to nieprawda, ale zbyt silnych narzędzi do przeforsowania swojej wersji nie mają – tłumaczy dalej.

Podzieleni jak zawsze

Sami narodowcy, jeszcze podgryzani przez PiS, szans na dobry wynik nie mają żadnych. Jeśli chcą zaistnieć, muszą szukać porozumienia. A i ono nie jest gwarantem dobrego wyniku. W 2015 r. na rzecz Pawła Kukiza grał kalendarz wyborczy – przed wyborami do Sejmu, w roli lidera zbudowała go walka o prezydenturę. Teraz kolejność będzie odwrotna, a i on sam o wiele słabszy, pozbawiony efektu świeżości.

Dziś Kukiz nie rozmawia z Jakubia-kiem, lecz raczej spogląda w stronę Bezpартijnych Samorządowców. Narodowcy, sami podzieleni, też nie są zbyt skorzy, by ponownie zaufać dawnemu rockmanowi. Korwin-Mikke? W sejmie łączy siły z Piotrem Liroyem-Marcem, tworząc koło Wolność i Skuteczni. Ale czy ten sojusz przetrwa układanie wyborczych list? Nie wiadomo. I tak bez końca.

O tym, jak podzielone jest to środowisko „niezadowolonych”, najlepiej świadczy historia Wojciecha Bakuna – posła Kukiz'15, który właśnie został prezydentem Przemyśla. W bastionie PiS pokonał kandydata tej partii. Ale zwolnione przez niego miejsce w Sejmie zajmie Robert Majka – kiedyś związany z narodowcami, dziś bliski Kornelowi Morawieckiemu. Do klubu Kukiza nie wejdzie, zasilą więc zapewne koło ojca premiera, które stoi u boku PiS.

Nawet jeśli Jarosław Kaczyński na chwilę odłożył poglądy na bok, to jest on zbyt wytrawnym graczem, by nie wiedzieć, co oznaczałby jakikolwiek sojusz z tak podzielonym i poróżnionym środowiskiem. Gra niewarta świeczki. – Polska polityka coraz bardziej przypomina tę znaną z Europy zachodniej. Są potężne aparaty partyjne, sówicie opłacane przez budżet państwa z masą ludzi, która jest dookoła nich. Dla tego trzeciego na razie miejsca nie ma. Owszem, widać, że mniej więcej jedna trzecia wyborców chciałaby czegoś nowego, ale są rozproszeni – kwituje prof. Dudek. © RAFAŁ ZYCHAŁ

30 listopada mija 10. rocznica śmierci bardzo bliskiej nam osoby

ś.†P.

Adama Kinaszewskiego

dziennikarza, reżysera, producenta filmowego, działacza Solidarności, długoletniego współpracownika Lecha Wałęsy. Odszedł nagle, pozostawiając po sobie wiele niezrealizowanych scenariuszy.

Msze św. zostaną odprawione:

Gdańsk, 2 grudnia, godz. 12 w kościele św. Jana

Warszawa, 2 grudnia, godz. 11 w katedrze św. Floriana

Spotkanie wspomnieniowe:

Warszawa, 1 grudnia, godz. 19, klub Skład Butelek, ul. 11 Listopada 22

BRAT Z RODZINĄ

Czar targu

RAFAŁ WOŚ

Bazary przetrwały wojnę, komunę, a nawet ekspansję hipermarketów. Czy padną pod presją gentryfikacji?

JESZCZE NIEDAWNO TARGOWISKA TRAKTOWANO jak wstydlivą chorobę skóry na ciele modernizującej się Polski. Owszem, podrapać się czasem każdy musi, ale żeby od razu się z tym obnosić? Dziś jednak nastroje zaczynają się zmieniać. „Wolumenu nie oddamy” – mówi Katarzyna Homan, inicjatorka trwającej od początku listopada akcji przeciw zabudowie tego zasłużonego targowiska na warszawskich Białanach. „Złożymy wniosek, żeby wpisać nasz bazar do rejestru zabytków” – zapowiada wiceburmistrz dzielnicy Grzegorz Pietruczuk.

Ubogi krewny

Gdyby tradycyjne warszawskie targowiska ustawić do wspólnego rodzinnego zdjęcia, Wolumen byłby ubogim krewnym. Nie ten rodowód, co uwieczniony przez Tyramanda w „Złym” Bazar Różycy (rok założenia 1874), nie mówiąc już o odnowionej ostatnio secesyjnej Hali Koszyki (rok budowy 1909). Na Wolumenie handluje się od czasów powojennych i to czym popadnie: żywnością od podwarszawskich rolników, tanimi tekstyliami, podrabianym obuwiem i wszelkiej maści elektroniką.

Targowisko nie miało nigdy krystalicznych papierów: w 2002 r. policja zatrzymała tu – głównie pod zarzutem paserstwa – 140 handlarzy. Z drugiej strony, przez cały okres transformacji stanowiło azyl dla wielu kupców przepędzonych z centrum. Nigdy nie było to miejsce szczególnej urody, ale organicznego zrośnięcia z piaszczysto-gliniastą ziemią tej części stolicy oraz mieszkańcami blokowisk nie można mu było odmówić.

Miesiąc temu gruchnęła wieść, że w planie zagospodarowania miejsca planiści przewidzieli w tym miejscu budowę dziesięciopiętrowej mieszkaniówki. To żadna



KORNELIA GŁOWACKA-WOLF / AGENCJA GAZETA

Targ przy ulicy Ptasiej we Wrocławiu, 2014 r.

tajemnica, że odkąd w 2008 r. zawitało tu metro, teren (w połowie należący do miasta, a w połowie do spółdzielni Społem) jest łakomym kąskiem dla deweloperów. Już raz – właśnie przy okazji otwarcia stacji Wawrzyszew – Wolumen musiał się „przesunąć”. Teraz o jego losie zdecydują warszawscy radni.

Pozory mylą

Historia Wolumenu to tylko jedna z najnowszych kart w długich dziejach polskiego bazaru.

W zasadzie nie ma miasta, które by nie miało w niej swojego rozdziału. Sporo tu opowieści o nastroju elegijnym. Te starsze sięgają jeszcze czasów PRL, gdy wiele przedwojennych legend miejskiego handlu padało w starciu z ambicją cywilizowania przestrzeni miejskiej. W III RP doszła jeszcze konkurencja ze strony handlu wielkopowierzchniowego i presja lobby deweloperskiego. A jednak bazarki przetrwały.

W rekordowym roku 1995 było w Polsce 2420 stałych targowisk. Dziś (najnowsze dane za rok 2016) jest ich 2199. Najwięcej (w przeliczeniu na mieszkańca) mamy

ich w Lubelskiem, Lubuskim i Łódzkim, najmniej na Śląsku i Pomorzu.

Na pierwszy rzut oka bazarek trzyma się więc świetnie: w ciągu dwóch minionych dekad zniknął zaledwie co dziesiąty. A jednak różnica jest, tyle że bardziej subtelna. Aby ją prześledzić, musimy cofnąć się do początków polskiej transformacji.

Blitzkrieg

Jeszcze w 1989 r. handlarze byli przedstawiani jako czempioni polskich przemian. W zasadzie nie mógł się bez nich obyć żaden film propagandowy pokazujący nasz skok w kapitalizm.

Długo się jednak tą sławą nie nacieszyli: za cezurę uchodzą lata 1992-93, gdy w życie wchodzi regulacje porządkujące standardy, według których handel miał się teraz odbywać.

Te regulacje były z jednej strony sensowne i dotyczyły tak prozaicznych spraw jak względy sanitarne (choćby dostęp do bieżącej wody) albo bezpieczeństwo. Z drugiej jednak – rozpoczynał się właśnie wyścig o to, kto zarobi na zaspokojeniu nowych potrzeb konsumpcyjnych wyposzczonego polskiego społeczeństwa. ➔

→ Był to zbyt łakomy kąsek, by mógł pozostać niezauważony przez zachodnie koncerny. Narzędziem ich biznesowego Blitzkriegu miały się stać sklepy wielkopowierzchniowe. W 1995 r. przypadało na nie ok. 4 proc. powierzchni handlowej, ale ok. 2015 r. – już 25 proc. Wśród beneficjentów tego boomu próżno szukać fortun wyrosłych z polskiego bazaru. Dominowali – i dominują nadal – duzi gracze: Jeronimo Martins, Eurocash, Metro AG, Carrefour, Schwarz Group, Netto. To oni wygrali wojnę o handel w III RP.

Wielkopowierzchniowcy dość szybko przeszli mniej więcej jedną trzecią handlu detalicznego, a gdy liczyć same tylko produkty żywnościowe – ich udział wynosił przeszło połowę całego rynku.

Dziki pęd

Targowiska musiały się posunąć. Albo raczej: usunąć. Nie tylko gdy chodzi o zyski (dziś na targowiska przypada trochę ponad 1 proc. obrotów handlu detalicznego), lecz także w sensie geograficznym.

Jednym z autorów najlepiej opisujących to zjawisko był nieżyjący już ekonomista Andrzej Werwicki. W swoich pracach pokazywał, że pod wpływem transformacji handel bazarowy zaczął przypominać pędy roślin, uparcie i na nowo szukających dostępu do światła. Wypierane z centrów dużych miast targowiska odnajdywały się na ich obrzeżach. Gdy i tam wchodziły hipermarkety, handlarze szukali miejsca w niszach, np. wzdłuż granic zachodniej i wschodniej (to tłumaczy tak wysokie natężenie targowisk w Lubuskiem i Lubelskiem). Próbowali też walczyć z dużymi sieciami ich własną bronią, czyli tzw. efektem skali. Tak powstały popularne na przełomie wieków megabazary: Jarmark Europa na Stadionie Dzieściolecia, Centrum Handlowe Tuszyń oraz Rzgów pod Łodzią.

Ta walka nie odbywała się w próżni. Zazwyczaj towarzyszyła im opowieść o cywilizacyjnym starciu „nowego” ze „starym”, „zachodniego porządku symbolizowanego przez galerie handlowe” ze „wschodnim chaosem dzikiego targowiska”.

Czyszczenie

Zdaniem socjologa i działacza społecznego Jarosława Urbańskiego targowiska były jednym z pierwszych pól nowego typu konfliktów w demokratycznej już Polsce: – Np. Leszno. Latem 2000 roku doszło tam wręcz do walk, spowodowanych próbą

Walce z bazarkami towarzyszyła opowieść o cywilizacyjnym starciu „starego” z „nowym”, zachodniego porządku ze wschodnim chaosem dzikiego targowiska.

postawienia w miejscu targowiska supermarketu holenderskiej marki Ahold. Kiedy straganiarzom nie udało się zablokować projektu metodami formalno-prawnymi, rozpoczęli okupację placu. Najpierw próbowali ich stamtąd wyrzucić wynajęci przez inwestora ochroniarze. Kiedy się nie udało, wezwano policję. Nocą straganiarze wrócili i zasypali wykopy budowlane. Znowu były starcia. Mając przeciw sobie inwestora, władze lokalne, a w większości przypadków również opinię publiczną, handlarze przegrali.

Podobnie było w wielu innych miejscach w Polsce. Na czele z najgłośniejszym przypadkiem: zamieszkami, które wybuchły w Warszawie przy okazji „czyszczenia” w 2009 r. okolic Pałacu Kultury w ramach likwidacji tzw. Kupieckich Domów Towarowych (KDT).

Słowo na „g”

Wszystkie opisane powyżej perypetie targowisk można nazwać jednym słowem: gentryfikacja. To termin wymyślony w 1964 r. przez socjolożkę Ruth Glass. Przy jego pomocy Brytyjka próbowała opisać to, co działo się w londyńskich dzielnicach Hampstead i Chelsea. „Jedną po drugiej wiele dzielnic klasy robotniczej w Londynie jest oddawana klasie średniej. Proces gentryfikacji posuwa się szybko do czasu, aż większość oryginalnych mieszkańców z klasy robotniczej zostaje wyparta i cały społeczny charakter okolicy ulega zmianie” – pisała Glass.

Sześćdziesiąt lat później gentryfikacja jest już zjawiskiem szeroko zbadanym. Na ten proces składają się takie elementy, jak: kompleksowa poprawa stanu substancji mieszkaniowej, zmiana stosunków najmu do własności (w dzielnicach z gentryfikowanej przeważa własność), wzrost cen gruntów i mieszkań oraz wysiedlenie ludności uboższej. Dotyczy to również han-

dlu: ten stary indywidualny zostaje wyparty przez większy sieciowy lub bardziej prestiżowe usługi.

Kłopot z gentryfikacją (zwaną czasem „uszlachetnieniem”) polega oczywiście na tym, że nie jest zjawiskiem jednoznacznym. Zamożny „gentryfikator” widzi je inaczej niż poddany gentryfikacji obywatel o niższych dochodach. Zdrowe i stawiające na różnorodność społeczeństwa potrafią jednak dać głos obu stronom. W końcu mówiąc gentryfikacji „dość”.

Dlaczego? Choćby dostrzegając, że bazar to miejsce, które wymyka się postępującej klasowej segregacji społeczeństwa kapitalistycznego.

Kochany bazar

Spójrzmy na Warszawę. Warstwy najbogatsze mają swojego Vitkaca, gdzie ochroniarz odczytuje z twarzy wchodzących ich miesięczny budżet. Średniacy z aspiracjami pojadą do Klifa, bo nie ma tam tłoku. Biedniejsi będą się przeciskać w dyskoncie z wózkiem wśród podobnych sobie. Lokalny bazar to zaś jedno z niewielu miejsc, gdzie można się jeszcze spotkać na w miarę równych prawach. Bez takich miejsc możemy sobie do rana gadać o polskości i wspólnocie – teoretycznie.

Jeśli kogoś taka perspektywa nie przekonuje, może trafi do niego argument, że zakupy na targowisku zasilają rodzimych producentów. Tu nie ma pośredników w postaci spółek zagranicznych (czasami z rajów podatkowych), co bywa niestety regułą w przypadku większości centrów handlowych. Jeszcze innym warto przypomnieć, że targowiska to miejsca dużo bardziej ekologiczne, zarówno pod względem dojazdu (większość znajduje się przy węzłach komunikacji zbiorowej, w przeciwieństwie do robionych pod „samochodziarzy” marketów), jak i oferty spożywczej.

W 2016 r. Małgorzata Malinowska z Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach opublikowała wyniki własnych badań polskiego targowiska. Wynikało z nich, że Polacy je bardzo lubią. Może nawet... coraz bardziej. Głównie za obsługę, wybór i poziom cen. Dla przeważającej większości badanych (62 proc.) bazarków jest w sam raz. 25 proc. mówi, że „zbyt mało”. To dobra wiadomość dla wszystkich, którzy śledzą sprawę przyszłości warszawskiego Wolumenu. Orzeczenie dla tych miejsc w różnych częściach Polski, gdzie batalia o bazar dobiega końca. © RAFAŁ WOŚ

ANNA

Dziewit-Meller: Źle urodzone



PODOBNO Z NOSTALGIĄ MOŻNA MYŚLEĆ o wszystkim, co minęło, a trwało, kiedyś byli młodzi. Nawet o obiektywnie bezadziejnych czasach. I ja zaraz dam dowód tej ludzkiej ułomności i tendencji do zakłamywania rzeczywistości, nie wiem jednak, jak się przed tym ustrzec, skoro od niedawna siedzę z powrotem w latach 80., oglądając z moimi dziećmi pewną produkcję telewizyjną z tamtych lat.

Wiem, że wszyscy nienawidzimy PRL, zwłaszcza teraz, a jak nie, to nam grozi, że zawisniemy na drzewach zamiast liści, ale choć to trudne, bądźmy uczciwi i przyznajmy głośno: w latach 80 telewizja robiła dla dzieci to, czego dziś nie robi na pewno – czyli myślała o nich poważnie.

Naszło mnie na te refleksje za sprawą serialu „7 życzeń”, doskonale przecież znanej mi niegdyś produkcji TVP z roku 1982, o chłopcu, który ratuje życie gadającemu kotu, będącemu akurat kolejnym wcieleniem nieszczęsnego kapłana ze starożytnego Egiptu, co to ukarany był przez boginię i przez wieki jako kot się tułał to tu, to tam. Tym z czytelników, co serialu ani w latach 80., ani potem nie widzieli, wyjaśniam, że ta produkcja zatrudniała ówczesne wielkie gwiazdy ekranu, a całą oprawę muzyczną przygotował John Porter z zespołem Banda i Wanda, rypiąc takie hity, że daj Boże zdrowie, nóżka chodzi mi i dziś. I dla kogo to wszystko było? Dla dzieci. Tylko dla dzieci? W telewizji? Niemożliwe!

Kiedy byłam mała, do teatru chodziłam rzadko, jakoś się nam nie składało, ale straszna komunistyczna telewizja załatwiała również i tę potrzebę – czy ktoś dziś uwierzy w to, że istniała telewizyjna scena przeznaczona dla pisanego wielkimi literami Młodego Widza? I że spektakle, takie jak (boski!) „Czupurek” Benedykta Hertza w reżyserii Barbary Borys-Damieckiej, z genialną tytułową rolą Adrianny Biedrzyńskiej, pamiętam po dziś dzień? A „Baśń o pięknej Pulcheryi i szpetnej Bestyi” z Teatru Groteska w Krakowie, przeniesiona do TVP? A „Małgosia kontra Małgosia” z młodzieńką Ewą Wencel w roli tytułowej? Mam do dziś w głowie sceny z tych spektakli.

W repertuarze istniejącego od 1960 r. Teatru Młodego Widza były liczne adaptacje znanych baśni (jak niezapomniana „Królowa Śniegu”, również w reżyserii Borys-Damieckiej), ale

też rozmaite utwory polskich i zagranicznych autorów – od Levisa Carrolla, przez Charlesa Dickensa, Astrid Lindgren, Augusta Strindberga, Kornela Makuszyńskiego, Jana Brzechwę, Juliana Tuwima, Janusza Korczaka, po ukochane przeze mnie wówczas teksty Andrzeja Maleszki (pamiętacie „Mechaniczną Magdalenę”? A „Ofelię”? Czy ktoś oglądał „Ofelię”? Kochałam to przedstawienie!).

Dla dzieci – dla nas – pracowali najwięksi reżyserzy, a w postaci z bajek wcielali się tacy wybitni aktorzy jak Irena Kwiatkowska, Anna Seniuk, Marta Lipińska, Artur Barciś, Jerzy Bończak, Wiktor Zborowski, Anna Dymna, Barbara Wrzesińska czy Jan Kobuszewski.

W telewizji publicznej powstał także pan Fasola – w którego przez wiele lat wcielał się wspaniale Krzysztof Tyniec. Telewizja produkowała dziesiątki świetnych piosenek dla dzieci, które wyśpiewywały Fasolki, Natalia Kukulska czy Gawęda. To tam Krzysiek Tik-Tak (Krzysztof Marzec) i Ciotka Klotka (Ewa Chotomska) razem z Zającem Poziomką i Krasnalem Hałabałą objaśniali dzieciom świat, a zapracowane „matki siedzące w domu z dziećmi” mogły co rano włączyć im „Domowe przedszkole” i mieć gwarancję edukacji na wysokim poziomie, nie bojąc się, że dzieci zobaczą głównie porcję reklam Świeżaków lub pełnych cukru pseudozdrowych produktów spożywczych.

Pisząc ten tekst przekopywałam internet w poszukiwaniu linków do tych wszystkich produkcji, było to rzecz jasna zadanie na poły detektywistyczne, pełne wizyt na forach dla nieuleczalnych nostalgików, co tak jak ja lubią sobie nierozważnie pozłorzeczyc na dzisiejsze czasy, zwłaszcza w kontekście oferty kulturalnej dla dzieci. I bardzo mi przykro – nie mam dobrych wieści. Jeśli w internecie jest wszystko, to spektakle Teatru Młodego Widza i inne bezcenne archiwalia są tam całkiem dobrze schowane. Chyba że ktoś umie szukać lepiej ode mnie – wtedy proszę o pomoc. A może jeśli będzie nas więcej, uda się nakłonić instytucję taką jak choćby Filmoteka Narodowa – Instytut Audiowizualny do poszerzenia internetowej oferty? Skoro jest na jej (bardzo bogatej) stronie miejsce na świetne polskie dokumenty, na spektakle dla dorosłych, na audycje radiowe – czy nie byłoby wspaniale móc włączyć w ten poczet również spektakle i produkcje telewizyjne dla dzieci? Ja wiem, mają złą metrykę, ale nie tylko one urodziły się przed 1989 r. ©

Ściskamy Marysię, Michała, Piotrkę
Sobocińskich i ich rodziny po odejściu

Dziadka

Kot i Iwo

POŻEGNANIE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

KIEDY PRAWO MA WĄSY

EWA ŁĘTOWSKA:

Prawo ma chronić kobietę na rynku pracy, bo jest na nim słabsza. I tu jest haczyk. Bo jeśli prawo obwaruje jej zatrudnienie szeregiem wymogów, to który pracodawca dobrowolnie taką zatrudni? Zawsze wybierze mężczyznę.

RAFAŁ WOŚ: Równy sto lat temu, 28 listopada, kobiety dostały w Polsce prawa wyborcze.

EWA ŁĘTOWSKA: Nie „dostały”, tylko sobie wywalczyły.

Racja, wywalczyły.

To, że akurat Piłsudski jest podpisany pod dekretem, który stanowił, że „wyborcą do Sejmu jest każdy obywatel Państwa bez różnicy płci”, nie znaczy jeszcze, że to on „dał” kobietom prawa polityczne. To było raczej ukoronowanie długiego procesu emancypacji na rozmaitych polach. W 1906 r. działający w pierwszej Dumie rosyjskiej polski prawnik Leon Petrażycki – zresztą równolatek Piłsudskiego – mówił tak: równouprawnienie kobiet to nie jest kwestia dowodzenia, że to warto przeprowadzić. To jest sprawa wychowania i przyzwyczajania społeczeństwa do oczywistości, za którą trzeba nadążyć.

No, ale jednak ta „oczywistość” stała się faktem dopiero w 1918 r. Kilka lat później niż w takiej Finlandii, Danii czy Norwegii. Ale za to wcześniej niż w Wielkiej Brytanii, Francji albo Hiszpanii.

Wynik szczęśliwego splotu okoliczności. Już pod zaborami polskie kobiety nie były bierne. Robiły ruch niepodległościowy. Angażowały się w akcje społeczne. Wiele kobiet wchodziło na drogę emancypacji, próbując rozwijać swoje talenty. A jak nie mogły tego robić na ziemiach polskich – a na przy-

kład w Kongresówce nie mogły – to jechały za granicę. Skłodowska pojechała na studia do Paryża.

Róża Luksemburg do Szwajcarii.

Aż wreszcie przyszła I wojna światowa i stworzyła dogodne okoliczności ekonomiczne do formalnej emancypacji. Nie tylko w Polsce. W traktacie wersalskim prócz zapisów dotyczących nowych granic w powojennej Europie znalazły się też kawałki o równouprawnieniu płacowym kobiet i mężczyzn. Bardziej to była deklaracja niż nakaz. Ale to tam jednak było.

Skąd to się w Wersalu wzięło?

Wielkie wojny – a ta z lat 1914-18 to była naprawdę straszna wojna – zawsze zmieniały układ sił. Nie tylko między mocarstwami. Ale także relacje wewnątrz społeczeństw. U nas I wojnę opowiada się zazwyczaj z perspektywy jej szczęśliwego dla nas zakończenia – czyli roku 1918 i odzyskania niepodległości. Umyka fakt, że był to konflikt niezwykle krwawy. Te straty ludzkie doprowadziły do zmian w układzie sił wewnątrz wszystkich krajów biorących w niej udział. Pozycja kobiet wzrosła, bo w wielu miejscach musiały zastąpić mężczyzn na rynku pracy. Formalna emancypacja polityczna była potwierdzeniem tego, co się faktycznie wydarzyło.

Ale nie wszędzie w tym samym przecież momencie. W takiej Szwajcarii prawa wybor-



cze zostały przyznane kobietom dopiero w latach 70.

Bo prawo to nie jest maszyna, która wszędzie w tym samym tempie się porusza. To jest rodzaj organicznej nakładki na faktyczne stosunki społeczne. I na tradycję też. Akurat Szwajcaria miała inną dynamikę polityczną pierwszej połowy XX wieku. Ale nie ma co poprawiać sobie tanio humoru mówieniem, że „u nas szybciej niż w Szwajcarii”. Bo akurat tam kobiety mogły studiować, jeszcze zanim się taka możliwość otworzyła w Warszawie czy Krakowie.

Pamiętam, że jak pojechałam na stypendium do Szwajcarii i poszłam do biblioteki, to trafiłam zaraz na taki tekst, że do dziś go pamiętam. Susan Emmenegger suwerennie rozłożyła na drobne kawałki paternalizm samego prawa cywilnego. O żadnym zahukaniu Szwajczarek mowy być więc nie może. Raczej przeciwnie.

No więc poszły kobiety w Polsce do wyborów w 1919 r., kilka nawet zostało posłankami i co? Stały się równe mężczyznom?
Jasne, że nie. A teraz są równe?

O to właśnie chciałem zapytać.

Stała się rzecz typowa. Prawa kobiet zostały potwierdzone w konstytucji marcowej z 1921 r. Konstytucja obiecywała wiele. Ale jednocześnie ta sama konstytucja nic prawie nie mówiła, jak to równouprawnienie ma wyglądać. Jak je w praktyce osiągnąć. Teraz jest zresztą bardzo podobnie. Konstytucja z 1997 r. też bardzo wiele kobietom obiecuje.

Co konkretnie?

A czegoż ona nie obiecuje? Cały art. 33 polskiej konstytucji jest temu poświęcony. Równe prawo do kształcenia. Do zatrudnienia. Do awansów. Do jednakowego wynagrodzenia za pracę jednakowej wartości. Do zabezpieczenia społecznego. Nawet do godności publicznych i odznaczeń. Nawet takie zapisy tam mamy!

No to super.

Ale tu są haczyki. Haczyk pierwszy jest związany z oszustwem, którego prawnicy notoryczni się dopuszczają wobec całego społeczeństwa.

Oszustwa prawników? Coraz ciekawiej...



EWA ŁĘTOWSKA jest profesorem prawa. Pierwsza rzecznik praw obywatelskich w historii Polski. W latach 2002–2011 orzekała w Trybunale Konstytucyjnym, a wcześniej w Naczelnym Sądzie Administracyjnym. Autorka wielu książek. Nie tylko prawniczych. Ostatnio wydała (z Krzysztofem Pańtowskim) książkę dla dzieci „Jak urządzić skrzatowisko?”.

→ W normalnym życiu jak mówimy, że ktoś coś „ma”, to znaczy, że to naprawdę „ma”. Ale jak prawnik mówi, że ktoś coś „ma” albo coś „jest”, to znaczy, że to coś „powinno być”. To jest ta cała perfidia naszej konstytucji z 1997 r. Z tamtą z 1921 r. było podobnie.

Czemu perfidia?

Bo wiele się mówi, jakie te konstytucje ważne. Jak fundamentalne dla demokratycznego ładu. Ale jak przychodzi do konkretów, to się okazuje, że niewiele regulują wprost. W większości przypadków odsyłają do dalszych przepisów. W większości przypadków konstytucja mówi więc, że „powinno być tak i tak”, ale jak konkretnie? O tym zdecyduje ustawa uchwalona później.

Albo i nieuchwalona.

Albo nawet uchwalona, ale w taki sposób, żeby poprzez ustawienie szeregu wyjątków tak wydrążyć treść konstytucyjnej zasady, aby została pusta.

I chce Pani powiedzieć, że z równouprawnieniem kobiet i mężczyzn jest w Polsce podobnie?

Mój nauczyciel prawa profesor Jan Gwiazdomorski mawiał, że prawa kobiet i mężczyzn są równe, ale nie jednakie. A to dlatego, że różne są ich potrzeby i interesy. Niby to oczywiste, bo wynika wprost z uwarunkowań psychofizycznych. To musi się odbijać w prawie.

I nie odbija się?

Czasem tak, a częściej nie. A czasem się odbija pokracznie. Wiele tu zależy od tego, kto pisze prawo i kto ustala jego wykładanie. W historii – także najnowszej – aż nadto jest przykładów, że prawo pisane jest przez mężczyzn i jakby pod mężczyzn. Takie prawo z męską twarzą.

To się nazywa „prawo z wąsem”.

Też ładnie.

Jakiś przykład wąsatego prawa?

Na początek trywialny i mam nadzieję, że nikogo nie zniesmaczymy. Ale ten przykład dobrze oddaje istotę rzeczy. Chodzi o toalety. Ja często chodzę do teatru i tam w czasie przerwy jest zawsze kolejka do damskiej. A do męskiej nie ma.

Nie jeden czytelnik pewnie potwierdzi, że nie tylko w teatrach.

Taka kolejka to nie tylko niedogodność. To również dowód, że prof. Gwiazdomorski miał rację. Równouprawnienie rozumiane jako takie same prawa nie działa w praktyce.

Jak to?

Pan uważa: ktoś stworzył normatyw, że w teatrze powinno być tyle i tyle miejsc toaletowych. I podzielił je na panów i na panie pół na pół. I podzielił źle. Bo nie wziął pod uwagę, że kobiety są – że tak powiem – biologicznie trudniejsze w obsłudze. To też należałoby dać im w tym przypadku więcej.

Chyba rozumiem. Dopiero to „więcej” w praktyce oznaczałoby „równo”.

Ale możliwa jest też sytuacja odwrotna. Czasem prawo pozornie pomaga nadając jakiś przywilej. Który faktycznie szkodzi, bo dyskryminuje. I to już nie jest rzecz trywialna. W roku 2010 orzekałam w Trybunale Konstytucyjnym. Zadanie polegało na sprawdzeniu, czy przepis o niższym wieku emerytalnym dla kobiet niż dla mężczyzn jest zgodny z konstytucją. Zapytał o to Rzecznik Praw Obywatelskich.

Takie rozróżnienie istniało jeszcze w PRL-u i argument za nim był tradycyjnie taki, że kobiety mają inną konstrukcję psychofizyczną od mężczyzn. Nie powinny więc pracować tak długo i ciężko jak oni.

Ten argument był zasadny aż do reformy emerytalnej rządu Buzka z 1998 r. Bo wtedy zmianie uległa logika wyliczania emerytur.

Od zasady zdefiniowanego świadczenia, czyli że po osiągnięciu wieku emerytura się należy. Do reguły zdefiniowanej składki: ile sobie w czasie zawodowej aktywności wypracujesz, tyle będziesz miał na starość.

I już w tym nowym układzie różny wiek emerytalny kobiet i mężczyzn jest dyskryminującym przywilejem. Na dzień dobry obcina kobietom wysokość świadczenia o pięć lat niepłaconej składki. Oczywiście każdy może powiedzieć, że kobieta może pracować dłużej. Ale w praktyce wiadomo, że pracownicy po osiągnięciu wieku emerytalnego są przez pracodawców wypychani. Pamiętam, że podniosłyśmy te argumenty w czasie posiedzeń Trybunału.

My?

Kobiety, a kto inny? Ja, Teresa Liszcz i Sławomira Wronkowska-Jaskiewicz.

A sędziowie płci męskiej?

Mężczyźni tego nie wyłapali! A gdy im pokazałyśmy problem, to odpowiadali, że na przykład w polskim systemie kobiety odgrywają rolę kapitału opiekuńczego państwa. Więc jak odchodzą na emeryturę, to wcale nie próżnują. Tylko się opiekują wnukami. Czasem zniedołężniałymi rodzicami. Słowem, są systemowi potrzebne.

Trudno zaprzeczyć, że tak właśnie w Polsce jest.

No, ale ja się pytam, czy to jest *fair*? Czy odpowiedzialność za niewydolność państwa w sferze socjalnej powinna być przerzucona według klucza płciowego na kobiety?

Trybunał wtedy orzekł, że różny wiek kobiet i mężczyzn jest zgodny z konstytucją.

Tak. A my we trzy zgłosiliśmy zdania odrębne. „*Timeo Danaos et dona ferentes*” – to po łacinie jest.

Domyśliłem się.

„Obawiam się Greków, nawet gdy niosą dary”. W przypadku praw kobiet ta zasada często bywa prawdziwa.

A jak jest z równouprawnieniem w prawie pracy?

Tam to widać jeszcze bardziej. W zasadzie całe prawo pracy, które się w Polsce po roku 1918 kształtowało cały czas, zresztą pod wpływem ówczesnych prądów w międzynarodowym prawie pracy, musiało się z takimi dyskryminującymi przywilejami mierzyć. Problem wrócił w III RP. Prawo ma chronić kobietę na rynku pracy, bo jest na nim słabsza. A jest słabsza, bo jest kobietą. I może rodzić dzieci. Co ją na rynku pracy cofa o parę pół. Ale tu haczyk. Bo jak ją za bardzo prawo weźmie pod opiekę i obwaruje jej zatrudnienie szeregiem specyficznych wymogów, to który pracodawca dobrowolnie taką zatrudni? Zawsze jak będzie miał do wyboru mężczyznę i kobietę, to wybierze mężczyznę. Konstytucja ze swoim artykułem 33 swoje, a życie swoje.

Pamiętam taki moment sprzed kilku miesięcy, gdy komisja kodyfikacyj-

na pisała nowy kodeks pracy. Był tam pomysł, żeby trochę poluzować ochronę zatrudnienia kobiet w ciąży. Ale nie wszędzie, tylko w najmniejszych firmach. Tych, gdzie pracują trzy osoby i kiedy jedna idzie na zwolnienie, to jest innego kalibru problem niż w przypadku kilkuset-osobowej korporacji. Autor pomysłu, prof. Arkadiusz Sobczyk z Krakowa argumentował, że ta zmiana miała przekonać mniejsze firmy do tego, żeby nie omijały kobiet w wieku rozrodczym w swoich procesach rekrutacyjnych. Żeby się ich nie bały. I co z tego wyszło?

Pomysł przeciekł do mediów i został gremialnie zlinczowany jako zamach na ochronę zatrudnienia ciężarnych. Zresztą cały nowy kodeks w końcu poszedł do szuflady.

Dobrze, że pan to przytacza. Nie znałam tego. Sam pomysł różnicowania ochrony w zależności od tego, kto jest pracodawcą, nie jest zły. Ale dobrze tu widać błędne postrzeganie roli prawa. Wiara, że prawo nas zabezpieczy na każdą ewentualność, jest ułudą. Ono może trochę pomóc, ale świata nie zmieni. Równouprawnienia też nie załatwi.

Sądziłem, że prawnicy to akurat wierzą w prawo.

Prawnicy to, proszę pana, żyją w świecie oderwanym od realiów. Oni myślą, że jak prawo powie, iż coś ureguluje, to właśnie tak będzie. Ja bardzo sobie cenię Braudela. Pan zna Braudela?

Fernand Braudel, francuski historyk. Pisał o długim trwaniu, ale sam już nie żyje.

On rozumiał, na czym polega funkcjonowanie w warunkach rozwiniętej gospodarki rynkowej – rozwiniętej, czyli nie tej ze szkółki niedzielnej dla wolnorynkowców, tylko takiej, którą mamy dziś.

Ekonomiści mówią coraz częściej „realny kapitalizm”.

Tak, realny kapitalizm. Z produktami finansowymi, potężnym sektorem finansowym, możliwościami wpływania przez kapitał na polityków i opinię publiczną.

Czyli na przykład Polska 2018 r.

O tak! Ten Braudel rozumiał, że w tym świecie prawo staje się bronią w rękę sil-

EWA ŁĘTOWSKA:

Czy odpowiedzialność za niewydolność państwa w sferze socjalnej powinna być przerzucona według klucza płciowego na kobiety?

niejszego. Nie jest żadną czystą i przeźroczystą regulacją, tylko elementem opresyjnym. Mechanizmem sprawowania władzy przez kapitał. Ten, kto chytrzej posłuży się instytucją spółki albo instrumentem finansowym, ten wygrywa. Bo realny kapitalizm nie zaprzęga prawa do służby słusznej regulacji. Tylko do służby zysku. Ale my mamy często zbyt naiwnych prawników i polityków, żeby to dostrzec. Płacą za to słabi.

Słabi, czyli kto?

Przed wszystkim pracownicy. A wśród pracowników kobiety. Jako słabszy rodzaj pracownika. Oczywiście nie wszystkie i nie wszędzie. Wiele radzi sobie świetnie na kapitalistycznym rynku pracy. I bardzo dobrze. Ale wiele niestety płaci słono.

Było o II RP. Było o III RP. A PRL? Jak tamten ustrój realizował postulat równouprawnienia? Polska Ludowa była siemiężna.

To wiemy.

Ale i pocziwa. Nie było tylu narzędzi do wywierania przemocy ekonomicznej. Nie tylko na kobiety, ale w ogóle na ludzi. Nie było globalizacji skutków tych działań. Prawo było narzędziem opresji, ale takiej bezpośredniej – głównie policyjnej. To sprawiało, że łatwiej było taką patologię namierzyć. Napętnować. Byłam pierwszym rzecznikiem praw obywatelskich w schyłkowej fazie PRL. Wiem coś o tym.

Czyli mówi Pani, że teraz jest trudniej bronić praw obywatelskich? W tym praw kobiet?

Mówię, że jest inaczej. Pod wieloma względami trudniej. Wszystko dlatego, że gospodarka rynkowa jest znacznie bardziej wyrafinowana. A przez to i znacznie bardziej opresyjna. Właśnie poprzez me-

chanizm przemocy ekonomicznej. Dzisiaj, żeby kogoś uciszyć lub wymóc jego posłuszeństwo, nie trzeba jego czy jej koniecznie wsadzać do więzienia. Starczy zagrozić, że straci pracę. Większość potulnieje.

W PRL-u też mógł zagrozić.

Pewnie, że mógł. I nawet to robił. Ale w kapitalizmie utrata pracy boli bardziej. Bo bez płacy nie spłacisz kredytu. Bez pracy nie wykształcisz porządnie dzieci. Bez pracy utracisz bezpieczeństwo emerytalne. Słowem, łatwiej w kapitalizmie zmuszać do uległości prostym szantażem. Albo będziesz grał wedle naszych reguł, albo cię wygonimy z naszego raj. W tym systemie presja na słabszego jest nieporównywalnie większa. A na kobiety w szczególności. Bo kobiety to słabszy pracobiorca. W konsekwencji również słabszy podmiot prawa w kapitalistycznej rzeczywistości. W takim kraju jak Polska sprawiedliwość – owszem – istnieje. Ale trzeba ją sobie wyszarpać. Im kto słabszy, tym szarpie słabiej. Ja nie chcę przez to powiedzieć, że w PRL z prawami było cudownie. Zwłaszcza gdy chodzi o równouprawnienie kobiet. W Polsce Ludowej istniało na przykład takie błogie przekonanie, że dyskryminacji nie ma. Jak nie było?! Była!

„Baba na świeczniku”. Co z nią?

To tytuł Pani książki sprzed lat, opisującej doświadczenia z czasów, gdy była Pani pierwszym RPO. Czy to, że była Pani „babą”, a nie „chłopem”, miało znaczenie we wchodzeniu na świecznik?

Jasne, że miało. Najpierw pomogło. Mówili mi potem, że czynniki partyjne, które podejmowały decyzję, komu powierzyć funkcję pierwszego rzecznika, myślały, że z babą pójdzie im łatwiej. Że będą mogli sterować. Słabo poszło. Więc potem zaczęło przeszkadzać.

Skąd Pani wie?

Też z tzw. sygnałów nieoficjalnych. Ale dość pewnych. Potem – już po przełomie – moja kandydatura do innych urzędów znów się pojawiała. Ale wtedy krytycy już mówili coś innego.

Co?

Mówili: „Nie dość że baba, to jeszcze niesterowna”.

© Rozmawiał RAFAŁ WOŚ



WIARA

ZAWSZE JEST PIERWSZY RAZ

Wchodzimy w okres, w którym zostaniemy skonfrontowani
z Bożym Źródłem naszego istnienia.
To adwent, czyli oczekiwanie Przyjścia.

PIOTR SIKORA



*Roraty w parafii pod wezwaniem
św. Jadwigi Śląskiej w Szopienicach.
Katowice, 2010 r.*

MICHAŁ ŁUCZAK DLA „JP”

JEDZIEMY SAMOCHODEM DOBRZE ZNANĄ trasą, na przykład do rodziny mieszkającej w innym mieście, rozmawiamy o planach na wakacje („Może by tak... A może by jednak... Znowu tam? A nie lepiej...”). Chwila nieuwagi, ktoś nagle wyjeżdża z podporządkowanej i... rozbity samochód, nici z rodzinnego spotkania i trzeba zmienić wakacyjne plany!

Nawet jeśli nikt nie odniósł obrażeń, jesteśmy po takim wydarzeniu zszokowani. Ale przecież nie stało się nic nadzwyczajnego. Nadeszła nowa rzeczywistość, jak zwykle, jak w każdym momencie – tylko tym razem na tyle brutalnie niepodobna do naszych oczekiwań i naszego obrazu

świata, że nie mogliśmy przeoczyć jej nowości.

Ujawniła się fundamentalna prawda: rzeczywistość, w której jesteśmy zanurzeni, nie trwa, ale przemija. Przemija – czyli w każdym momencie, wciąż nowa nadchodzi. Wiele jednak wskazuje, że nasza otwartość na jej nadejście jest niepełna. Dlatego potrzebujemy adwentowej ascezy – tj. ćwiczenia świeżości spojrzenia. Słowo „adwent” pochodzi wszak od łacińskiego *advenire* (przychodzić).

Zniekształcenia percepcji

Psychologowie badający naszą percepcję zmysłową odkryli, że nabyte w przeszłości oczekiwania, nastawienie na to, co spodziewamy się ujrzeć, w wielkim stopniu wpływają na to, co aktualnie widzimy. Liczne eksperymenty dowodzą, iż tego rodzaju zniekształcenia postrzegania dotyczą nawet prostych figur geometrycznych. Jeśli ktoś był przygotowany, że za chwilę zobaczy kwadrat, to w momencie, gdy eksperymentator pokazuje mu figurę geometryczną, często jest przekonany, iż właśnie widzi kwadrat, pomimo, że tak naprawdę ma do czynienia z prostokątem lub trapezem.

Aby radzić sobie ze złożoną rzeczywistością, tworzymy tzw. schematy poznawcze, które następnie mogą kształtować nasze postrzeganie tego, co nowe. Schematy takie odgrywają ogromną rolę w poznawaniu rzeczywistości społecznej. W jednym z eksperymentów psychologowie pokazywali dwóm grupom badanych kilkunastominutowy film, przedstawiający domowe czynności pewnej kobiety. Jednej grupie powiedziano, że kobieta jest bibliotekarką, drugiej zaś – że kelnerką. Relacje obu grup z przeprowadzonej obserwacji znacząco się różniły – dopasowując się do społecznych stereotypów bibliotekarek i kelnerek. Obserwatorzy „bibliotekarki” w większości nie zauważali lub nie pamiętali, że kobieta piła piwo (alkohol niezbyt pasuje do wizerunku kustoszki literatury).

Oczywiście, schematy tworzą się na podstawie doświadczenia, a więc kontaktów z rzeczywistością. Niemniej doświadczenie przeszłe może nas zamykać na nowość doświadczenia przyszłego. Większość eksperymentów dowodzi istnienia tzw. efektu pierwszeństwa – pierwsze informacje zdobyte w danej dziedzinie stanowią filtr, poprzez który interpretujemy wszystkie następne, jakoś w naszej perspektywie związane z poprzednimi. Na

przykład pierwsze wrażenie, które zrobi na nas nowo poznany człowiek, w dużej mierze określa, jak będziemy oceniać i rozumieć jego następne zachowania. Istnieje także efekt uporczywości, tj. trudność w porzuceniu ugruntowanego schematu poznawczego, nawet jeśli nowe dane stoją z nim w sprzeczności.

Schematy poznawcze mają tym większy wpływ na postrzeganą rzeczywistość i tym trudniej je nam zmienić, im bardziej są powiązane z naszym pozytywnym obrazem siebie i dotychczas uzyskaną tożsamością. Jeśli nowe dane są z tamtymi sprzeczne, tworzy się tzw. dysonans poznawczy. Powoduje on ignorowanie lub reinterpretowanie informacji niezgodnych z naszymi poglądami wzmacniającymi poczucie własnej wartości (np. wskazujących na bezsensowność naszych dotychczasowych zachowań).

Dotychczasowa droga życiowa wpływa zatem na sposób odbioru aktualnie napotykaną, nowo nadchodzącą rzeczywistość. W procesie poznawczym nie jesteśmy bezstronni, bo „udowadniamy” sobie, że podjęte wcześniej decyzje były rozsądne, warte włożonego wysiłku czy też moralnie sprawiedliwione.

Znieczulenie na świat

Przeszłość nie tylko potrafi zniekształcić obraz wciąż nowo nadchodzącej teraźniejszości – lecz także na nią znieczula. Psychologowie dobrze zbadali ten proces. Polega on na stopniowym zaniku reakcji na powtarzający się bodziec. Innymi słowy: przyzwyczajamy się do tego stopnia, że przestajemy zauważać zjawiska występujące w naszym otoczeniu często, a na tyle podobne do siebie, że łatwo jest nam je traktować jako powracające „znowu to samo”.

Owszem, bywa to pożyteczne w codziennym funkcjonowaniu, jak choćby w przypadku ludzi mieszkających niedaleko torów kolejowych – hałas przejeżdżających pociągów nie budzi ich w nocy, a w dzień nie przeszkadza w rozmowach i w pracy. Odcina nas to jednak od nowych aspektów rzeczywistości – schematycznie, z reguły na przedświadomym poziomie, traktowanych jako coś, co już dobrze znane i niewarte uwagi. Niestety, bywa i tak, że w ten sposób filtrujemy nie tylko hałasy za oknem, lecz także ważne sygnały wysyłane do nas przez bliźnich.

Schematy poznawcze nie są czymś zupełnie złym. Pozwalają szybko orientować się w sytuacji. Wykrycie w świecie →

→ regularności i pomijanie drobnych odchyień od tego, co „zwykłe”, ułatwia sprawne działanie organizmu i umożliwia oszczędność energii oraz zasobów poznawczych.

Równie pożyteczna jest zdolność naszego umysłu do internalizacji pewnych wzorców działania i do automatyzacji wielu, nawet skomplikowanych czynności. Każdy kierowca pamięta zapewne swoje pierwsze godziny na lewym przednim fotelu samochodu – gdy ogarnięcie wszystkich działań, niezbędnych, by auto poruszało się bezpiecznie po drodze, wydawało się zadaniem niemal niewykonalnym, a na pewno całkowicie absorbującym uwagę i zasoby poznawcze. Po jakimś czasie większość z nas wykonuje te czynności niemal automatycznie, a poza wyjątkowo trudnymi sytuacjami na drodze może – prowadząc samochód – wieść równocześnie z pasażerami poważną konwersację.

Schematy i nawyki, które pozwalają oszczędzać energię oraz zasoby poznawcze, umożliwiają tym samym wykorzystanie ich do realizacji nowych zadań, poszukiwania odkryć w nowych rejonach rzeczywistości. Są konieczne nie tylko do przeżycia, lecz także niezbędne do rozwoju cywilizacji i kultury oraz do funkcjonowania w niej.

Mogą jednak stać się również przekleństwem, oddzielającym nas od rzeczywistości i utrzymującym złudny obraz świata. Gdzie leży granica? I jak ją rozpoznawać?

Jednym z podstawowych sygnałów wskazujących, że potrzeba nam przemiany umysłu, jest nasza reakcja na to, co zaskakujące, niezgodne z naszymi oczekiwaniami, burzące nasze plany: gdy pojawia się w nas w takiej sytuacji szok, złość albo niepewność i strach.

Absolutna nowość Boga

Schematy i nawyki mogą być pożyteczne także w sferze, którą chrześcijanie nazwiliby „stworzeniem”. To jej właśnie dotyczy obserwacja Koheleta, który pisał: „To, co jest, już było, a to, co ma być kiedyś, już jest; Bóg przywraca to, co przeminęło” (Koh 3, 15).

Jednak o sobie samym Bóg mówi inaczej: „Ja jestem Alfa i Omega, Początek / Źródło / Zasada i Koniec / Cel / Spełnienie, Bóg, który jest, który był, Przychodzący” (Ap 1, 8). Jeśli zaś Bóg jest absolutnie Przychodzącym, to schematy, automatyzmy i nawyki muszą ostatecznie być porzu-

cone w procesie poznania boskiej Rzeczywistości. Także w rozpoznaniu Jego działania i w doświadczeniu tego aspektu świata, który to działanie i obecność mógłby objawić. Bóg bowiem nie tylko nazywa siebie Przychodzącym, ale mówi też: „Oto czynię wszystko nowe” (Ap 21, 5b).

Już w Pierwszym Testamencie można dostrzec objawienie zawsze nowej obecności i działania JHWH – to, że jest Bogiem przychodzącym i przynoszącym ze sobą absolutnie nową rzeczywistość. Można w Biblii przeczytać, że rozpamiętywanie przeszłości i przywiązanie do niej może przeszkodzić w rozpoznaniu Jego nadchodzącej Obecności. Oto Izajasz, najbardziej adwentowy prorok Izraela, głosi: „Tak mówi Pan, / który otworzył drogę przez morze / i ścieżkę przez potężne wody; / który wiódł na wyprawę wozy i konie, / także i potężne wojsko; / upadli, już nie powstaną, / zgaśli, jak knotek zostali zdmuchnięci. / Nie wspominajcie wydarzeń minionych, / nie roztrząsajcie w myśli dawnych rzeczy. / Oto Ja dokonuję rzeczy nowej: / pojawia się właśnie. Czyż jej nie poznacie?” (Iz 43, 16-19).

Warto sobie uświadomić, że w powyższym fragmencie prorockie słowo kwestionuje fundamentalną praktykę Izraela, w najbardziej uroczysty sposób powtarzaną podczas świętowania Paschy: wspomnianie wyjścia z Egiptu. Pierwsze wersy cytowanej wyżej wypowiedzi wyraźnie bowiem wskazują, że właśnie ta historia – konstytutywna przecież dla Izraela – jest określana jako wydarzenia minionie, których już nie należy wspominać. Zamiast wspomniania trzeba – mówi Bóg przez proroka – skoncentrować uwagę na czymś zupełnie nowym, o nie mniejszym religijnym znaczeniu niż wyzwolenie z Egiptu, synajskie objawienie i wprowadzenie do ziemi obiecanej – czymś, co właśnie teraz się pojawia.

Także mistrzowie duchowości chrześcijańskiej znali wagę wspomnianych wyżej biblijnych motywów. Mistrz Eckhart powiada, że wszyscy ludzie, nawet tak do brzy, że swoje „uczynki spełniają tylko ze względu na Boga i nie szukają w nich swego”, którzy „są jednak przywiązani do własnego ja, do czasu i liczby, do »przed« i »po«, w tym swoim działaniu „natrafiają na przeszkody w dążeniu do osiągnięcia najwyższej Prawdy”.

Dlatego też ów średniowieczny dominikanin wskazuje, że ci, którzy chcą przebić się przez powierzchnię rzeczywistości i do-

trzeć do ukrytego w niej Boga, „powinni być tak wyrzuci i wolni, jak wyrzuty i wolny jest Pan nasz, Jezus Chrystus”, który „nieprzerwanie i poza czasem, ciągle na nowo, otrzymuje swój byt od swego niebieskiego Ojca, a w tej samej chwili nieustannie też się rodzi dla Ojcowskiego majestatu, w doskonały sposób, przez dziękczynne uwielbienie, równy Mu godnością”. Tak więc „taką samą postawę powinien przybierać człowiek, który chce się otworzyć na przyjęcie najwyższej Prawdy i w niej żyć, bez »przed« i »po«, bez żadnej przeszkody ze strony tych wszystkich uczynków i obrazów, które kiedyś miał, wyrzuty i wolny, w owym »teraz« otrzymując ciągle na nowo Boży dar i z kolei rodząc go bez przeszkód w tym samym świetle, w Panu naszym, Jezusie Chrystusie, w dziękczynnym uwielbieniu”.

Inny wielki mistyk, Jan od Krzyża, z naciskiem podkreśla, że w trakcie modlitwy kontemplacyjnej pamięć „ma ogołocić się i opróżnić, (...) by stała się nagą i pustą, jak gdyby nic przez nią nie przeszło – w pełnym zapomnieniu i zawieszeniu wszystkiego. To uwolnienie pamięci musi się odnosić do wszystkich form bez wyjątku. Inaczej nie będzie mogła zjednoczyć się z Bogiem. (...) Bóg bowiem nie podpada pod żadną formę ni żadne szczegółowe poznanie (...). Jeśli pamięć jest naprawdę zjednoczona z Bogiem, nie podpadając pod żadne formy i obrazy, jakie mogłaby uchwycić, jest sama bez formy i kształtu (...). Gdy działanie wyobraźni zniknie, pamięć zatapia się w najwyższym Dobru, w wielkim zapomnieniu – nie wie o niczym”.

Obaj mistycy zwracają tu uwagę, że wrażliwość na Boga jest powiązana z uwolnieniem świadomości od zgromadzonych w pamięci „obrazów” i form. W języku współczesnych badań nad świadomością oznacza to wyzwolenie się od wpływu nabytych schematów poznawczych, a więc z brakiem zdeterminowania aktualnego doświadczenia przez przeszłość.

Proces wyzwolenia

Doświadczenie pokoleń chrześcijan podążających duchową ścieżką jest zgodne z rezultatami współczesnych badań – wyzwolenie takie trzeba traktować raczej jako zawsze niedokończony proces. Wymaga on wytężonego wysiłku i wspierany jest przez wypracowane praktyki duchowe.

Podstawą jest tu pokora rozumiana jako samopoznanie i gotowość do zakwestionowania pozytywnej samooceny, a nawet

wszystkiego, co uznajemy za własną tożsamość. Bez pokory nie można na przykład przezwyciężyć negatywnych efektów dysonansu poznawczego, nie da się więc przyjmować Boga, jaki jest, zamiast tworzyć sobie Jego obrazy – dobrze służące obronie własnego „ego”.

Konieczne jest także uświadomienie sobie, iż wszystkie nasze religijne schematy – obrazy Boga i koncepcje Jego obecności oraz działania w naszym życiu – są tylko naszym, koniecznym w pewnym momencie do wyrzucenia balastem, „słomą”, jak stwierdził św. Tomasz z Akwinu. Tym, co naprawdę potrzebne, jest wiara rozumiana jako czysta otwartość w całkowitej ciemności. Owszem, nabyte podczas religijnego wychowania i na skutek doświadczeń życiowych obrazy, doktrynalne pojęcia i teorie, a także wspomnienia dotychczasowych religijnych przeżyć będą powracać do nas w każdym czasie, w którym będziemy próbowali trwać w wierze ciemnej, nagiej, otwartej na absolutną, nigdy dotąd nie spotkaną boską Nowość. Nie pozostanie wówczas nic innego, jak potraktować ów strumień bodźców niczym efemeryczny szum, ważny tak samo

jak dochodzące zza okna odgłosy ruchu ulicznego.

Tu jednak czyha na nas inna trudność. Przyzwyczajenie zrodzone w przeszłości jest powiązane z naszym układem nagrody – ukształtowanym wzorcem tego, co sprawia nam przyjemność, satysfakcję i radość. Boska Nowość przychodząca w naszej ciemnej wierze, nie będąc niczym, co znane, nie ma z tamtym nic wspólnego. Gdy zejdziemy pod powierzchnię przepływających przez nas form i obrazów, czeka nas cisza, która – jak ostrzega św. Jan Klimak – „przytłacza nie-doświadczonych”. Nie ma w niej bowiem niczego, co może służyć potrzebie ekscytacji, być środkiem jakiegokolwiek pozytywnego pobudzenia. Trwając w ciemnej wierze, możemy więc popaść w stan, przed którym przestrzega Izajasz: „Lecz ty, Jakubie, nie wzywałeś Mnie, bo się Mną znudziłeś, Izraelu!” (Iz 43, 22).

Prorok mówi tu o nudzie, w tradycji chrześcijańskiej duchowości stan ów nazwano acedią, owym „demonem południa”, który przybywa, gdy znużeni otaczającą rzeczywistością mamy poczucie, że nic się nie dzieje, że koniecznie trzeba

coś zmienić; gdy pojawia się przemożna pokusa poszukiwania nowych bodźców, wyraźnie odmiennych od tego, co – jak się zdaje – monotennie trwa ciągle i ciągle to samo. Jeden z najbardziej przenikliwych znawców acedii, ojciec pustyni Ewagriusz, opisując człowieka opanowanego przez tę słabość przedstawia mnicha, który wypatruje gości, nie może usiedzieć w celi, miota się, wynajduje powody, by odwiedzać innych pustelników.

Opanowanie przez acedię, mówi Ewagriusz, to „osłabienie duszy” – brak wytrwałości. Otwartość na cichą, ciemną boską Nowość wymaga wytrwałego skupienia, bo tylko „ten, kto posiadał wytrwałość, zawsze przebywa w pokoju”. Spokojna otwartość, skupiona na boskiej, niezmiennie nowej Obecności, pozwala też prowadzić powszednią egzystencję pośrodku stwarzanego wciąż na nowo świata, ale w pełnej wolności i równowadze pomiędzy korzystaniem z koniecznych do codziennego życia automatyzmów i schematów a świeżym zachwytem dziecka, dla którego wszystko dzieje się po raz pierwszy w życiu.

Zaczynamy advent. ©P PIOTR SIKORA

REKLAMA

JOSH GROBAN

18 GRUDNIA 2018
TAURON Arena
Kraków

NOWY ALBUM *BRIDGES* W SPRZEDAŻY OD 21.09

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

JOSHGROBAN.COM    



Halík na cenzurowanym

TOMASZ MAĆKOWIAK

Ktoś w kościelnej hierarchii chce zamknąć usta znanemu także w Polsce czeskiemu teologowi ks. Tomášowi Halíkowi. „Jestem zbyt stary na to, aby ktoś mógł mnie zatupać i w ten sposób uciszyć” – skomentował sam Halík.

SŁOWA TE PADŁY PO MSZY W PRASKIM Kościele akademickim św. Salwatora w niedzielę, 18 listopada – dzień po państwowym święcie Aksamitnej Rewolucji. Halík, który od lat odprawia tam wieczorne msze w nabitym zawsze do ostatniego miejsca kościele, zwykle na koniec wygłasza jeszcze parę słów, czasem komentując bieżące wydarzenia w świecie i w Kościele.

Tym razem jego wystąpienie odczytano jednoznacznie: ktoś, a najprawdopodobniej grupa wysoko postawionych osób w czeskim Kościele chętnie by księdza Halíka w jakiś sposób usunęła z przestrzeni publicznej, być może odbierając lub ograniczając mu swobodę komentowania spraw publicznych. Więcej szczegółów publicznie nikt nie podaje. Sam Tomáš Halík do chwili zamknięcia tego numeru „Tygodnika Powszechnego” nie odpowiedział na nasze pytania.

„Wspólne przesłuchanie”

Halík znany jest od lat z ciętego języka. Nigdy nie krył swoich sympatii ani politycznych, ani tych wewnątrzkościelnych. W Czechach katolicy są mniejszością (10 proc.), dlatego w wielu sporach występują po prostu jako jeden z wielu głosów w społeczeństwie. Fakt, że znany katolicki publicysta i profesor teologii chwali Václava Havla, a krytykuje jego oponentów, nikogo tam nigdy nie dziwił, pretensji nie mieli o to nawet ludzie Halíkowi niechętni. Na pewno zaś takie wystąpienia nigdy nie prowokują w Czechach tak dobrze znanych z Polski wyrazów oburzenia na księdza za to, że nie jest apolityczny i że opowiada się po jednej ze stron.

Nikogo też tam nigdy nie dziwiło, że księża i biskupi spierają się, i to publicznie. Na przykład tradycyjnie w Nowy Rok publiczna telewizja emituje godzinny program „Wspólne przesłuchanie”. Jego go-

spodarz – kard. Dominik Duka – zaprasza do niego co roku innego rozmówcę, z którym wspólnie omawia wydarzenia minionego roku i to, co czeka kraj w najbliższej przyszłości. Pierwszym gościem tego programu był przed laty Václav Havel. W roku 2016 naprzeciw kardynała w jego własnym gabinecie zasiadł krytyczny wobec niego profesor Tomáš Halík. Obaj znają się jeszcze z podziemia, z czasów brutalnych prześladowań Kościoła z czasów komunizmu.

Iskrzy między nimi od dawna, dlatego i tamta rozmowa nie była wolna od różnic poglądów, obaj jednak mówili o spornych kwestiach z wzajemnym szacunkiem. Poszło wtedy m.in. o to, że w czasie organizowanej z wielkim rozmachem praskiej Prague Pride dwie towarzyszące imprezy kulturalne zaplanowano w duszpasterstwie akademickim, którym kieruje Halík. Chodziło o spotkanie z amerykańską zakonnicą, która od lat publikuje na temat sytuacji homoseksualistów w Kościele, oraz o film Małgorzaty Szumowskiej „W imię”. Tuż przed wyznaczoną datą kardynał Duka zakazał obu imprez, co Halík przyjął z niechęcią, ale się podporządkował.

Znacznie ostrzejsze starcie wybuchło wraz z kryzysem uchodźczym. Duka (jak cały czeski Episkopat) zajął w tej sprawie stanowisko bardzo charakterystyczne dla Europy Wschodniej, uchodźców traktując jak podejrzanych intruzów, łącząc ich z terroryzmem i przestępczością. W swoich wystąpieniach kreślił wizję konfliktu cywilizacyjnego, strasząc rzekomą „islamizacją”. Wszystko to działo się w społeczeństwie, w którym antyislamska histeria osiąga rejestry nie spotykane nawet w Polsce. Dość powiedzieć, że najprawdziwsza antyislamska partia w tym kraju zyskała rok temu czwarte miejsce i 10 proc. głosów w wyborach – a muzul-

manów w Czechach jak nie było, tak nadal nie ma. Halík, przerażony tą retoryką strachu, wypowiadał się tak odmiennie od biskupów, że kardynał Duka wydał specjalne oświadczenie, krytykujące postępowanie i poglądy Halíka.

Mniejszych sporów było jeszcze więcej, ale chwilami nosiło to znamiona wymiany złośliwości. Kiedy kardynał Duka odebrał na Hradzie ważny państwowy order, Halík publicznie powiedział: „Wstydzilibym się przyjąć order od Zemana”.

Stosunek do obecnego prezydenta kraju, rozpitego, wulgarnego populisty, szczególnie ostro ich różni: Duka z Zemanem spotyka się wręcz demonstracyjnie i wyraźnie go wspiera. Halík przed wyborami w ub. roku (kiedy Zemana wybrano na II kadencję) głośno powiedział: „Na tego człowieka nie powinien głosować nikt, komu leży na sercu dobro naszego kraju”. I dodał, że się modli za Zeman, bo często się modli „za złych ludzi”.

Ten konflikt obserwuje od dawna cały czeski Kościół, ale nigdy dotąd nie doszło do poważnej próby sił i nie wiadomo, która ze stron lepiej odzwierciedla poglądy tej mniejszościowej wspólnoty. Ale moment przełomu chyba się zbliża.

„Odbiorą wam dzieci”

Najnowsza wojna zaczęła się 28 września, kiedy z okazji święta św. Wacława, w czasie transmitowanej w publicznej telewizji mszy, kazanie wygłosił znany i szanowany ksiądz Petr Pitha. Poświęcił je niemal w całości głośnej i w Polsce „Konwencji o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie”. Podpisana przez czeski rząd kilka lat temu, nadal nie jest ratyfikowana przez parlament, a jej zapisy zgodnie krytykują w Czechach tamtejsze kościoły chrześcijańskie, w tym katolickie.

Sposób, w jaki Konwencję skrytykował Pitha, wywołał jednak szok. „Wasze rodziny zostaną rozbite i rozpędzone, wystarczy, że powiecie dzieciom, że mężczyzna i kobieta nie są tym samym. Odbiorą wam dzieci i utajnią miejsce ich ukrycia, utajnią, komu je sprzedali. Określanie płci waszych niemowląt na podstawie spojrzenia na łono będzie zakazane. O swojej płci dziecko zdecyduje samo, dlatego będziecie zobowiązani wychowywać je bezpłciowo, nie będziecie mogli nawet nadać mu imienia” – mówił. „Homoseksualiści zostaną ogłoszeni rządzącą, uprzywilejowaną klasą, a wy będziecie należeć do klasy podrzędnej, pomocni-





Protest Anety Petani przeciwko kazaniu ks. Petra Pithy, Katedra św. Wita w Pradze, 16 października 2018 r.

czej i będziecie pracować pod rozkazami władających elit, które określają, co wolno, a czego nie wolno mówić”.

– W czeskim Kościele konserwatywne skrzydło w przeszłości nigdy nie występowało publicznie, bo zwykle odpowiedzią była ostra krytyka ze strony niereligijnej większości opinii publicznej – tłumaczy Josef Pazderka, dziennikarz, który przez cztery lata był korespondentem czeskiej publicznej telewizji z Warszawy i świetnie zna polskie realia. Obecnie jest redaktorem naczelnym portalu aktualne.cz.

– Ostatnio jednak kręgi konserwatywne zaczęły rosnąć w siłę, być może nie liczebnie, ale energiczniej upominając się o swoje – opowiada. – Główną rolę odgrywa tu praski kardynał Dominik Duka, który przeszedł wyraźną przemianę i teraz ostrzega przed groźbą emigracji, krytykuje Unię Europejską, gender. Dzięki temu od wagę do podobnych wystąpień znajdują

i inni, także ci, którzy są niechętni papieżowi Franciszkowi.

Kazanie Petra Pithy wywołało w mediach burzę. Krótco później feministyczna działaczka Aneta Petani, w samych spodniach i staniku oraz w koronie cierniowej na głowie weszła w proteście do katedry i stanęła przed ołtarzem podczas mszy odprawianej przez Dukę. Była to uroczysta msza z udziałem m.in. nowego ministra spraw zagranicznych oraz nowej ambasadorki Polski w Czechach. Zdjęcia rozebranej kobiety trafiły do gazet. Wcześniej jedno ze stowarzyszeń kobiecych doniosło do prokuratury na księdza Pithę, oskarżając go o szerzenie paniki.

Do krytyków przyłączył się Tomáš Halík. „To kazanie było naprawdę skandaliczne, nie sposób go pominąć milczeniem” – mówił w wywiadzie dla „Lidových Novin”. „Przedstawiona tam wizja to była fikcja rodem z horroru. A wygłoszono ją w katedrze, w czasie ważnego

dla Czech święta św. Wacława. To jest publiczne zgorszenie, które także szkodzi wizerunkowi Kościoła. Księża, pamiętając o skandalach seksualnych w Kościele, powinni się wykazywać większą pokorą”.

„Próby uciszenia mojego głosu”

Zdaje się, że właśnie te słowa wywołały reakcje ostrzejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Słychać to w wystąpieniu Halíka z 18 listopada. Zapewnia wprawdzie, że „nic dramatycznego się jeszcze nie stało i najpewniej się nie stanie” – lecz mimo to używa słów, jakich nie użył nigdy. „Ponieważ w czeskim Kościele nic się nie da ukryć, kilkoro z was już się mnie pytało o pewien konflikt wewnątrz Kościoła, który w ubiegłym tygodniu eskalował. Aby zapobiec szeptanym plotkom i przeinaczeniom, powiem otwarcie, jak to widzę. (...) Obecnie przeżywam próby uciszenia mojego głosu, wywierany jest na mnie nacisk, ale ja muszę nadal kierować się własnym sumieniem. Czasownik »bać się« już dawno musiałem wykreślić ze swojego słownika: bardziej trzeba bać się Boga niż ludzi. Powtarzam: nic dramatycznego się nie dzieje i ja też nie chcę eskalacji konfliktu. Mimo to proszę was jednak: gdyby mimo wszystko doszło do jakiegoś dramatycznego zwrotu, nie pozwólcie się porwać jakimkolwiek demonstrowaniem czy petycjom poparcia w mojej obronie”.

– Jest już całkiem jasne, że na Tomáša Halíka spada teraz znacznie większa niż wcześniej fala cichych pogroźek, wyzwisk, wielu chce mu utrudnić życie, zniechęcić do krytyki kard. Duki i jego zwolenników – uważa Josef Pazderka. – Halík stał się już jednak *de facto* człowiekiem-instytucją, dzięki swojej naukowej działalności w świecie, dzięki pozycji, jaką zajmuje w strukturach kościelnych w Rzymie, dzięki przyznaniu mu nagrody Templetona (w 2014 r.). Dlatego nie sądzę, żeby w tej sytuacji kard. Duka odważył się jakoś wyraźnie ograniczyć jego publiczną działalność.

Sam Halík swoje wystąpienie, jak zwykle okraszone żartami, zakończył poruszającym wyznaniem: „Przede wszystkim chcę wam powiedzieć: nie przestawajcie kochać Kościoła, nawet wtedy, kiedy pokazuje swoją brzydką twarz. W Kościele zakopane są złote skarby, choć czasem pokrywa je twarda skorupa, a bywa, że i kupa gnoju”. ©



Pielgrzymka ekumeniczna na szczyt klimatyczny Bonn–Katowice, 28 września 2018 r.

Naprawić świat nogami

BERNADETTE JONDA

**Takiej pielgrzymki w Polsce jeszcze nie było.
Nadchodzi z Zachodu.**

NIEKTÓRZY PRZESZLI PONAD TYSIĄC KILOMETRÓW. Pokonali ten dystans w ciągu ośmiu tygodni. Christian i Jens są w drodze już od 9 września. Joachim dołączył do nich przed tygodniem, ale wiadać po nim trudy ostatnich kilku dni. Codziennie pokonują pieszo od 24 do 30 kilometrów – nie każdego na to stać.

Teraz siedzą przy lampce wina lub szklance wody mineralnej przy wysokich stolikach w późnogotyckim kościele św. Mikołaja w Cottbus (Chociebuż) i dzielą się z miejscowymi parafianami spostrzeżeniami i doświadczeniami. Na torbach i plecakach hasło „Geht doch!” i jego polskojęzyczna wersja „Idźcie!”. Poniżej napis: „Ekumeniczna pielgrzymka dla sprawiedliwości klimatycznej”. Cottbus jest jednym z prawie 80 etapów długiej, starannie przygotowanej wędrówki, za którą kryje się głęboka idea.

W 2017 r. w Bonn odbyła się 23. sesja Konferencji Stron Ramowej Konwen-

cji Narodów Zjednoczonych w sprawie Zmian Klimatu – COP23 (skrót od: Conference of the Parties), popularnie zwanej szczytem klimatycznym. Z tej okazji grupa obrońców klimatu wybrała się w pieszą pielgrzymkę z Eisenach do Bonn. Pierwsza taka pielgrzymka – z Flensburga do Paryża – odbyła się dwa lata wcześniej, kiedy szczyt klimatyczny obradował w stolicy Francji. W tym roku zorganizowano go w Katowicach, dlatego to właśnie one stały się punktem docelowym pielgrzymów.

Stolica Górnego Śląska będzie gościć szczyt w dniach od 3 do 14 grudnia 2018 r. Weźmie w nim udział ok. 20 tys. ludzi z 190 krajów, w tym wielu polityków i naukowców oraz przedstawicieli organizacji pozarządowych. Cel sesji jest bardzo ważny: chodzi o wynegocjowanie zasad realizacji porozumień klimatycznych z Paryża. Dotychczasowe działania na rzecz spowolnienia zmian klimatu okazują się

niewystarczające. Wzrost średniej temperatury na naszej planecie w ostatnich latach niesie ze sobą dramatyczne konsekwencje.

Listopadowe róże

W miejscowości Schleife gościło nas 83-letnie małżeństwo. Pani z dumą pokazywała róże obficie kwitnące w jej ogródku, a o jabłkach, które wręczyła nam na drogę, mówiła, że są tego roku szczególnie słodkie – bo lato było takie ciepłe... Niektórzy pielgrzymi mieli na sobie T-shirty – a to początek listopada, poprzednimi laty padał już zwykle pierwszy śnieg.

Pożary lasów i wysychające jeziora z jednej strony, topniejące lodowce i oceaniczne wyspy niknące pod wodą z drugiej – problem klimatu to także, a może nawet przede wszystkim, kwestia sprawiedliwości i naszej odpowiedzialności za konsekwencje postępujących zmian. „Bycie człowiekiem oznacza bycie w drodze, a nie stanie w bezruchu – cel przed oczami i sprawa w sercu, dla której warto wyruszyć. W Pielgrzymce Sprawiedliwości i Pokoju, do której zaprosiło Zgromadzenie Ogólne Światowej Rady Kościołów jesienią 2013 roku, tradycja pielgrzymowania spotyka się z ideą wspólnego działania dla lepszego świata” – wyjaśniają sens pielgrzymki autorzy przedmowy do modlitewnika zawierającego pieśni,

psalmy, modlitwy i teksty biblijne po polsku i niemiecku. Taki modlitewnik otrzymują wszyscy pielgrzymi, a także wierni z parafii, w której pielgrzymi się zatrzymują.

„W czasie pielgrzymki ciągle na nowo świętujemy wielki Boży dar życia i piękno stworzenia, i prosimy w modlitwie, abyśmy my i nasze działania zostały przemienione”. Zgodnie z tą intencją każdy dzień pielgrzymki rozpoczyna się i kończy krótkim nabożeństwem odprowadzanym zazwyczaj razem z miejscowym księdzem lub pastorem czy pastorką. Nabożeństwa mają charakter ekumeniczny.

Koordinatorzy pielgrzymki na terenie Niemiec mają siedzibę przy Ewangelicko-Augsburskim Dziele Misyjnym w Lipsku. Patronat nad całym przedsięwzięciem przyjęli w tym roku biskup Ewangelickiego Kościoła Berlina-Brandenburgii-Śląskich Łużyc Górnych Markus Dröge, metropolita Bambergu abp Ludwig Schick oraz była minister ochrony środowiska Barbara Hendricks. Oprócz tego wspiera je ponad 30 instytucji, organizacji i inicjatyw kościelnych, m.in. ewangelicka organizacja Chleb dla Świata, katolicka organizacja charytatywna MISEREOR e.V. i szereg biskupstw, od Augsburga po Trewir i Zgorzelec.

Na stronie www.klimapilgern.de pisze arcybiskup Schick: „My, chrześcijanie, znamy Boga jako Ojca i Stwórcę nieba i ziemi. Powierzył On nam, ludziom, swoje stworzenie, byśmy o nie dbali i je zachowali. To jest przywilej i obowiązek. Możemy w sposób zrównoważony korzystać z darów ziemi, ale ich nie skonsumować. Bóg dał je wszystkim ludziom wszystkich pokoleń”.

Miejsca zachęty, miejsca bólu

Trzymiesięczna pielgrzymka ma trasę wytyczoną tak, by nawiązać do tematyki wszystkich dotychczasowych szczytów klimatycznych. W Niemczech przebiega ona od Bonn przez Düsseldorf, Hanower, Brunswik, Halle, Lipsk, Drezno, Cottbus – czyli także przez tereny największych kopalń odkrywkowych węgla brunatnego. Następnie dochodzi do granicy polsko-niemieckiej (Gubin, Eisenhüttestadt, Frankfurt nad Odrą) i skręca do Poczdamu (stolicy Brandenburgii) i Berlina, gdzie podczas nabożeństwa 26 listopada organizację przejmie strona polska (pielgrzymkadlaklimatu.pl), reprezentowana przez Polską Radę Ekumeniczną. 27 listopada

grupa pielgrzymów pojedzie autokarem do Bielska-Białej, by stamtąd wyruszyć piechotą, już z grupą polskich pielgrzymów, do Katowic.

Po drodze pielgrzymi odwiedzają tzw. „miejsca zachęty” – to przykłady dobrych praktyk na rzecz ochrony klimatu, np. energooszczędne budynki szkolne, i miejsca, gdzie w tę ochronę zaangażowały się rozmaite grupy i organizacje. Oglądają też tzw. miejsca bólu, w których konieczne są intensywne wysiłki i konkretne decyzje polityczne, by w niedalekiej przyszłości uniknąć katastrofy – to zwłaszcza kopalnie odkrywkowe węgla brunatnego. Christian Seidel, emerytowany fizyk z Poczdamu i jeden z najbardziej zaangażowanych uczestników pielgrzymki, zwraca uwagę na fakt, że Niemcy są światowym liderem wydobycia węgla brunatnego i że na ich terenie znajdują się liczne elektrownie opalane tym surowcem, a cztery z nich należą do europejskiej czołówki firm najbardziej szkodliwych dla środowiska.

Grupa pielgrzymów liczy zazwyczaj 14-20 osób – tylko nieliczni są w drodze

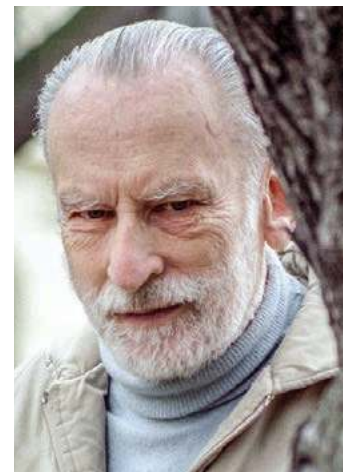
od samego początku, inni dołączają do grupy na parę dni lub chociaż na jeden dzień, czasem są to całe klasy szkolne, towarzyszące pielgrzymce przez kilka godzin. Gościny udzielają wędrowcom parafie ewangelickie i katolickie. Cała trasa wynosi 1700 km i obejmuje prawie 80 etapów na terenie Niemiec. Etapy polskie to Bielsko-Biała – 28.11; Pszczyna – 29.11; Bieruń Nowy – 30.11; Tychy – 1-2.12; Oświęcim – 3.12; Czerwionka – 4.12; Gliwice – 5.12; Bytom-Miechowice – 6.12 oraz Katowice – 7-9.12. Ks. Grzegorz Giełma, dyrektor Polskiej Rady Ekumenicznej, zwraca uwagę, że co prawda w Polsce istnieje imponująca tradycja pielgrzymowania do miejsc świętych, ale nie ma, jak w Kościele ewangelickim w Niemczech, pielgrzymek związanych z klimatem. Do Katowic przybędą również pielgrzymi z innych krajów, którzy wyruszyli wspólnie z Asyżu. 9 grudnia w rzymskokatolickiej katedrze Chrystusa Króla w Katowicach odbędzie się nabożeństwo ekumeniczne z udziałem uczestników szczytu oraz przedstawicieli różnych Kościołów. ©

POŻEGNANIE

W szóstą rocznicę śmierci
prof. Jacka Woźniakowskiego
będziemy się modlić w Jego intencji
i w intencji spraw bliskich
w kościele św. Marka w Krakowie.
w piątek, 30 listopada
o godzinie 16:00
podczas Mszy św., którą odprawi
ks. prof. Robert Woźniak.

Potem zapraszamy na ul. Pijarską 5,
gdzie pod tablicą pamiątkową
zapalimy świece.

Róża Thun, Henryk Woźniakowski



POŻEGNANIE

Msza święta w intencji

ś.†p.

Profesora Stanisława Pigonia

w pięćdziesiątą rocznicę śmierci zostanie odprawiona
w bazylice św. Floriana w Krakowie 18 grudnia 2018 r. o godz. 17.00

SZYMON

Hołownia:

W stanie, w jakim jest



WRACA DO MNIE WSPOMNIENIE SPOTKANIA w jednym z miast, gdzie miałem wygłosić zamówiony przez jakąś korporację wykład. Wchodząc wieczorem do wypasionego hotelu, dosłownie potknąłem się o leżącego w drzwiach bezdomnego, który na

kartonie i w namiastce wymęczonego śpiwora układał się do snu. Scena jak z ewangelicznej przypowieści – pomyślałem. Oto bogacz wchodzi do ciepłego, jasnego wnętrza, gdzie weźmie prysznic, uraczy się winkiem i zanurzy w puchowych piernatach, a biedak spędzi tę noc, telepiąc się z zimna i odliczając minuty, aż ktoś wypędzi go nawet z progu, który w tej opowieści, w tej wizji, staje się przecież niczym innym jak progiem piekła.

Usiadłem, by porozmawiać z tym człowiekiem. Nie dlatego, że przeraziłem się roli, jaką przydzieliłem sobie w namalowanej przed chwilą przypowieści, ale dlatego, że po prostu często to robię. Jestem ciekaw ludzkiego losu, próbuję ustalić, czy jest coś, co mogę dziś, tu i teraz zrobić. Chciałbym też jakoś dać temu człowiekowi odczuć, że choć nie mogę podarować mu zdrowia, oddłużenia, wyjścia z nałogu, rozwiązania wszystkich jego problemów, z całą pewnością mogę dać mu to, co mam: spotkanie, chwilę szacunku i uwagi.

To są często wstrząsające rozmowy. Pamiętam żebrzącą starszą panią, do której przysiadłem się kiedyś w Warszawie i spędziłem z nią chyba godzinę (co chwila nagabywany przez przechodniów tłumaczących uprzejmie rozpoznanemu „panu redaktorowi”, że „to oszustka, którą codziennie syn taksówkarz tutaj przywozi, proszę pana”). Pani opowiedziała mi chyba ze trzy, zupełnie ze sobą sprzeczne, wersje swojego życia, ale przecież nie jestem policjantem ani jej biografem, najważniejsza była więc dla mnie nie spójność faktów, prawda, a to, jak popłakała się ze wzruszenia, gdy obiecywaaliśmy sobie przy pożegnaniu, że się za siebie pomodlimy (była też o krok od decyzji o adopcji, ale wolałem nie ryzykować konfliktu interesów na tle obowiązku alimentacyjnego ze wspomnianym taksówkarzem).

Pamiętam bezdomnego, który parę miesięcy temu zaczął mnie, gdy biegłem w amoku w Krakowie z hotelu na poranną mszę, prosząc o klasyczne „parę groszy na bułkę” (msze u świętego Floriana są na szczęście co pół godziny). Gdy żeśmy pogadali, okazało się, że żołądek ma w takim stanie po latach bezdomności i picia, że nie może przyjmować żadnego stałego pokarmu, że jedyne, co utrzymuje się w jego organizmie, to płyny (niekoniecznie wysokoprocentowe). Ze wspólnego śniadania, które planowałem, wyszły więc nici, ale nie wiem – może udało mi się go namówić, żeby podszedł kiedyś do chłopaków i dziewczyn z Zupy na Plantach, bo oni na pewno będą wiedzieli, jak jego kłopotem dalej pokierować.

Ten bezdomny człowiek z początku opowieści najpierw uznał za stosowne wytłumaczyć się mi z tego, że jest pod wpływem.

Nie wymagałem tego, ale dobrze, że powiedział to głośno, mam bowiem teraz źródłowy materiał do cytowania różnym mędrcom od wyzywania bezdomnych od „pijaków”: „Proszę, niech pan spróbuje przeżyć jeden mój dzień na trzeźwo. Gdy plują na pana dzieci, kopią pana dresiarze, każdy ochroniarz może wyjechać panu przez plecy pałką i nikt nie stanie w pana obronie, bo pan śmierdzi. Gdy rodzina nie chce mieć z panem nic wspólnego. Gdy jest pan czymś mniej od człowieka. Proszę”.

Po półgodzinie rozmowy na narastającym chłdzie coraz bardziej dojmująca stała się kwestia i mojego, i mojego rozmówcy noclegu. W głowie budowały mi się już piękne obrazy: oto on idzie spać w moim apartamencie, zanurza się w miękkich poduchach, a ja decyduję się na coś skromniejszego, może nie na karton, to byłoby zbyt teatralne, ale na skromny pokój w nieco mniej wystawnej lokalizacji. Gdy zacząłem się już wzruszać nad swoją własną dobrocią, gdy poczułem, że muszę zacząć tłumić lzy napływające mi machinalnie do oczu na myśl o własnej wielkoduszności i o tym, jak ewangelicznie rozwiązę tę sytuację, mój Anioł Stróż na szczęście palnął mnie w mój głupi łeb, apelując, bym zrobił to, o co często proszę ludzi zapraszanych przeze mnie do takiej czy innej pomocy: nie myśl pomagającym, myśl „pomaganym”. Nie ty, to on jest punktem odniesienia, osią, centrum, biegunem tej sytuacji.

Wytrzeźwiałem w toksycznych oparów przebranego za miłośnierze egotyzmu. Bo przecież jak czułby się ów człowiek wchodząc tam, jakimi spojrzeniami hotelowej obsługi odprowadzany byłby – będąc w stanie, w jakim był – do dostąpionego mu pokoju? Kto dałby mi gwarancję, że jeszcze bardziej bym go tą pomocą nie upokorzył? Facet ma chorobę alkoholową. A przecież w każdym pokoju jest minibarek. Jak pójdzie na śniadanie, skoro choć będzie mógł się umyć, nie ma czystych ciuchów? Zrobiłem to, co powinienem był uczynić, zanim odpalać zacząłem w sobie wszystkie mocarstwowe dobroczynne plany: zacząłem pytać, słuchać. A czy jest jakieś bezpieczne, normalne, ciepłe miejsce, w którym pan śpi, gdy nie śpi pan tutaj? „Jest hotel robotniczy, w którym pozwalają nam, bezdomnym spać, jest czyste łóżko, łazienka, ciepło. Tyle że widzi pan, to kosztuje 50 złotych. A tak się składa, że ja dzisiaj akurat takich pieniędzy nie mam”. Gdy zegnaliśmy się pod wspomnianym hotelem, próbowałem namówić mojego nowego znajomego do kontaktu z ludźmi, o których wiem, że w tym mieście umieją i chcą towarzyszyć bezdomnym w trudnej drodze (bo to jest bardzo trudna i długa droga) w wychodzeniu z bezdomności. Nie wiem, czy to zrobił, nie jestem też jednak jego nianią, jest dorosłym człowiekiem. Pamiętam, że serdecznie się na koniec uściskaliśmy. Nie wiem, dlaczego tak intensywnie przypomina się on właśnie dzisiaj. Może przeszedł już na tamtą stronę, prosi o dobre wspomnienie? A może to ja dostałem sygnał, tak mi potrzebny w tych wszystkich wojnach i wojenkach, które toczę, w całym tym niby dotyczącym samych najważniejszych rzeczy zabieganiu: nie podziękowałeś jeszcze człowiekowi, który przypomniał ci, że człowieka trzeba spotkać tam, gdzie jest, w stanie, w jakim jest, a nie w takim, w jakim chciałbym, by był. Że czasem latami trwa proces „budowania pojemności” w człowieku, który dziś jest w stanie przyjąć to, czego on potrzebuje, a nie to, co ty, nawet z dobrego serca, chcesz mu dać. Wreszcie: który pokazał ci, jak kocha cię Bóg. Który nie myśli, o co tak często się Go podejrzuwa, o Sobie, a wyłącznie o tobie. Słucha, czego potrzebujesz, idzie z tobą, a nie tylko pokrzykuje, by za Nim coraz szybciej biec. ©

#przemocwpracy

*Mam tu dziesięciu na twoje miejsce.
Zwiń sobie ten raport w rulon i wsadź w d...
Niczego nie potrafisz zrobić dobrze. Jesteś zerem.*

TO NIE SĄ „NORMALNE” ODZYWKI SZEFA.

To przemoc w pracy. To mobbing. To łamanie polskiego prawa.

A JEDNAK W NASZYM KRAJU TO WCIAŻ CODZIENNOŚĆ.

Dlatego chcemy rozpocząć rozmowę na ten temat.
Będzie trudna, ale jest konieczna.

BYLIŚCIE PONIŻENI, ZASTRASZENI, WZGARDZENI PRZEZ PRACODAWCĘ?

Opiszcie to z hashtagem **#przemocwpracy** lub wyślijcie na **przemocwpracy@tygodnik.com.pl**, opublikujemy Wasze świadectwa anonimowo. Napiszcie też, co wtedy czuliście.

POKAŻMY OFIAROM, ŻE NIE SĄ SAME.

A sprawcom, że kończy się ich bezkarność, że zachowania, które uchodziły za dopuszczalne, według pracownic i pracowników są już nie do przyjęcia.

Poniżej pierwsze głosy, które otrzymaliśmy od Państwa. Czytaj też raport „Tygodnika” o mobbingu na powszech.net/przemocwpracy

„Jesteś niepełnosprawna”

Chciałam podzielić się tym, jak traktowała mnie szefowa w pracy. Byłam m.in. barmanką, ale czułam się jak manekin wystawowy. Nigdy do pracy nie ubierałam się wyzywająco, bo szkoda mi było ubrań, które przesiąkają zapachem kuchni, ale z drugiej strony jako barmanka musiałam się jakoś prezentować. Słyszałam: „Przyszedł tu do pracy, a nie na seks”, albo: „Z tymi pomalowanymi ustami wyglądasz jak burdelmama”. Zdarzył się też komentarz: „Jesteś niepełnosprawna”, gdy oznajmiłam, że nie mogłam założyć beczki piwa do kranu i gazu.

DOROTA

„Jesteś leserem”

Przez 12 lat pracowałam w jednej z największych stacji telewizyjnych. Zostałam wyrzucony po ponad dwuletnim, ciężkim okresie, w trakcie którego byłam szantażowany i poddawany presji przez moją najpierw bezpośrednią, a potem główną szefową. Dziś ta osoba jest na wysokim stanowisku i cieszy się apanażami oraz władzą, choć jestem pewien,

że ani na jotę nie zrezygnowała ze swoich metod „zarządzania”, polegających na naprzemiennym faworyzowaniu i odsuwaniu ludzi od swoich zadań, ocenianiu („Jesteś leserem”; „Nie jesteś godny zaufania”) czy rozsiewaniu plotek o rzekomym pijaństwie, romanowaniu itd. Kiedy wreszcie mnie wyrzuciono, powiedziałam sobie, że to nie było zwolnienie z pracy, tylko z obozu pracy.

MARCIN

„Robisz to dla Jezusa”

Pracuję w instytucji kościelnej. Zakres obowiązków miałam zmieniany co kilka tygodni, polecenia były wydawane zawile i tak, jakby szef nie miał pojęcia, co chce zrobić... Złościł się, jeśli nie odgadywałam, co ma na myśli, i mówił, że myślał, iż ma do czynienia „z inteligentną osobą”. Kłamanie, lawirowanie, manipulacja to jego sposoby komunikacji. Pracowałam często do późnego wieczora. Telefonował do mnie praktycznie o każdej porze. Na moje protesty, że mam w umowie osiem godzin, padał argument: „robisz to dla Jezusa, nie dla mnie” lub „robisz to dla

Kościola”... Ksiądz podstępnie wyciągał też informacje z prywatnego życia, a potem wykorzystywał je przeciwko pracownikowi. Wiele kobiet odeszło z naszego biura, gdy były już wyciśnięte jak cytryny. Podlegamy biskupowi, który świeckie pracownice traktuje jak głupie kozy. Do tego opowiada sprośne dowcipy. Na widok koleżanki w krótkiej sukience powiedział, że będzie się przez nią znów musiał spowiadać... To przekraczanie granic objawia się także w sferze fizycznej – ksiądz biskup przytula pracownice i mówi, że robi to jako ojciec. Pracowałam jeszcze w kilku instytucjach kościelnych. I wszędzie byłam świadkiem nadużyć. Tuż po studiach byłam zatrudniona w fundacji prowadzonej przez księdza. Pracowaliśmy często od 9 rano do 2 lub 3 nad ranem! Nie płać za nadgodziny. W innej organizacji diecezjalnej zmuszano pracowników sekretariatu do fałszowania dokumentów, a ksiądz-szef był tak agresywny, że zdarzyło mu się tracić równowagę i wystartować do bicia pracownicy. Wulgaryzmów używał jak przecinków.

Przez kilka miesięcy byłam też w postulatce w jednym ze zgrupowań zakonnych. Formację, a właściwie deformację, jakiej tam doświadczyłam, mogę nazwać śmiało niszczeniem ludzi. Przypłaciłam to wszystko depresją. Myśli samobójcze, poczucie własnej wartości na poziomie zero, lęk. Choruję już kilka lat. Myślę, że po pedofilii Kościół powinien odpowiedzieć za mobbing stosowany przez jego pasterzy.

LUCYNA

Nie tylko szefowie

Natrafiłam na inicjatywę #przemocwpracy wczoraj. Nie doszłam do połowy tekstu, gdyż się popłakałam. To mój temat, moje obecne życie. Ale poczułam też... złość. Wszędzie zły szef, pracodawca. A co z tymi, którzy są szefami i są mobbowani przez pracowników? Trudno uwierzyć? Wcale nie! Tak jak nie tylko kobiety są ofiarami przemocy domowej, tak nie tylko pracownicy są mobbowani przez szefów.

MARIA

Imiona autorów listów zostały zmienione

Administratorem Pani/Pana danych osobowych jest Tygodnik Powszechny sp. z o.o., z siedzibą w Krakowie, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków.

Podany adres e-mail przetwarzamy wyłącznie w celu pozyskania informacji o przypadkach mobbingu, które do celów akcji mogą zostać wykorzystane w sposób całkowicie anonimowy. Podstawą przetwarzania jest art. 6 ust. 1 lit a RODO, czyli Pani/Pana zgoda, która jest wyrażona poprzez przesłanie maila na podany adres. Pani/Pana adres e-mail będzie przetwarzany nie dłużej, niż jest to konieczne do odebrania zawartych w nim informacji.

Przesyłanie wiadomości e-mail na adres przemocwpracy@tygodnik.com.pl jest dobrowolne.



ZACZEKAMY JESZCZE DZIEŃ

Jedynym zapachem, który może się przebić, wygrać w naszej pamięci z zapachem Afryki – bujnego kwitnienia i nieograniczonego rozkładu – jest woń szpitalnych środków odkażających.

TEKST: **MARCIN ŻYŁA**, ZDJĘCIA: **MICHAŁ ZIELIŃSKI** / POLSKA MISJA MEDYCZNA
ZE WSI NYANGAO (TANZANIA)

ODGŁOSY – uderzających o siebie misek z metalu, naczyń chroboczących o płaskie kamienie, na których żarzy się węgiel drzewny, oraz przesuwanych na piasku żeliwnych piecyków – zaczynają dzień przed Szpitalem Świętej Walpurgi.

Nocą było cicho. Czasem z drugiej strony muru zabuczał agregat (brakuje prądu), a z drzewa spadł owoc mango (za nim dotknął piasku, z szelestem obił się

o kilka pięter gałęzi – jakby przed tym, gdy odda je ziemi, mangowiec się bawił; tak jak chłopcy, którzy wczoraj podbijali piłkę w jego cieniu).

W ciemności, w której trudno dostrzec własne stopy, w przyszpitalnej noclegowni i na okalających ją murkach – spali niewidoczni ludzie. Teraz, w pierwszym świetle dnia, przygotowują jedzenie. To krewni chorych. Gdy strażniczka wpuści

ich na teren szpitala, zanoszą bliskim fałsę, frytki i ziemniaki. Szpital nie karmi pacjentów. Kto nie ma rodziny, przyjaciół albo pieniędzy – nie wyleczy anemii, nie pokona malarii.

Na razie krewni podglądają, co się dzieje w środku, przez szpary w betonie. Sale są słabo oświetlone, a zamontowane w oknach siatki przeciw insektom dodatkowo zaburzają perspektywę. Trudno do-

strzec: moja siostra, syn, sąsiad – czy prze-
trwali noc?

NYANGAO TO KILKUNASTOTYSIĘCZNA WIEŚ w południowo-wschodniej Tanzanii, nieopodal granicy z Mozambikiem. Na zachód stąd zaczyna się sucha i piaszczysta równina, z największymi baobabami w kraju. Na wschód, bliżej Oceanu Indyjskiego, rozciąga się olbrzymia sawanna, dopiero kilkanaście lat temu przecięta pierwszą asfaltową drogą. Wieś jest więc strefą przejściową między surowymi wiatrami znad oceanu a rejonami, gdzie słońce czyni życie nieznośnym. A tam, gdzie w równinowej Afryce klimat jest umiarkowany, rosną lasy palmowe.

Nyangao – tak mógłby wyglądać raj.

Na porannej odprawie lekarz dyżurny referuje: „W nocy przyjęto 18-latkę z urazem nogi po grze w piłkę, 5-letniego chłopca z poważną malarią, 68-letnią kobietę ze złamaniem po wypadku motocyklowym. Zmarł mężczyzna, lat 70...”.

OBCHÓD ZACZYNA SIĘ zaraz po dziewiątej. W pierwszej sali – chłopak po czterech

ciężkich operacjach. Gdyby rządziła wyłącznie statystyka, już dawno by nie żył. Ale teraz, jak mówi lekarz: „Jest małe światło w tunelu”. Ma 30 lat i waży 37 kilogramów. Ma szczęście: obchodząc oficjalne procedury, zamówiono mu batoniki dożywijające.

Obchód odbywa się nieśpiesznie. Na przedzie konduktu lekarze, na końcu – pielęgniarzka z zeszytem formatu A4, w którym codziennie rano rysuje nowe marginesy. W rubrykach zalecenia: wypisać, skierować na prześwietlenie, wyciszyć ranę. Nazwiska tych, których skieruje dziś na salę operacyjną, chirurg zanotuje na małych, kwadratowych kartonikach.

Na drugim oddziale stoimy przy pacjentce z amputowaną prawą ręką. Z kikuta wystają żółte szwy, a mężczyzna, jeszcze

W Szpitalu Świętej Walpurgi w Nyangao cierpliwość to cecha pożądana.

Na zdjęciach, wykonanych na początku listopada: oczekujący – na wiadomości od chorych krewnych (na stronie obok) lub w kolejce do bloku operacyjnego (poniżej).

nieprzyzwyczajony do nowego ciała, nawet wierząc się na łóżku traci równowagę. Nie było innego wyjścia: trafił do szpitala z ręką zmiażdżoną podczas wypadku na motocyklu. Pokiereszowana twarz, napuchnięte, czerwone od krwi oko.

Następne łóżko: mężczyzna ze złamaną nogą, kość ciągle na wierzchu. Nie wiadomo, czy można opanować infekcję, czy potrzebna już amputacja. Lekarz decyduje: zaczekamy jeszcze dzień.

Jest tu dziewczynka, ofiara nieprawidłowego leczenia. Po tym, gdy złamała nogę, założono zbyt ciasny opatrunk i zaczęła się martwica. Będzie dziś trzecią operowaną.

I młoda kobieta – ofiara przemocy domowej.

Jeszcze jedno poparzone dziecko. „Jak oni policzyli, że to dokładnie 11 procent powierzchni ciała?” – zastanawia się chirurg, czytając kartotekę opisującą stopień poparzeń.

LISTOPAD TO MIESIĄC MANGO. Wtedy, w porze kwitnienia najbardziej rozłożystych drzew kontynentu, w karetkach →



→ i na motocyklach przywozi się do szpitala dzieci. Rozpoznania: dużo złamań (bo spadają z wysokości, próbując zerwać owoce) i urazów czaszki (bo rzucają w drzewa kamieniami).

Na okrągło, przez cały rok, zdarzają się wypadki drogowe. To one – a nie dzikie zwierzęta – są główną przyczyną gwałtownej śmierci w Afryce wschodniej. Media na Zachodzie czasem informują: maj 2018, Uganda, 48 zabitych, w tym 16 dzieci; październik 2018, Kenia, 50 zabitych; w ubiegłym tygodniu w Zimbabwie: 42 zabitych. Co roku w Tanzanii ginie na drogach ok. 3 tys. osób. Gdy w maju 2017 r. w katastrofie autobusu szkolnego życie straciło 36 osób, prezydent nakazał zmiany: odtąd policyjne patrole i blokady rozstawione są co kilkanaście kilometrów. Na ponad 530-kilometrowej drodze z Dar es Salaam autobusy liniowe wazone są dwukrotnie. Inaczej niż w sąsiednich krajach, po zachodzie słońca nie wolno wyjeżdżać w trasę.

Ale spod takich regulacji wyjęta jest jazda na jednośladach. To właśnie motocykliści trafiają do szpitala najczęściej.

A TU, OBOK SZAFEK z ciemnego lakierowanego drewna, przy złożonych wózkach inwalidzkich i zardzewiałym stoliku na kółkach, pod szerokimi oknami, w małej wnęce, symbolicznie tylko oddzielonej od korytarza wąskim parawanem, właśnie umarł człowiek.

Przywieziono go przedwcześnie. Przyczyna śmierci: posocznica. Czy gdyby ranną nogę, od której zaczęło się ciężkie zakażenie krwi, odjęto mu od razu – miałyby szansę przeżyć?

Ciało przykryto prześcieradłem, ale po zostanie tu jeszcze przez jakiś czas. W szpitalu nie ma kostnicy, krewni powinni je odebrać jak najszybciej – ale nie zawsze są w pobliżu.

SZPITAL ZAŁOŻYLI BENEDYKTYNI, obecni we wsi od początku XX w., kiedy terytorium dzisiejszej Tanzanii wchodziło w skład Niemieckiej Afryki Wschodniej. Powstał w 1947 r. jako małe dyspensorium; pod koniec lat 50. zbudowano szpital z 86 łózkami. Dziś jest ich ponad 200.

Pracuje tu 136 osób z personelu medycznego, ale tylko ośmioro z nich to lekarze. W 2017 r. przyjęli ponad 31 tys. pacjentów – ich liczba z roku na rok rośnie o jedną piątą – i wykonali 1638 operacji. Mniej więcej 20 proc. pacjentów choruje na malarię. Połowa przyjeżdża z urazami,



DOKTOR RYSZARD JANKIEWICZ pracuje w Afryce od kilkudziesięciu lat. Jest jedynym ortopedą na obszarze zamieszkanym przez ok. 2 mln ludzi. To jego obecność, a także europejska historia szpitala sprawiają, że większość pacjentów przyjeżdża do Nyangao z daleka – czasem nawet spod samej granicy z Mozambikiem.

spowodowanymi głównie wypadkami drogowymi. Renoma szpitala powoduje, że tylko mniejsza część przyjmowanych na oddziały pochodzi z okolic Nyangao – wielu przyjeżdża nawet z rejonów graniczących z Mozambikiem.

Pacjentów przyciąga europejska historia szpitala oraz pracujący w nim od wielu lat Ryszard Jankiewicz, chirurg ortopeda z Polski. Choć opieka medyczna w Tanzanii jest płatna, rzadko można znaleźć wolne łóżka.

TUTAJ, SETKI KILOMETRÓW od równin Serengeti, wyżyn Kilimandżaro czy plaż Zanzibaru, które sławią Tanzanię w świecie, w południowych regionach Lindi i Mtwara, jakoś życia zależy w dużej mierze od tego, za ile raz w roku spręda się orzeszki ziemne – najważniejsze źródło utrzymania.

W tym roku urzędowe ceny skupu są wyjątkowo niskie. Niektórzy rolnicy buntują się, nie chcą sprzedawać zbiorów. Prezydent John Magufuli – przeciw któremu narasta w kraju niezadowolenie – nakazał właśnie wykupienie orzechów po ustalonej, nieco wyższej cenie... stacjonującym w południowych regionach jednostkom wojskowym. Ale wielu rodzinom ten nakaz nie pomoże. To najuboższy region

Tanzanii. Drogę z Dar-es-Salaam, najważniejszego miasta kraju, doprowadzono do Nyangao dopiero na początku wieku. Podróż autobusem zajmuje 9 godzin. Wcześniej mogła trwać kilka dni.

AMPUTACJA NOGI: jeszcze uśpiony pacjent, przykryta zielonym materiałem piła. Trzeba zaszyć naczynia krwionośne, podciągnąć mięśnie i skórę, aby kikut wyglądał schludnie, aby nie przeszkadzał w przyszłości.

Młody chirurg po zabiegu – umęczony, zgarbiony. Zanim podwiązał tętnicę udową, pacjent stracił dużo krwi. W powietrzu wciąż unosi się zapach wilgotnych opilek kości.

ZADANIE NA DZIŚ – usprawnić pracę oddziału położniczego. Zebranie w tej sprawie – z udziałem wszystkich lekarzy i pielęgniarek z oddziału – zwołała Holenderka, która przyjechała pracować w Nyangao na dwa lata.

Jest tu od dwóch miesięcy i pracowała w świetnie zorganizowanych szpitalach europejskich. Wie, że musi stosować dyplomację. Zebranie, w którym uczestniczą przede wszystkim lekarze tanzanscy, zaczyna delikatnie: – Nie chcę, żebyście się poculi urażeni. Co was martwi? Co można zmienić? Czy możecie coś o tym powiedzieć?

Odpowiada jej milczenie.

Holenderka się nie poddaje – pokazuje uprzednio przygotowaną prezentację. Na kolejnych slajdach wymienia problemy, które zauważyła w ciągu kilku dni. Na porodowce wszystkie pielęgniarki opiekują się wszystkimi pacjentami – w ten sposób odpowiedzialność jest rozproszona i nie zawsze na czas informują lekarzy, gdy pogarsza się stan pacjentów. Na oddziale opieki neonatalnej nie ma na stałe przypisanego lekarza. Po dyżurze nocnym przekazywane są szczegółowe informacje o pacjentach, ale gdy personel wymienia się po południu – już nie. Nie ma ustalonych protokołów postępowania w niektórych sytuacjach. – Czy zgadzacie się ze mną? – pyta spokojnie Holenderka.

Dopiero teraz słyszy głosy miejscowych lekarzy. – Wszystko to prawda – mówią – ale jest pewien podstawowy problem: jest nas tu wszystkich za mało.

W 56-milionowej Tanzanii pracuje około stu chirurgów. Wielu starszych lekarzy kształcono w krajach b. bloku wschodniego – Tanzania, której pierw-



szy prezydent Julius Nyerere próbował „trzeciej drogi socjalizmu”, była w latach zimnej wojny pod dyskretną „opieką” Związku Sowieckiego. Pierwsze pokolenie specjalistów w wykształconych przez uniwersytet w Dodomie dopiero pnie się powoli w szpitalnej hierarchii, zdobywa szlify na praktykach w Europie. Ale zanim zaczną pracę, wiele czynności – czasem nawet znieczulanie pacjentów do zabiegów – wciąż wykonywać będą tzw. *clinical officers*, absolwenci 2-letnich liceów medycznych.

Ale obecni na naradzie lekarze z Europy nie odpuszczają. W Europie jest dużo lekarzy i też zawsze narzekamy, że to wciąż za mało. To problem, który nigdy się nie kończy. Skupmy się na tym, co można zmienić – mówią.

– To właściciel szpitala decyduje o zmianach, będziemy na nie gotowi za jakiś czas, kiedy ty już dawno będziesz w Holandii – mówi spokojnym, ale nieprzychylnym do sprzeciwu głosem najdłużej pracującym na oddziale lekarz. – Wielu ludzi przyjeżdża i wyjeżdża stąd, jakby byli na jakimś targu. Kiedyś, gdy byłem młody, też chciałem zmian. Teraz myślę, że trzeba

Dziećmi – jak tym chłopczykiem przyjętym na oddział z powodu oparzeń – opiekują się matki. Dorośli też przyjeżdżają z bliskimi. To także dzięki nim mogą wyzdrowieć – w Tanzanii szpitale nie zapewniają chorym żywienia. Karmią tylko krewni.

Materiał powstał dzięki Polskiej Misji Medycznej, która pomaga szpitalowi w Nyangao w zakresie leczenia chirurgicznego oraz opieki nad matkami i dziećmi. Projekt jest współfinansowany w ramach programu polskiej współpracy rozwojowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP. Więcej: www.pmm.org.pl

poczekać na odpowiedni moment – kończy.

Holenderka: – Myślę, że to dobry moment, żeby skończyć to zebranie. Nie chcę burzyć ścian, zacznijmy od drobnych zmian. Czy zgadzamy się na wprowadzenie protokołów podstawowego postępowania? To mój mail. Następne spotkanie za miesiąc. Czy możemy się tak umówić?

I znów w odpowiedzi – cisza.

JEDYNYM ZAPACHEM, który jest w stanie, wygrać w naszej pamięci z zapachem Afryki, bujnego kwitnienia i nieograniczonego rozkładu, jest woń środków odkażających. Pachną nimi: sypana africafé i gorące od leżenia na słońcu orzeszki. Jeszcze setki kilometrów od szpitala w Nyangao podmuch wiatru, choć tak delikatny, że ledwie porusza rogi stron gazet, zapachnie lekami.

WOKÓŁ SZPITALA GWAR CICHNIE dopiero późnym wieczorem. Wieczór jest zwykle weselszy – ciężko chorym udało się przeżyć jeszcze jeden dzień. Na drodze prowadzącej ze skarpy przez las do głośnego baru z muzyką można spotkać rodziny pacjentów.

Na uboczu pozostaje tylko budynek, w którym mieszkają albinosi i głusi. Kiedy chce się tam podejść, przegania uzbrojony strażnik. Obie grupy są w Tanzanii dyskryminowane: grupa szamanów uważa np., że z ciał albinosów wyrabia się skuteczne amulety. Rząd prowadzi wprawdzie kampanię informacyjną, ale nie lubi, gdy biorą w niej udział zagraniczni dziennikarze.

Wiele tajemnic pozostaje trudnych do poznania. ©© MARCIN ŻYŁA

Palestyńska wojna bratobójcza

DARIUSZ ROSIAK Z RAMALLAH I ZACHODNIEGO BRZEGU JORDANU

Jakkolwiek niewiarygodnie to zabrzmie, największym koszmarem Palestyńczyków z Zachodniego Brzegu Jordanu jest nowe państwo palestyńskie.

PLOTKI O TYM, ŻE POWSTANIE TAKIEGO państwa jest jednym z elementów amerykańskiego planu – przygotowywanego przez zięcia prezydenta Trumpa, Jareda Kushnera, oraz jego doradcę Jasona Greenblatta – krążą po Ramallah, Betlejem, Jerychu i innych miastach palestyńskich na Zachodnim Brzegu Jordanu, wywołując panikę tutejszych polityków.

Panikę zrozumiała, bo plan ponoć zakłada powołanie państwa wyłącznie w Strefie Gazy – małej (liczącej tylko 360 km²), ale za to niezwykle ludnej (niecałkowicie 2 mln mieszkańców, tj. ponad 5200 osób na km²) palestyńskiej enklawie nad Morzem Śródziemnym.

– To prawda, czujemy, że celem jest odcięcie Gazy od reszty Palestyny i uczynienie z Gazy jakiegoś podmiotu politycznego – mówi mi w Ramallah Baszar Azzeż, polityk Organizacji Wyzwolenia Palestyny i członek Palestyńskiej Rady Narodowej (organu quasi-ustawodawczego, funkcjonującego w ramach OWP). – Jeśli Hamas rzeczywiście chce stworzyć ze Strefy Gazy swoje własne państwo, to mamy prawdziwy problem.

Hamas kontra OWP

Palestyńczycy z OWP mają prawdziwy problem z konkurencyjnym wobec nich Hamasem już od 12 lat – od chwili, kiedy po wycofaniu wojsk izraelskich z Gazy to Hamas wygrał w Gazie wybory. W bratobójczej i niezwykle brutalnej wojnie palestyńskiej, która wówczas wybuchła, zginęło prawie tysiąc osób.

Do tej pory między Hamasem a Organizacją Wyzwolenia Palestyny (ona z kolei rządzi na Zachodnim Brzegu) trwają napięcia. Mimo wielokrotnych prób nie udało się doprowadzić do porozumienia. Co więcej, wygląda na to, że drogi obu pa-

lestyńskich partii rozchodzą się na dobre – co zresztą doskonale wykorzystują Izraelczycy.

Przykładowo, 8 listopada za zgodą Izraela do Strefy Gazy trafiło 15 mln dolarów z Kataru. Trzy ogromne walizki wypchane gotówką przywiózł do Gazy katarski wysłannik Mohamed Al Emadi. Pieniądze poszły na wypłaty dla tysięcy urzędników administracji kierowanej przez Hamas, który od dawna oskarża OWP o wstrzymywanie wypłat pracownikom w Gazie. W propagandzie Hamasu to OWP głodzi Gazę, ramię w ramię z Izraelem, a dobrzy wujkowie z Kataru ją ratują. Już wcześniej Katarczycy zaczęli – także za zgodą Izraela, bo nic nie trafia do Gazy bez jego zgody – dostarczać paliwo do jedynej elektrowni w enklawie.

Cała operacja – nagłaśniana przez Katar jako „pomoc sprawie palestyńskiej” – budzi wściekłość i bezradność na Zachodnim Brzegu. Jak powiedział mi jeden z rozmówców: – Hanijsa [Ismail Hanijsa, szef Hamasu – red.] ma w dupie Palestyńczyków i ich państwo.

Hamas to jest Bractwo Muzułmańskie, a po klęsce Bractwa w Egipcie i Libii on będzie przeszczęśliwy, jeśli dostanie na własność choćby najmniejszy skrawek ziemi. Hanijsa zamknie się w Gazie, wypnie się na OWP, pieniądze będzie dostawał bezpośrednio od Katarczyków, a jego przyjaciele z Islamskiego Dżihadu od Iranu. I przed nim nie będą musieli się tłumaczyć.

Po myśli Izraela

– Najbardziej zadowoleni z takiego rozwiązania będą Izraelczycy – mówi mi Baszar Azzeż. – Wtedy sprawa powołania państwa palestyńskiego na całym naszym terenie przestanie być aktualna. W ramach amerykańskiego planu Pale-



styńczycy na Zachodnim Brzegu mieliby status obywateli tego tworu istniejącego w Gazie, więc realnie nie mieliby tu żadnych praw. A Izraelczycy mogliby zasiedlić swoimi ludźmi cały teren Zachodniego Brzegu.

Obecnie na terenie Zachodniego Brzegu, obejmującego obszar 5800 km² (o różnym statusie: część kontroluje Autonomia, a część nadal Izrael), żyje prawie 3 miliony Palestyńczyków i niemal pół miliona Żydów (w stu kilkudziesięciu enklawach, zbudowanych po zajęciu tego terytorium w 1967 r., po wojnie sześciodniowej).

– Oficjalnie zostalibyśmy zaanektowani przez Izrael, ale tylko jako terytorium, a nie jako ludzie – tłumaczy Azzeż. – W ten sposób Żydzi zachowaliby swoją Judeę i Samarię, legitymizowałiby swoje osiedla [obecnie ich budowa na Zachodnim brzegu jest niezgodna z prawem międzynarodowym – red.], ale nie wzięliby odpowiedzialności za Palestyńczyków, którzy mieszkają poza osiedlami.



MAJDI FATHI / NURPHOTO VIA GETTY IMAGES

Targ w Strefie Gazy, 2017 r.

Nieco mniej dramatycznie komentuje sprawę Qais Abdul Kareem, członek kierownictwa OWP: – Takie propozycje mogą się pojawić. Ale nie wyobrażam sobie, żeby Izrael czy USA pogodziły się z Hamasem. Amerykanie czy Izraelczycy mogą myśleć o odseparowaniu Gazy od reszty Palestyny, lecz nie zgodzą się na dalsze rządy Hamasu w Gazie.

– Oczywiście odcięcie Gazy od reszty historycznej Palestyny byłoby katastrofą dla sprawy palestyńskiej – dodaje Kareem. – Byłby to poważny cios dla walki o niepodległe państwo, które powinno zajmować całe terytorium okupowane przez Izrael od 1967 r., i którego stolicą musi być wschodnia Jerozolima.

Nieskuteczne i niewiarygodne

Czy apokaliptyczna wizja rozpowszechniana przez OWP jest prawdziwa? O tym przekonamy się dopiero po publikacji amerykańskiego planu. Wiadomo jednak, że władze Autonomii kierowane przez jej prezydenta Mahmuda Abbasa są dziś za-

łośnię słabe, nieskuteczne i pozbawione wiarygodności – nie tylko w Izraelu czy na świecie, ale także wśród swoich obywateli.

W przeddzień mojego przyjazdu do Palestyny na ulicach Ramallah setki ludzi protestowały przeciwko reformie emerytalnej; z grubsza polega ona na tym, że władze miałyby pobierać 7-procentową składkę od pensji pracowników, nie gwarantując wypłaty pieniędzy po osiągnięciu wieku emerytalnego.

– To jest dramatycznie zła reforma – mówi mi anonimowo doradczyni władz Autonomii, młoda kobieta, która choć sama należy do administracji, protestowała z innymi Palestyńczykami. – Władze kierowane przez Abbasa są tak słabe, że nikt nie wierzy, iż oddadzą nam pobrane pieniądze. Za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat w ogóle może nie być żadnych władz. Dlaczego mielibyśmy oddawać im pieniądze?

Takie futurologiczne dywagacje są abstrakcyjnym luksusem dla większości palestyńskich mieszkańców Zachodniego

Brzegu. Zastanawiają się oni, jak przetrwać w regionie rządzonym przez nieudolne władze, coraz agresywniej zasiedlanym przez izraelskich osadników i kontrolowanym przez izraelskie wojsko.

Wygnaćcy z Negewu

Pod miastem Anata, kilka kilometrów na północny wschód od Jerozolimy, żyje kilkadziesiąt rodzin beduińskich.

Beduini to prawdopodobnie najbardziej zaniedbana wspólnota żyjąca w Izraelu i na Zachodnim Brzegu. Kiedyś wszyscy mieszkali na pustyni Negew, hodując owce, kozy i wielbłądy. Do dziś na pustyni zostało ich ok. 130 tys., natomiast prawie 70 tys. zostało wysiedlonych – głównie na Pustynię Judzką w okolicy Jerozolimy, Jerycha, Hebronu.

Anata znajduje się w tzw. strefie C, obejmującej ponad 60 proc. terytorium Zachodniego Brzegu i kontrolowanej przez wojsko izraelskie. W ramach porozumień z Oslo (gdzie w 1993 r. OWP i Izrael wzajemnie się uznały; porozumienie miało określić też dalszy proces pokojowy) cały Zachodni Brzeg podzielono na trzy strefy: strefa A kontrolowana jest przez Palestyńczyków, strefa B przez Palestyńczyków i Izraelczyków. Natomiast strefa C – największa – to teren rozbudowy osiedli i miejsce relokacji Beduinów z plemienia Jahalin.

Kierownikiem miejscowego stowarzyszenia Silver Tent (Srebrny Namiot, zrzeszającego 45 beduińskich wspólnot w okolicy, jest Abdusulejman Kurshan.

Pan Kurshan opowiada mi, jak jego rodzina została wygnana z Negewu w 1948 r. Przed wojną arabsko-izraelską jego dziadkowie mieszkali w rejonie dzisiejszego miasta Ber Szewa, a po wojnie trafili właśnie tu, w okolice Jerozolimy.

Anata znajduje się pomiędzy osiedlem Almon i miastem osadniczym Ma'ale Adu-mim, a Beduini regularnie padają ofiarą wyburzeń i eksmisji. Nie mają prawa budowy domów z materiałów stałych, stawiają więc prowizoryczne konstrukcje z blachy falistej, drewna, plastiku, metalu. Wyburzenie takiej konstrukcji jest proste i nie zabiera wiele czasu. Izraelczycy tłumaczą swoje działania potrzebą zapewnienia bezpieczeństwa państwu Izrael.

Podczas naszej rozmowy słyszę odgłos strzałów karabinowych. Dochodzą ze wzgórz naprzeciwko. – Policjanci izraelscy ćwiczą strzelanie – mówi Abdusulejman Kurshan. Budynki posterunku znajdują się nie więcej niż 300 m od nas. ➔

→ Dołem, między dwoma wzgórzami, biegnie szosa i mur separacyjny, oddzielający palestyńską Anatę od Ma'ale Adumim – liczącego dziś 40 tys. mieszkańców, trzeciego pod względem wielkości izraelskiego miasta na Zachodnim Brzegu.

Obok wysypiska śmieci

Beduini zdają sobie sprawę, że znaleźli się w oku cyklonu. Ich obecność w strefie na wschód od Jerozolimy (określanej jako E-1) utrudnia realizację planu rozbudowy osiedla Ma'ale Adumim. To żydowskie miasto ma się rozciągać od Jerozolimy na zachodzie do doliny Jordanu na wschodzie. W ten sposób ziemie palestyńskie zostałyby przecięte, północ i południe Zachodniego Brzegu odseparowane.

– Robią wszystko, aby nas stąd wyrzucić. Burzą nam domy, każą się przenosić z miejsca na miejsce – mówi Abdusulejman Kurshan. – Wychowałem się tam, gdzie dziś stoi posterunek, z którego słychać strzały. Tam była szkoła, do której chodziłem 12 lat. Aż któregoś dnia przyszli i kazali nam wynosić się na drugą stronę przełęczy. Postawili posterunek, kawałek dalej jest już osiedle żydowskie. I dalej nas nękają, mówiąc, że jesteśmy zagrożeniem dla Izraela.

Anata i inne wspólnoty Beduinów, żyjących w strefie realizacji planu E-1, są nieustannie kontrolowane. Nad ich budynkami krążą izraelskie drony, które dokumentują każdą próbę postawienia stałej konstrukcji. Obozy beduińskie regularnie nachodzą żołnierze.

Dzieje się tak nie tylko w Anacie. W lipcu tego roku wojsko izraelskie zburzyło dziewięć budynków i cztery zagrody dla zwierząt we wspólnocie beduińskiej Abu Nuwar, którą odwiedzam po opuszczeniu Anaty. Wcześniej zburzona została szkoła.

– Przyjeżdżają, kiedy chcą, i robią, co chcą – mówi mi jeden z mieszkańców wspólnoty. – Nawet nie dali nam czasu na wyniesienie mebli. Buldożery niszczą budynki, to nie jest trudne.

Resztek blachy i belek po szkole jeszcze nie uprzątnięto. Pytam, co dzieje się z ludźmi, którzy w ten sposób tracą dach nad głową. – Przenoszą się do krewnych. I modlą się, żeby Izraelczycy nie wyburzyli kolejnych domów.

– Oni nas nachodzą niemal codziennie – mówi Daud Bisat, rzecznik wspólnoty beduińskiej w Abu Nuwar. – Robią zdjęcia domów i zagród dla owiec. Izraelczycy

chcą tutaj postawić kolejnych 1500 domów, rozszerzając Ma'ale Adumim. A nas chcą przesiedlić do miasta. Ale my nie możemy mieszkać w mieście. Jak mielibyśmy żyć bez zwierząt, w blokach? Beduini umierają w mieście.

Rozbudowa strefy E-1 jest regularnie krytykowana przez Unię Europejską i inne państwa zachodnie, ale Izrael ignoruje krytykę.

Obecnie trwa gorący spór wokół wioski beduińskiej zbudowanej we wsi Khan al-Ahmar, tuż obok drogi łączącej Jerozolimę z Jerychem. Sąd izraelski wydał już zgodę na usunięcie wioski, zaznaczając w orzeczeniu, że lepiej byłoby, gdyby władze porozumiały się z mieszkańcami. Ale trudno oczekiwać ich zgody, skoro proponowane miejsce relokacji Beduinów znajduje się obok wysypiska śmieci.

Pozostaje im blokowanie drogi i wykrzykiwanie gniewu. Słabe i skłócone wewnętrznie władze palestyńskie nie są w stanie zapewnić Beduinom – swoim obywatelom – jakiegokolwiek ochrony, nie są też realnym partnerem do rozmów z Izraelem.

Eskalacja w Gazie

Znacznie bardziej jednoznacznie układają się stosunki Izraela z Hamasem.

Było to doskonale widać podczas niedawnej wymiany ognia między Hamasem a armią izraelską. Władze OWP w Ramallah – stolicy Autonomii – przyglądały się starciu, a potem zawartemu porozumieniu między obu stronami, nie mając w tym żadnego udziału.

Zaczął się w niedzielę 11 listopada, kilka dni po tym, jak Mohamed Al Emadi przywiozł do Gazy katarskie pieniądze. Według źródeł palestyńskich w Gazie Nour Barake – szef Hamasu w mieście Khan Yunis – po powrocie do domu zauważył zaparkowany przed nim volkswagen. Gdy podszedł do auta, zobaczył wśród pasażerów dwie kobiety, a raczej, jak się okazało: przebranych oficerów izraelskich służb specjalnych. Hamas twierdzi, że ich zadaniem było rozmieszczenie w mieście urzędów podsłuchujących. Wywiązała się strzelanina, w której zginął Barake i sześciu innych Palestyńczyków oraz jeden izraelski oficer. Izraelskie komando wycofało się pod osłoną ognia z samolotów i czołgu.

Kilka godzin później Hamas zaczął gwałtowny atak rakietyowy na Izrael. W ciągu dwóch dni wystrzelono prawie 500 rakiet domowego wyrobu, z których

część została przechwycona przez izraelski system obrony przeciwrakietowej o nazwie Żelazna Kopuła, a część spadła na południowy Izrael. Zginęła jedna osoba, Palestyńczyk pracujący w Izraelu. Armia izraelska odpowiedziała nalotami i ostrzałem, zginęło kolejnych siedmiu Palestyńczyków.

Po dwóch dniach zawarto porozumienie o przerwaniu ognia, wynegocjowane przez Egipt. W proteście przeciw rozejmowi odszedł z urzędu minister obrony Izraela Avigdor Lieberman, zabierając z koalicji członków swojej partii Nasz Dom Izrael – co sprawiło, że premier Benjamin Netanjahu ma dziś zaledwie 61 posłów w 120-osobowym Knesecie. Przez następne dni wyglądało na to, że koalicja się rozpadnie i w Izraelu dojdzie do przyspieszonych wyborów.

Stało się inaczej: Netanjahu zdołał przekonać koalicjantów do pozostania w rządzie i na razie wyborów nie będzie (zgodnie z kalendarzem i tak będą musiały odbyć się w 2019 r.).

I tak źle, i tak niedobrze

Pytam Baszara Azzeha, o co chodziło w tej ostatniej eskalacji w Strefie Gazy.

– Moim zdaniem to typowe napinanie mięśni – ocenia polityk OWP. – Stworzono kryzys, a potem dogadali się, żeby pokazać, jak to Izrael i Hamas potrafią każdy kryzys rozwiązać. Niestety za takie zabawy polityczne cenę płać zwykli ludzie, którzy cierpią.

Qais Abdal Kareem znajduje w tej ostatniej potyczce powody do optymizmu: – Ta ostatnia wymiana ognia pokazała, że Izrael, przy swojej ogromnej przewadze militarnej, nie kontroluje do końca sytuacji w Gazie. Oni o tym wiedzą, nawet jeśli tego nie chcą przyznać otwarcie.

Pytam Azzeha, czy uważa dziś Hamas za większego wroga niż Izrael.

Reaguje oburzony: – Ludzie Hamasu są Palestyńczykami. Są naszymi rywalami politycznymi, ale nie są wrogami. Na pewno nie. I dlatego próbujemy się z nimi pogodzić.

Ale przecież – ripostuję – Hamas rozgrywa OWP przeciw Palestyńczykom w Gazie. Liderzy Hamasu mówią mieszkańcom Gazy: OWP nie daje pieniędzy, więc cierpicie, na szczęście znalazł się dobry Katar, który zapłaci nasze rachunki. Hamas twierdzi, że OWP nie jest wiarygodnym przedstawicielem społeczności palestyńskiej.



ISSAM RIMAWI / ANADOLU AGENCY / EAST NEWS

*Na pogrzebie Basila Ibrahima, zabitego przez siły izraelskie podczas demonstracji.
Anata, grudzień 2017 r.*

Azzeh: – To jest bardzo trudna sytuacja: i tak źle, i tak niedobrze. Jeśli porozumiemy się z Hamasem, to dajemy wiarygodność organizacji terrorystycznej. A jeśli nie godzimy się z nimi, to oni mówią: nie macie prawa rządzić w Gazie. Dlatego najlepszym rozwiązaniem byłoby włączenie Hamasu w ramy Organizacji Wyzwolenia Palestyny.

– Oni nigdy na to nie pójdą – ripostuje.

Azzeh: – Nie zgadzam się. Hamas chce być wiarygodną partią polityczną w ramach palestyńskiego systemu. Jeśli popatrzy pan na umowy, które zawarliśmy w ubiegłym roku i które miały dać podstawę pełnego porozumienia, to włączenie Hamasu do OWP jest właśnie ich częścią. Dlaczego oni je podpisali, skoro by ich to nie interesowało?

Kais Abdel Kareem przewiduje ustępstwa ze strony Hamasu: – W Hamasie jest nurt racjonalny, gotów rozważyć sensowne argumenty. Zwłaszcza ten, że nikt nie chce ich pozbawiać wpływów. Nam chodzi o porozumienie zbudowane na fundamencie wolnych wyborów w całej Palestynie.

Pytam Kareema, jaki interes miałyby Ismail Haniija w przyłączeniu się do OWP. – Byłby częścią mechanizmu władzy w całej Palestynie, a nie tylko w Gazie – uważa członek władz OWP. – Miałyby wiele do powiedzenia nie tylko w Gazie, ale w całym narodzie. Oczywiście takie porozumienie musiałoby się opierać na akceptacji wolnych wyborów i zaprzestaniu przemocy.

Od dwóch dekad to samo

Słucham moich palestyńskich rozmówców i nie mogę się pozbyć pewnej irytującej myśli. Jeśli ktoś wziąłby do ręki izraelską albo palestyńską gazetę sprzed 20 lat i pozmieniał tylko nazwiska polityków w artykułach o konflikcie bliskowschodnim (choć czasem nawet i tego nie byłoby trzeba), to właściwie można by ją było czytać jak aktualne wydanie.

Wyrośli nowe pokolenie Palestyńczyków, które żyje tak samo jak poprzednie – bez nadziei na zmianę. Gospodarka Palestyny praktycznie nie istnieje, podział na fundamentalistów i tak zwanych umiarkowanych pogłębia się. Całe wspólnoty, choćby Beduini, spychani są na margines bez szansy na poprawę losu.

Okresowo powtarzane wybuchy agresji ze strony Palestyńczyków wyglądają na jedyną formę ekspresji politycznej, która im została.

Pytam Kareema, dlaczego ten konflikt jest tak trudny do rozwiązania.

– Z trzech powodów – uważa polityk OWP. – Pierwszy to postawa Izraela: oni nie rezygnują z okupacji. Wręcz przeciwnie, doskonali jej metody na całym terenie historycznej Palestyny. Pod drugie, Izraelczycy mają wsparcie USA nie tylko w wojnie z Palestyńczykami, lecz w utrzymywaniu kontroli nad całym regionem. Po trzecie, wspólnota międzynarodowa nie stosuje wobec Izraela tych samych kryteriów, co wobec innych krajów zbrojeckich, które – podobnie jak Izrael – łamią prawo międzynarodowe.

Wśród przyczyn niedoli Palestyńczyków Kareem nie wspominał jednak błędów, jakie popełniali ich palestyńscy przywódcy. Ani trwającej od lat ich wojny wewnętrznej – politycznej, a okresami również militarnej.

– Nasze podziały trwają dopiero od 12 lat. Wcześniej my, Palestyńczycy, byliśmy zjednoczeni, mieliśmy wiarygodne władze, uznane tutaj i na świecie. I to też nic nie dało – odpowiada Kareem.

Wspólne państwo, którego nie będzie

Baszar Azzeh jest jeszcze bardziej jednoznaczny: – Większość młodych ludzi w tym kraju urodziła się już po 1993 r., po porozumieniach z Oslo. Dorastali przez ostatnie lata i dla nich idea dwóch państw, palestyńskiego i izraelskiego, kojarzy się z murem separacyjnym między Zachodnim Brzegiem a Izraelem. To dlatego młode pokolenie jest gotowe przyjąć inne rozwiązanie: jedno demokratyczne państwo z prawem głosu dla każdego obywatela. Nie mamy problemu, aby Izrael również był częścią tego państwa. Ale chcemy prawa głosu w wyborach i traktowania na równi z resztą obywateli.

Izrael oczywiście tego nie zaakceptuje. Bo dlaczego miałby przyjąć jako swoich nowych obywateli 3 miliony Arabów z Zachodniego Brzegu? Wliczając milion Palestyńczyków, którzy już teraz są obywatelami Izraela, mielibyśmy 4 miliony Palestyńczyków – obywateli owego zjednoczonego demokratycznego państwa. I to nie licząc Gazy.

Wspólne demokratyczne państwo Arabów i Żydów – to z definicji koniec państwa żydowskiego. Zapewne dlatego alternatywa w postaci państwa palestyńskiego w Gazie – nie do przyjęcia dla Palestyńczyków z Zachodniego Brzegu – może być interesująca dla Żydów.

– Izraelczycy muszą zrozumieć jedno – przekonuje Baszar Azzeh. – Jeśli chcą zachować żydowski charakter swojego państwa, to muszą nam dać nasze państwo. Żaden inny model nie pozwoli im na to. Gaza z Hamasem u władzy to nieustanna wojna. A powołanie jednego demokratycznego państwa, od Jordanu do Morza Śródziemnego, oznaczałoby zmianę demograficzną. Taką, której wynikiem byłby – jak to ujął niedawno prezydent Trump – premier Izraela o imieniu Mohamed. © DARIUSZ ROSIAK



DANIEL LEAL-OLIVAS / AFP / EAST NEWS

„Parlamentarzyści, milion ludzi mówi: naprawcie Fakebooka”
— protest organizacji Avaaz przed brytyjskim parlamentem, 26 kwietnia 2018 r.

Śmiertelne fake newsy

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Nieprawdziwe informacje, rozpowszechniane za pośrednictwem mediów społecznościowych i internetowych komunikatorów, mogą nie tylko wpływać na wyniki wyborów. Mogą też zabijać.

WIDEO TRWA 11 SEKUND. WYGLĄDA tak, jakby zostało nagrane kamerą przemysłową. Widać na nim dzieci grające na ulicy w krykieta. Nagle podjeżdża motocykl, pasażer łapie jedno z dzieci. Motor odjeżdża.

To fragment spotu kampanii społecznej z 2015 r. W oryginale na początku jest napis, że nagranie pochodzi z Karaczi w Pakistanie, a po inscenizacji porwania motocykl wraca, pasażer odstawia dziecko i rozwija transparent: „Tylko chwilę trwa uprowadzenie dziecka”. Dalej jest numer telefonu organizacji pomagającej w szukaniu zaginionych. Ale to nie cały spot, lecz jego 11-sekundowy fragment stał się trzy lata później przyczyną linczu we wsi położonej tysiące kilometrów od Karaczi.

6 lipca mieszkańcy Panjuri Kachari w Indiach wywlekli z auta dwóch męż-

czyn, Nilotpala Dasa i jego przyjaciela Abhijita Natha, po czym ich załukli. Śledztwo wykazało, że 11-sekundowe wideo od jakiegoś czasu rozsyłano tam przez komunikator WhatsApp z komentarzem: „W okolicy pojawili się porywacze dzieci”. Mężczyźni zatrzymali się w wiosce, by spytać o drogę. Podejrzenia wzbudził Das, bo miał dredy. W internecie można znaleźć dziś nagranie, na którym tłum okłada go kijami, gdy on próbuje się tłumaczyć i prosi o litość.

Porwania, których nie było

Miasto Acatlán w Meksyku od indyjskiej wsi dzieli 15 tys. km, ale 29 sierpnia rozegrała się tam tragedia niemal identyczna: też z powodu rozsiewanej w internecie plotki, że ktoś porywa dzieci. Różnica jest

taka, że w Acatlán nie trzeba było nawet nagrania, a matka jednej z ofiar, 21-letniego Ricarda Floresa, nie dowiedziała się o śmierci syna od policji, lecz oglądała lincz na żywo – znajomy wysłał jej link do transmisji na Facebooku.

Gdy kliknęła, zobaczyła syna i szwagra, jak są bici przez rozwścieczony tłum. Maria Flores zdołała tylko napisać: „Proszę, nie róbcie im krzywdy, nie zabijajcie ich, nie są porywaczami dzieci”. Nikt nie reagował. Świadkowie twierdzą, że Ricardo już nie żył, gdy ktoś oblał go benzyną i podpalił. W sprawie Alberta pewności nie ma, bo na wideo można się dopatrzeć, jak porusza rękami i nogami, kiedy płomienie obejmują jego ciało.

To nie są odosobnione przypadki. Dzień po mordzie w Acatlán coś podobnego zdarzyło się w meksykańskim miasteczku Tula. Z kolei 16 października w Ekwadorze załuczono dwie kobiety, znów z powodu internetowej plotki o porwaniach dzieci, a 10 dni później zamordowano mężczyznę w Bogocie.

W Indiach tylko w tym roku dokonano co najmniej 30 linczów z powodu fałszywych wiadomości rozpowszechnianych w internecie (fake newsów). Do podobnych zbrodni dochodziło od Sri Lanki po Kongo. I za każdym razem Facebook – platforma, do której należy też WhatsApp – tłumaczył, że pracuje nad rozwiązaniem problemu.

Głupota i premedytacja

Od wyborów w USA w 2016 r., gdy manipulacje w sieci pojawiły się na masową skalę, na Zachodzie problem analizowany jest z każdej strony – zwłaszcza w kontekście zagrożeń dla demokracji. Tymczasem poza Europą i USA na pierwszy plan wysuwają się ludzkie tragedie, do jakich mogą prowadzić fake newsy.

Nagranie, na którym widać mężczyznę z rozłupaną czaszką, od połowy czerwca krążyło wśród mieszkańców stanu Plateau w środkowej Nigerii. Miał być – jak wynikało z opisu – jednym z dowodów na zbrodnie dokonane przez muzułmanów z ludu Fulbe na chrześcijanach z mniejszości Berom.

Sprzedawca ziemniaków Ali Alhaji Muhammed w niedzielę 24 czerwca pojechał z towarem do miasteczka Mangu. Gdy wracał do domu w Dżos, stolicy stanu Plateau, zatrzymali go mężczyźni z ludu Berom. Okaleczone i częściowo zwęglone ciało Alego znaleziono później porzucone

w rowie. Był jedną z co najmniej 83 ofiar masakry dokonanej w tamtych dniach.

Tymczasem nagranie mężczyzny z rozłupaną czaszką, które sprowokowało zajścia, wykonano w Kongo w 2012 r. W kolejnych latach pojawiało się z różnymi opisaniami: raz miało pochodzić z Kinszasy, to znów z Kamerunu. Dziennikarz BBC zgłosił nagranie Facebookowi, a ten natychmiast je usunął, podkreślając, że wideo łamało politykę dotyczącą pokazywania przemocy. Ale już następnego dnia znów można było znaleźć je na portalu.

„Używamy raportów od naszej społeczności i narzędzi uczenia maszynowego, by pomagać w wyszukiwaniu i usuwaniu nieodpowiednich treści. Inwestujemy też w lokalne organizacje partnerskie i angażujemy się w działania społeczeństwa obywatelskiego, organizacje pozarządowe, naukowców i decydentów” – oświadczyła Akua Gyekye, odpowiadająca w Facebooku za politykę publiczną w anglojęzycznej części Afryki Zachodniej.

W 17 państwach portal uruchomił programy fact-checkingowe, we współpracy z owymi „organizacjami partnerskimi”. W teorii to działa, bo po oznaczeniu informacji jako fałszywki liczbę jej odsłon można zredukować o 80 proc. Byłoby to imponujące, gdyby nie fakt, że w Nigerii Facebook ma miesięcznie 24 mln aktywnych użytkowników, a „organizacje partnerskie” były w stanie oddelegować do fact-checkingu cztery osoby. Do tego żadna nie zna hausa, jednego z najbardziej powszechnych języków Afryki (używa go 44 mln ludzi).

Podobnie było w Birmie, gdzie Facebook ma 18 mln użytkowników, a do zwalczania dezinformacji oddelegował wedle Reutersa dwóch pracowników i dwóch freelancerów znających birmański. Tu źródłem dystrybucji fake newsów nie była żądza sensacji czy głupota. Było to celowe działanie generałów, którzy wykorzystali Facebooka do szerzenia nienawiści przeciw muzułmańskim Rohingom. ONZ ustaliła, że w kampanii prowadzonej przez birmańskie wojsko zamordowano 25 tys. ludzi; blisko milion musiało uciekać z kraju.

Facebook stara się zautomatyzować wyłapywanie fake newsów, ale przyznaje, że algorytmy mają z tym problem. Przykład: Reuters przytacza wymierzony w Rohingów post brzmujący: „Zabijajcie wszystkich czarnuchów, których widzicie w Mjanmie [oficjalna nazwa Birmy

– red.], żaden nie może zostać przy życiu”. Automat tłumaczeniowy przekłada to na angielskie „Nie powinienem mieć tęczy w Mjanmie”.

Struktury zamknięte

Oczywiście, dezinformacja istniała zawsze. Ale fake newsy upowszechniły się na niespotykaną wcześniej skalę wraz z rosnącą popularnością Facebooka. Okazało się, że ludzie za bardzo ufają informacjom, które znajdują w mediach społecznościowych.

Komunikator WhatsApp wyniósł ten problem na jeszcze nowy poziom. Według Reuters Institute aż 54 proc. Malezyjczyków, 65 proc. Brazylijczyków i 30 proc. Turków właśnie z tej aplikacji czerpie wiedzę o świecie. Informacje rozsyłane są tu wewnątrz zamkniętych grup znajomych (a komunikaty szyfrowane, co daje poczucie bezpieczeństwa w krajach autorytarnych). Zamknięta struktura wyklucza włączenie się do dyskusji głosów spoza grupy, a jednocześnie – jak wynika z badań na zlecenie serwisu światowego BBC – wiadomości otrzymywane przez WhatsApp są darzone większym zaufaniem niż te z Facebooka czy tradycyjnych mediów właśnie dlatego, gdyż przekazują je znajomi.

Np. w Indiach z komunikatora WhatsApp korzysta 200 mln ludzi. Rząd stosuje tu prostą metodę: gdy widzi, że wiadomości krążące po sieci zagrażają porządkowi publicznemu lub służą do organizowania protestu, po prostu wyłącza sieć (w 2018 r. w kraju doszło do 116 takich lokalnych wyłączeń).

Tymczasem rozwiązanie niewymagające posunięć radykalnych i zagrażających demokracji wydaje się proste: wystarczy nauczyć ludzi, by nie byli aż tak ufni wobec wiadomości z sieci. I znów Facebook odpowiada, że pracuje nad tym. Np. w Nigerii uruchomił program dotyczący „bezpieczeństwa online i umiejętności korzystania z technologii cyfrowych”. Obejmuje 140 szkół średnich. Tylko że w Nigerii są 54 tysiące szkół średnich...

Tymczasem gdyby to, co dzieje się w USA, traktować jako prognozę na przyszłość, szlak znów przeciera sztab Donalda Trumpa. Przygotowując grunt pod wybory w 2020 r., inwestuje w bazy danych z numerami telefonów komórkowych. „Właśnie tak Trump zostanie prezydentem na następne cztery lata. Telefon to nasz sposób na łączenie się z wami. To dzięki niemu

zmienimy was w Armię Trumpa” – zapowiada Brad Pascale, który w 2016 r. kierował kampanią Trumpa w sieci, a teraz uczestniczy w pracach nad kolejną.

Z przecieków wynika, że komunikacja ma się opierać na esemesach. Dla konserwatystów w USA może się to wydawać racjonalne, bo tradycyjne media oskarżają Facebooka czy Twittera o lewicowość. Zamykając się w „bańce informacyjnej” – zamkniętej strukturze, oddzielonej od innych wizji świata nie tylko mentalnie, ale też fizycznie – tworzą jednak idealne warunki dla manipulacji (choćby kierowały nimi kryształowe intencje).

Fake w służbie Facebooka

„Fake newsy nie są twoimi przyjaciółmi” – to hasło kampanii społecznej, którą Facebook zaczął w maju. W jej ramach opublikował wideo, na którym zatroškani dyrektorzy firmy opowiadają, jak dojrzewała w nich odpowiedzialność za to, by użytkownicy mieli dostęp do prawdy. Choć, jak twierdzą, „trudno ją zdefiniować”, to jednak „będą robić porządek z dezinformacją”.

Próba wykreowania wizerunku szlachetnego giganta legła w gruzach, gdy w połowie listopada dziennik „New York Times” ujawnił, że Facebook sam używał fake newsów. Zatrudnił znaną z brudnych sztuczek firmę PR, która szerzyła fake newsy na temat krytyków portalu (m.in. próbowała powiązać ich z miliarderem George'em Sorošem, dotąd ulubieńcem teorii spiskowych).

„Uważamy, że istnieją ważne kwestie, które należy omówić, i jesteś odpowiednią osobą, by odpowiedzieć” – napisali przedstawiciele ośmiu parlamentów do Marka Zuckerberga, zapraszając go na koniec listopada do Londynu. Proponowali, że jeśli nie może przyjechać, wystarczy połączenie wideo. To było kolejne zaproszenie. Zuckerberg znów je zignorował, choć przedstawiciele Wielkiej Brytanii, Kanady, Australii, Argentyny, Irlandii, Brazylii, Singapuru i Łotwy reprezentują łącznie 389 mln ludzi.

Dużo? Nie dla Facebooka. On ma więcej, bo ponad dwa miliardy „obywateli”, i wciąż niezaspokojone ambicje. Chce podpiąć do sieci kolejne miliardy ludzi – tam, gdzie dziś nie ma jeszcze dostępu do internetu. Uruchomi go, uprzednio gwarantując sobie, że będzie tam najważniejszym oknem na świat. ©

MROCNY CZAS PRYMASA

Czy jesienią 1965 r. kardynał Wyszyński przeżywał kryzys?
Przyczyną miałyby być nagonka komunistów po Orędziu do biskupów niemieckich,
a także niechęć części wiernych i duchownych do tego dokumentu.

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

WIZJA MILENIUM – OBCHODÓW TYSIĄCLECIA CHRZTU POLSKI, organizowanych w 1966 r. przez Kościół – spędzała sen z powiek Władysława Gomułki, przywódcy PRL. Orędzie biskupów polskich do niemieckich z 18 listopada 1965 r. – ze słowami przebaczenia i prośbą o wybaczenie – dało jego ekipie nadzieję, że w przeddzień święta polskiego chrześcijaństwa uda się osłabić Kościół – wykorzystując ten dokument do wielkiego ataku propagandowego.

Bomba w Watykanie

W listopadzie 1965 r., podczas ostatniej sesji Soboru Watykańskiego II, obecni tam polscy biskupi kierują listy do episkopatów świata z zaproszeniem na obchody Milenium w kolejnym roku. Najważniejsze okaże się Orędzie do Episkopatu Niemiec, które nabiera znaczenia politycznego: idzie na przekór *status quo* w relacjach PRL z Niemcami zachodnimi i wyprzedza epokę. Biskupi chcą pojednania obu narodów i wbrew ówczesnemu podziałowi Europy widzą Polskę w kręgu cywilizacji zachodniej.

List poświęca wiele miejsca II wojnie światowej – tematowi żywemu, wszak skończyła się ona 20 lat wcześniej. Milenium ma być dla Polaków i Niemców okazją do rachunku sumienia i przebaczenia. Biskupi piszą do niemieckich kolegów: „W tym jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu wyciągamy do Was, siedzących tu na ławach kończącego się Soboru, nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”.

Słowa te wyrastają z Ewangelii, a jednak początkowo mało kto w Polsce akceptuje ich przesłanie. Znaczenia tych słów chyba nie rozumieją też adresaci: chłodna reakcja Episkopatu Niemiec okaże się przykrym zaskoczeniem. Zwłaszcza dla prymasa Wyszyńskiego, który podpisując Orędzie, rzucił na szalę swój autorytet.

W PRL list wywołuje polityczną burzę. Mimo zaskoczenia, komuniści zdają sobie sprawę z jego potencjalnej wartości propagandowej: grając na antyniemieckich nastrojach, chcą wykorzystać Orędzie jako detonator konfliktu z Kościołem na progu Milenium.

Ekipa Gomułki kuje żelazo póki gorące. 7 grudnia Wydział Administracyjny PZPR przedstawia wierzusze okoliczności powstania listu i analizuje jego treść. Dzień później Biuro Polityczne nakazuje rozpocząć akcję, która ma wykazać rzekome załamania historyczne Orędzia i jego szkodliwość. 10 grudnia „Słowo Powszechne” i „Życie Warszawy”, a dwa dni później organ PZPR „Trybuna Ludu” publikują artykuły, które dają początek największej w dziejach PRL kampanii propagandowej wymierzonej w Kościół.

Pranie mózgu na bogato

Gomułka, skąpy na innych polach, nie żałuje grosza na pranie mózgu Polakom. Masa artykułów, broszur i książek krytykuje Orędzie i bije w Episkopat. Kampania ma objąć wszystkie grupy społeczne.

Ciężar „polemiki” spoczywa najpierw na prasie. Od 10 grudnia 1965 do 24 kwietnia 1966 r. dzienniki publikują na temat

Orędzia 163 ważniejsze artykuły, tygodniki – 102, a agencje prasowe – 85. Ramówkę radia i telewizji wypełniają dziesiątki programów związanych z listem. Większość powtarza przekaz władz: że Episkopat wkracza w domenę państwa, a biskupi bezprawnie przebaczą Niemcom w imieniu narodu i dają fałszywy obraz historii.

Od połowy grudnia 1965 r. trwa w całym kraju akcja „odczytowa” z udziałem partyjnych lektorów. Zgodnie z wytycznymi Wydziału Propagandy i Agitacji ma wykorzystywać argumenty historyczne i odwoływać się do patriotyzmu Polaków. Odczytów słuchają w sumie setki tysięcy osób – podczas zebrania partyjnych i związkowych, wieców w instytucjach i zakładach pracy, na uczelniach, w szkołach i domach kultury. Spotkania te na ogół kończą się rezolucjami potępiającymi Episkopat.

Opracowany 22 grudnia przez Wydział Administracyjny PZPR program działań przewiduje też indoktrynację niższego duchowieństwa, dezintegrację Episkopatu i angażowanie innych wyznań do akcji przeciw Orędziu. Partia angażuje do kampanii historyków: są zobligowani do udziału w dyskusji prasowej i przygotowania lektorów partyjnych. Do akcji ma się włączyć Polskie Towarzystwo Historyczne.

„Dialogi” z klerem

Władze inicjują również na masową skalę rozmowy z księżmi o Orędziu. Są groźne: pozwalają na rozpoznanie środowiska



ALEKSANDER JALOSIŃSKI / FORUM

Na uroczystościach pierwszomajowych w Warszawie, 1966 r.

i jego dezintegrację. W ich organizacji uczestniczy m.in. Służba Bezpieczeństwa.

Na pierwszy ogień idą przełożeni zakonów męskich. Spotkania z nimi organizuje Urząd do spraw Wyznań (UdsW), w grudniu 1965 i marcu 1966 r. Według jego raportu większość zakonników odżegnuje się od Orędzia. Poza prowincjałem zmartwychwstańców o. Janem Reinke i prowincjałem marianów o. Leonem Szelażem podobno nikt nie próbuje bronić „linii politycznej” prymasa. Większość zakonników – relacjonuje UdsW – uznaje Orędzie za krok niepotrzebny i nieodpowiedzialny, który naraża „dobre imię państwa” na ataki antypolskich środowisk RFN. W ocenie urzędu w hierarchii zakonnej pogłębiają się tendencje odśrodkowe, na co wpływają decyzje Episkopatu, które narażają interesy zakonów na „indywidualne straty”.

Między ostatnią dekadą grudnia 1965 a 15 marca 1966 r. do prezydów powiatowych rad narodowych wzywani są księża diecezjalni. Według Wydziału Administracyjnego PZPR Orędzie ocenia negatywnie 42,8 proc. dziekanów i 53 proc. proboszczów; nie zajmuje stanowiska odpowiednio 22,8 proc. i 25 proc., a listu broni tylko 34,4 proc. i 22 proc.

Widząc rozdzźwięk między częścią niższego duchowieństwa diecezjalnego a Episkopatem, Urząd ds. Wyznań postuluje dalsze spotkania z księżmi i metodę „kija i marchewki”: duchowni „pozytywni” otrzymają profity od państwa, a „negatywnych” czekają szykany administracyjne.

W styczniu 1966 r. w prezydiach wojewódzkich rad narodowych odbywają się rozmowy z biskupami, którzy nie podpisali Orędzia (bo nie byli w Watykanie), a w lutym analogiczne spotkania z hierarchami, którzy to zrobili. Celem akcji jest wykazanie biskupom „wyjątkowej szkoldliwości” listu dla narodu i państwa.

W rozmowach uczestniczy 49 z 68 biskupów. Generalnie bronią Orędzia. Często są oburzeni z powodu wypaczania jego intencji przez władze. Np. arcybiskup Karol Wojtyła uważa, że list jest wielkim dziełem i sukcesem w stosunkach polsko-niemieckich. Krakowski hierarcha podkreśla, że Episkopat nie odpowiada za jego szkodliwy dla Polski wydźwięk. Uważa, że emocjonalne wiadomości na temat Orędzia doprowadziły do strat dla obu stron sporu (tj. władz i Kościoła).

Ale według źródeł państwowych kilku biskupów ma inny pogląd. Bernard Czapliński z Pelplina twierdzi, że „polityka

Wyszyńskiego nie zdaje egzaminu”. Edmund Nowicki z Gdańska oficjalnie solidaryzuje się z Episkopatem, ale prywatnie ocenia: „Orędzie jest wynikiem błędnej polityki, za którą winę ponosi Wyszyński”. Herbert Bednorz z Katowic wypowiada się krytycznie o kardynale, z którym „ma ozięble stosunki”. Jan Jaroszewicz z Kielc nie zbiera podpisów pod listami w obronie prymasa; deklaruje lojalność wobec państwa i zaznacza, że nie popiera tych, którzy wspierają „politykę” Wyszyńskiego.

Mimo takich głosów UdsW zauważa, że rozmowy z biskupami potwierdzają, iż „nie można poważnie myśleć o rozwarstwieniu w episkopacie, dokąd Wyszyński będzie sprawował władzę w Kościele w Polsce”. W kolejnych miesiącach władze atakują więc zwłaszcza prymasa.

Wiosną 1966 r. Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego (GZP WP) inicjuje rozmowy oficerów politycznych z wcielonymi do armii klerykami (w tym czasie muszą oni odsłużyć wojsko). W przypadku starszego rocznika podobno przynoszą one efekty: w rozmowach indywidualnych 62 alumnów drugiego roku służy wojskowej i 46 z pierwszego roku popiera stanowisko PRL w sprawie Orędzia (listu broni odpowiednio 24 i 63, ➔

→ 66 i 87 nie zajmuje zaś zdecydowanego stanowiska).

Partia listy pisze

12 marca 1966 r. Biuro Polityczne PZPR zatwierdza list do podstawowych organizacji partyjnych (POP), który „wyjaśnia” genezę i treść Orędzia oraz formułuje zadania polityki wyznaniowej. Odpowiedzialnością za Orędzie partia obciąża prymasa i „reakcyjne oblicze” Episkopatu. Zadaniem członków PZPR ma być „wyjaśnianie” istoty konfliktu państwa z Kościołem. Odczyty i szkolenia mają ich uzbroić w „niezbędny oręż walki politycznej ze wszystkimi wrogami socjalizmu i Polski Ludowej”. List otrzymują sekretarze POP oraz kierownicy wojewódzkich i powiatowych instancji związkowych i młodzieżowych. Jest odczytywany i komentowany podczas zamkniętych zebrań POP.

Akcja propagandowa związana z listem kierownictwa PZPR obejmuje też armię. Nad jej przebiegiem czuwa GZP WP: jego oficerowie uczestniczą w zebraniach w jednostkach wojskowych, organizowanych do kwietnia 1966 r.

Można więc powiedzieć, że do antyordziewej kampanii zostają zmobilizowani właściwie wszyscy członkowie PZPR. W marcu 1966 r. włączają się do niej także Stronnictwo Demokratyczne i Zjednoczone Stronnictwo Ludowe.

Partyjne „doły” aprobują list kierownictwa PZPR. Ale stalinizm nie wywietrzył wszystkim z głów. Niektórzy mają żal, że państwo postępuje wobec Kościoła zbyt liberalnie.

Mimo takich sugestii, ekipa Gomułki nie podejmuje radykalniejszych działań wobec Kościoła. Być może uznaje, że doprowadziłyby do wybuchu niezadowolenia społecznego. Za to sprawa Orędzia jest impulsem do ostrych – do tego czasu raczej unikanych – ataków na Milenium.

Żołnierze na plebaniach

Zgodnie z wytycznymi Sekretariatu KC PZPR, wiosną 1966 r. kolejną ofensywę prowadzą oficerowie wojska. Jej adresatem są środowiska wiejskie, uznawane za „bastion klerykalizmu”. Celem akcji spotkaniowo-odczytowej jest poderwanie na wsi autorytetu Episkopatu, zwłaszcza prymasa. Akcja trwa równoległe z głównymi uroczystościami Milenium, w kwietniu i maju. Według GZP WP uczestniczy w niej 17 tys. żołnierzy (generałów, oficerów i podoficerów), którzy przeprowa-



Prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński w Gnieźnie, 14 kwietnia 1966 r.

dzać spotkania w 40 tys. wsi – w ten sposób akcja propagandowa dociera do 3 mln ludzi (sic!).

Jej ważnym elementem są rozmowy z proboszczami. Zgodnie z założeniami GZP WP, mają na celu poznanie ich stosunku do Orędzia i obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego (organizowanych przez władze – i konkurencyjnych dla obchodów Milenium Chrztu Polski). Żołnierzy pomaga Służba Bezpieczeństwa. Spotkania z księżmi są organizowane na plebaniach. Ich skala jest masowa: 2500 oficerów rozmawia z 3774 proboszczami (do skutku nie dochodzi 1130 rozmów, przy czym otwartą odmowę spotkania ze strony księdza odnotowano w 402 przypadkach).

Postawa księży wobec Orędzia jest różnicowana. 60 proc. częściowo lub całkowicie krytykuje jego polityczne tezy, 17 proc. uważa jego wystosowanie za słuszne i zgodne z etyką chrześcijańską, a 28 proc. sądzi, że Orędzie jest niepotrzebne i zagraża stosunki z państwem.

Najwięcej księży ocenia Orędzie negatywnie w województwach rzeszowskim (50 proc.), łódzkim (ok. 50 proc.) i wrocławskim (ok. 40 proc.). Większość proboszczów uważa, że za napięcie na linii państwo–Kościół odpowiadają obie strony. Obchody Tysiąclecia są oceniane z rezerwą. Część księży krytykuje państwo, że konkuruje tu z Kościołem. Niektórzy uważają dwutorowość Milenium i Tysiąclecia za uzasadnioną w warunkach rozdziału Kościoła od państwa, mają pretensje do wiernych, że mało interesują się Milenium w Gnieźnie, Poznaniu i na Jasnej Górze. Część księży boi się, że zebrany

przez oficerów materiał z rozmów dotrze do biskupów. Ale są i tacy, którzy zapraszają żołnierzy do częstszych tego typu wizyt.

Z tych rozmów oficerowie opracowują raporty dla komitetów wojewódzkich PZPR, w których informują o postawach księży i problemach parafii. Spotkania z proboszczami są przykładem masowej „białej inwigilacji” Kościoła, w której – co ciekawe – uczestniczy wojsko.

Krajobraz po bitwie

Istnieją przesłanki, że jesienią 1965 r. prymas Wyszyński przechodzi kryzys.

Według sprawozdania „wyznaniowego” Departamentu IV MSW biskup Józef Drzazga w prywatnej rozmowie informuje księży, że kardynał „jest bardzo przygnębiony”. Ma mówić, że „ostatni rok sprawuje funkcję prymasa, po czym osiądzie w Rzymie”. Podobno liczy się z ponownym aresztowaniem (jak w latach 1953–56) i dla dobra Kościoła jest gotowy ustąpić ze stanowiska.

Ale jeśli prymas przeżywał wtedy chwile słabości, to krótko. Gra toczy się o dużą stawkę. Pogłębiający się podział na zwolenników i przeciwników Orędzia (dotyczy on też duchownych) zmusza Episkopat do wydania 15 grudnia 1965 r. komunikatu, który wyjaśnia jego genezę i przesłanie. Największą determinację wykazuje prymas: w całym roku 1966 – roku milenijnym – będzie konsekwentnie odpierał zarzuty propagandy. Biskupi, wbrew nadziejom władz, wspierają go unisono.

Choć więc komuniści odnoszą pewne sukcesy w związku z kampanią wokół Orędzia, to nie udaje się im zerwać jedności wiernych z biskupami i rozbić Episkopat. Gargantuiczna propaganda przytłacza, z czasem staje się nieznośna w odbiorze – i nieprzekonująca. Wierni głoszą nogami i w 1966 r. masowo uczestniczą w Milenium.

Uroczystości te, mimo przeszkód ze strony państwa, oszałamiają rozmachem i bogactwem duchowej treści. A zarzut zdrady polskich interesów przez Kościół rozwiewa Episkopat na czele z prymasem, który na milenijnym szlaku często odwołuje się do dziedzictwa Polski, akcentuje rolę Kościoła w jej historii i mówi o prawie Polaków do poniemieckich Ziem Odzyskanych.

Kościół ostatecznie zwycięża. Ale jest to triumf przez mękę.

© BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

ANDRZEJ

Stasiuk: *W pendolino*



JECHAŁEM Z WARSZAWY DO KRAKOWA pociągiem. Pendolino. Niespecjalnie mi się chciało, ale tak wypadło. To jest nieco dziwny pociąg, bo bilety jednak ciut drogie. Trochę przypomina niemieckie ICE, co to jadą trzysta na godzinę i za oknem prawie nic nie widać z tej szybkości. A w środku jest tak cicho, jakby się stało w miejscu. No więc ten nasz włoski ekspres jest podobny, ale nie bardzo. Jakiś ciałniejszy, z tańszych materiałów i jednak nieco się buja i tłucze, a wózek z napojami ledwie się mieści w przejściu. No ale pojechałem, bo tak wypadło.

Wszystkie miejsca w wagonie były zajęte i mogłem sobie do woli popatrzeć na ludzi, bo na co dzień nie mam raczej okazji. Siedzę na wsi albo stoję na stacjach benzynowych, gdzie bez przerwy ktoś przyjeżdża albo odjeżdża, a tutaj przez dwie i pół godziny setka osób w sytuacji statycznej, unieruchomieni i wystawieni na wzajemny widok, więc każdy chce wypaść przed innymi jak najlepiej. W związku z tym wyglądali dość podobnie i elegancko. Mieli poważne twarze i jeżeli się porozumiewali, to stonowanymi głosami. Ale raczej się nie porozumiewali, tylko klikali, muskali opuszkami palców albo przymykali oczy ze słuchawkami na uszach. No, jednym słowem, wagon wypełniała utopia postindustrialnego społeczeństwa zarządzającego światem za pomocą idei zaklętych w gigabajty oraz w miarę możliwości zażywającego relaksu i regeneracji. Mężczyźni w tych swoich garniturach jak z młodszego brata, kobiety dyskretnie eleganckie, z wyglądu stanowcze i z elektroniką nie grubszą niż kartka papieru. Niby kupiłem bilet, ale szczerze mówiąc czułem się w wagonie numer czternaście trochę jak lajza.

A potem zobaczyłem jego. Był łysiejący, kanciasty i krępy, z jakąś wytartą walizeczką w głupi wzorek. Coś tam z niej wylażyło, albo w ogóle się rozlatywała. W szarej bluzie z kapturem, w ortalionowej kamizelce, z twarzą, która wiele przeszła, i oczami, które chociaż małe i ukryte pod niskim nawisem czoła, niejedno widziały. W masywnej dłoni ścisnął wymięty rulon „Gazety Warszawskiej”. Wrzucił bagaż na półkę i wcisnął się na miejsce przy oknie. Na jedno z tych, co to się siedzi we cztery osoby wokół rozkładanego stoliczka. Za towarzystwo miał trójkę młodych ludzi rozmawiających ścisłymi głosami o marketingu. Od razu mi się spodobał. Zająłem się jednak lekturą. Nie na długo, bo po chwili usłyszałem jego głos. Nie miał w sobie nic z dyskrecji. Przemawiał do swojego sąsiada, szczupłego, łysiejącego trzydziestolatka w czarnym garniturku i jasnobrązowych butach w szpic prosto ze sklepu: „...a jakbyś teraz, tak jak stoisz, pojechał w Bieszczady, to wiedziałbyś, jak przeżyć? Wiedziałbyś? A przecież

będzie wojna. Wiesz, że będzie wojna?”. Trzydziestolatek poprawił okulary, coś bąknął cicho, że niewykluczone, bo historia bywa cykliczna, więc... „Z Ruskimi będzie. Wiesz, co było 17 września?”. Tamten bąknął, że nie wie. „Ruscy weszli, bo Ruscy zawsze wchodzi, i teraz też spróbują. A jak wejdą, to wy z tych waszych korporacji nie będziecie wiedzieli, co zrobić. Wyłączą wam prąd i koniec”. „Nie jestem z korporacji” – odpowiedział chłopiec cicho. „A wiesz, co można jeść, gdy się jest w lesie? Co jest jadalne? Nie wiesz? To nie przeżyjesz. Żołędzie można jeść na przykład. I bukiew. Wiesz, co to jest bukiew? No widzisz, nie wiesz. Umrzesz z głodu. Wyłączają ci prąd i umierasz”. Podetknął pod nos tamtemu poobijany telefon i zapytał: „Wiesz, co tam jest w środku? Złoto, platyna i aluminium. Aluminium. Widziałeś kiedyś kopalnię aluminium? No widzisz, a ja widziałem i ci mówię, że to jest sajgon i horror i wydobywanie aluminium nas zabije, zabije i zniszczy całą ziemię”. Koleżanka tego w okularach pisnęła coś o ekologii. „Nienawidzę ekologów, wiesz? Wiesz, co jest w ekologicznych żarówkach? Rtęć. Wiesz, jak truje rtęć? W starych było tylko szkło, stal i wolfram. To są czyste rzeczy i można to odzyskać, ale rtęć...?”.

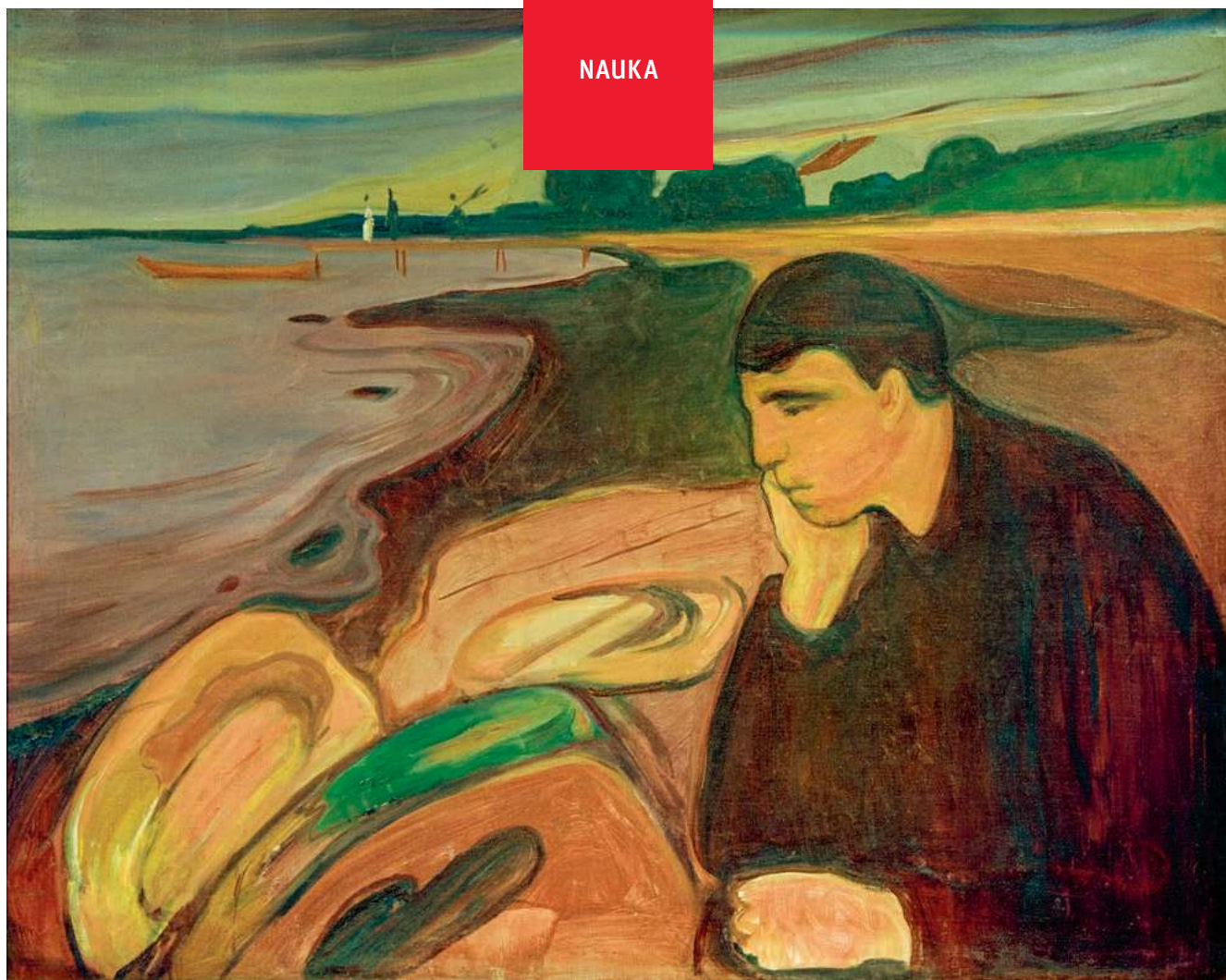
Tak, od razu mi się spodobał. Był jak żywioł w tym nieco zmumifikowanym wagonie, który wkrótce cały go słuchał. Z nieustępliwością żywiołu przetoczył się przez temat Ukraińców w Polsce (absolutnie przeciw, „psują rynek”), psów w lesie (absolutnie strzelać, „czy pies jest zwierzęciem leśnym? Nie jest”), marketingu („jak możecie sprzedawać ludziom rzeczy, których nie potrzebują?”), wolności („jak możecie żyć, gdy nie jesteście panami swojego czasu?”)... Poruszył też wiele innych tematów, ponieważ podróż trwała dwie i pół godziny. Gdy rozbłysły pierwsze światła Krakowa, zapytał swoich młodych, nowych kolegów, ale w istocie pytanie skierował do całego wagonu, a może i całego składu: „A wiecie, czym się zajmuję? Utrzymuję was przy życiu, ponieważ zajmuję się naprawą i konserwacją ogrzewania i klimatyzacji w tych waszych biurach”.

Wychodziłem tuż za nim. Szedł masywnie, szeroko i pewnie. Może trochę jak marynarz. Miał bliznę z tyłu czaszki. Ciągnął za sobą swoją cudaczną walizeczkę, a w drugiej ręce ścisnął pomięty rulon „Gazety Warszawskiej”. ©

W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze toczy się postępowanie z wniosku Elwiry Kwiatkowskiej z udziałem Anny Guślak, Jana Kuchni i Roberta Kwiatkowskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Julii Zuziak, zmarłej 3 marca 2017 r. w Kamiennej Górze, ostatnio stałe zamieszkałej w Wieściszowicach. Nie ustalono składników majątku pozostałego po spadkodawczyni.

Wzywa się spadkobierców zmarłej, aby w ciągu 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Kamiennej Górze i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu spadkowym. Sygn. akt I Ns 323/17

OGŁOSZENIE

Edvard Munch, *Melancholia* (1894/95).

SPRAWA KĘPIŃSKIEGO

Urodzonego przed stu laty psychiatrę można czytać jak współczesnego uczonego.
Co takiego wniósł do nauki Antoni Kępiński?

MIRA MARCINÓW

16 LISTOPADA 2018 R., W STULECIE urodzin Antoniego Kępińskiego, w Warszawie odbyła się poświęcona mu konferencja (VII Otwarte Seminarium Filozoficzno-Psychiatryczne). Jej uczestnikami byli nie tylko historycy medycyny, lecz także psychiatrzy, filozofowie, kognitywiści czy etycy. Pokazali oni, że chociaż mija już prawie pół wieku od publikacji „Schizofrenii”, „Melancholii” czy „Rytmu życia”, to myśl ich autora wciąż jest aktu-

alna. Kępińskiego można czytać, jakby był współczesnym specjalistą.

Kępiński nie należy tylko do historii polskiej psychiatrii. Ale też nie zdobył on takiej sławy w kręgach psychiatrycznych, jak mogłaby sugerować wciąż rosnąca liczba wznowień jego prac. Żadna z jego książek nie doczekała się tłumaczenia na język angielski. Mimo to o jego badaniach pisze się coraz częściej w specjalistycznych czasopismach. Zwłaszcza o prekur-

sorskim podejściu do zespołu stresu pourazowego, o pionierskiej terapii byłych więźniów obozów koncentracyjnych czy o nowoczesnej, autorskiej koncepcji metabolizmu informacyjnego.

Filozofia człowieka

Trudno zrozumieć dokonania Kępińskiego na polu nauki i praktyki psychiatrycznej bez uwzględnienia jego bogatego życiorysu, obejmującego walki na

frontach drugiej wojny światowej i internowanie w hiszpańskim obozie koncentracyjnym. Po dokonaniu w Edynburgu rozpoczętych przed wojną studiów medycznych i powrocie do Polski Kępiński dał się poznać jako świetny lekarz, słynący z opartego na szacunku podejścia do pacjenta psychiatrycznego. W jego biografii Jan Masłowski napisał o „niemal magicznej umiejętności wzbudzania u ludzi dodatnich uczuć, sympatii, dobroci, zaufania, wierności, pewności, spokoju, życzliwości, oddania. Jest to jedna z najważniejszych kart w jego życiu”. O tej karcie napisano już wiele stron. Wciąż za mało pisze się jednak o kartach napisanych przez samego Kępińskiego. O jego pracach poświęconych psychiatrii, które proroczo kwitował słowami: „będzie to dzieło pośmiertne”. Miał rację, bo niemal wszystkie książki Kępińskiego ukazały się dopiero po jego śmierci. I szybko okazały się bestsellerami.

Jeszcze do niedawna Kępińskiego czytano jednak przede wszystkim jako krytyka współczesnej mu cywilizacji; kontestatora, który kategorie psychiatryczne potraktował jako narzędzia pozwalające na analizy społeczne. Józef Tischner pisał, że twórczość Kępińskiego jest „uniwersalnie mądrą” filozofią człowieka. Opublikowany sześć lat temu w „Tygodniku” artykuł Wojciech Bonowicz kończył słowami: „Niezależnie od tego, czy Kępiński będzie wzorem dla kolejnych pokoleń psychiatrów, w powszechnej pamięci pozostanie jako znak tego, że »skok wolności« nie jest ponad siły człowieka”. Z jednej strony takie wypowiedzi zapewniły Kępińskiemu ważne miejsce wśród wybitnych postaci kultury polskiej. Z drugiej – nie oddały mu należytego miejsca jako uczonemu, a jego wkład w dziedzinę psychiatrii został doceniony dopiero współcześnie.

Moda na schizofrenię

Jak policzył Stefan Chwin, po śmierci Antoniego Kępińskiego „w latach 1972-1978 ukazało się prawie sześćdziesiąt tekstów poświęconych jego twórczości”. W większości były to artykuły apologetyczne, graniczące ze ślepą fascynacją tą postacią. Był też jednak wyjątek. W 1973 r. na łamach tygodnika społeczno-politycznego „Walka Młodych” Anna Bojarska zaatakowała „Schizofrenię” Kępińskiego. Według eseistki jest to książka „pisana przez człowieka o mentalności czternasto-

latka”. A sam Kępiński pod ostrzem Bojarskiej stał się głównym winowajcą wprowadzenia u nas niebezpiecznej „mody na schizofrenię”. Bo też jego dzieło w przystępny, a przy tym drobiazgowy sposób opisywało objawy psychozy, przyczyniając się tym samym do „zabawy w chorobę psychiczną”. Wrażliwych i niedocenianych młodych ludzi Kępiński miał uwieść zwłaszcza dedykacją swojej słynnej książki: „Tym, którzy więcej czują i inaczej rozumieją, i dlatego bardziej cierpią, a których często nazywamy schizofrenikami”. I jak tu nie chciał być chorym na schizofrenię? – pytała prowokująco Bojarska, szydząc z czytelników: „Kogo nie stać na uporanie się z własnym życiem, ten szlocha nad książką profesora Kępińskiego. A potem dostaje jedwabne spodnie i magnetofon, albo – jeśli rodzice mają wyjątkowe chody – trafia na przebadanie do Tworek”.

Ale fenomen lektury książek Kępińskiego czytanych w celu pogłębionego samopoznania i jako sposobu autoterapii nie obejmował jedynie lat 70. XX w. Sukces prac Kępińskiego rozciągnie się również na początek lat 80., m.in. za sprawą kultowej antologii „Galernicy wrażliwości” pod redakcją Marii Janion i Stanisława Rośka. A potem kolejne pokolenia – w tym i moje – ulegną urokowi „Schizofrenii”.

I chociaż jego książki wciąż można czytać niczym pasjonujące powieści, a określenie, które przylgnęło do autora „Melancholii” – nadal się broni, to Kępiński wywiera obecnie wpływ przede wszystkim na sposób myślenia specjalistów o zaburzeniach psychicznych.

Syndrom poobozowy

Kiedy Kępiński, pod koniec lat 50., wraz ze swoim przyjacielem Stanisławem Kłodzińskim stworzył obraz kliniczny syndromu poobozowego, nazwanego zespołem KZ, mało kto wiedział, że on sam był więźniem obozu koncentracyjnego w Miranda de Ebro w Hiszpanii. A to właśnie osobiste doświadczenie Kępińskiego z dwuipółrocznego osadzenia w miejscu zorganizowanym na wzór niemieckich obozów koncentracyjnych doprowadziło go do tego odkrycia.

Jednym z charakterystycznych objawów syndromu KZ miało być gromadzenie żywności pomimo braku zagrożenia głodem. Ale byli więźniowie obo-

zów koncentracyjnych, oprócz chowania pod poduszką kawałków chleba, borykali się ze znacznie poważniejszymi zaburzeniami. Doświadczali zarówno nawracających mimowolnych wspomnień z kacetu, jak i koszmarów sennych. Napiecie lękowe przeplatało się u nich z uczuciami wyczerpania i bezradności. Kiedy Kępiński pisał o syndromie poobozowym, nikt nie mówił jeszcze o zespole stresu pourazowego (*posttraumatic stress disorder*, PTSD) jako o formie reakcji na skrajnie stresujące wydarzenie. Rozważania nad PTSD pojawiły się dopiero w latach 70. przy okazji badań nad psychicznymi następstwami udziału amerykańskich żołnierzy w wojnie w Wietnamie. Nikt też szczególnie nie przejmował się specyfiką psychoterapii Ocalonych. Kępiński był pierwszy.

I właśnie dokonania krakowskiego psychiatry na tym polu zostały prawdziwie docenione. Jednak stało się tak dopiero w ostatnich latach. Stosunkowo niedawno też uznano zasługi Kępińskiego w wydawaniu pisma „Przegląd Lekarski – Oświęcim”, poświęconego medycznemu, psychologicznemu i społecznemu skutkom prześladowań w obozach koncentracyjnych. W końcu, „Refleksje oświecimskie” Kępińskiego są dziś czytane nie tylko jako szczególny przypadek „filozofii po Oświęcimiu”, ale i pierwsza pełnowymiarowa wizja psychopatologii po Zagładzie.

Metabolizm informacyjny

Kim jeszcze jest Kępiński z dzisiejszej perspektywy? Z pewnością autorem koncepcji metabolizmu informacyjnego – do niedawna niedocenianej, a dziś szeroko komentowanej w międzynarodowych akademickich kręgach. Rozwinięta przede wszystkim w dziele „Melancholia” teoria metabolizmu mówi o tym, że nasze życie psychiczne polega na wymianie informacji z otoczeniem w formie symbolicznej. Ta wymiana tworzy subiektywne, emocjonalno-racjonalne przeżycia psychiczne. Według Kępińskiego podstawą podejmowanych przez nas decyzji jest właśnie kolorystyczny i nastrojowy początkowej fazy wymiany. To odkrycie, jak i wyraźne podkreślanie przez krakowskiego psychiatrę ewolucyjnego pochodzenia procesów emocjonalnych, zbliża pochodzącą sprzed pół wieku koncepcję do poglądów współczesnego neurobiologa Antonia Damasio i jego wpływowej →

→ koncepcji tzw. markerów somatycznych. W ostatnim czasie analogia ta wielokrotnie była podkreślana.

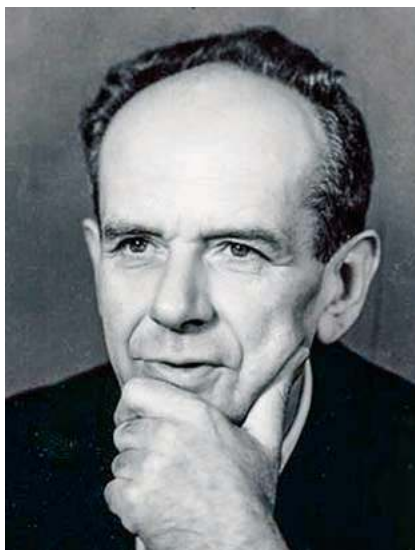
Wprowadzone przez Kępińskiego pojęcie metabolizmu informacyjnego zostało dziś na nowo odzyskane przez kognitywistów. Co więcej, ta kluczowa dla twórczości Kępińskiego koncepcja, dzięki swej prostocie i interdyscyplinarności, posiada obecnie wielu zwolenników wśród przedstawicieli filozofii psychiatrii. Szczególnie w nurcie określanym mianem fenomenologicznej psychopatologii, dla którego rzetelnie przeprowadzony przez Kępińskiego opis doświadczenia cierpienia psychicznego stanowi główny punkt odniesienia.

Polski typ histeryczny

Jak jeszcze czytamy dziś prace Kępińskiego? W ścisłym związku z jego biografią pozostają rozwiązania administracyjno-terapeutyczne, jakie wprowadzał krakowski psychiatra. M.in. pod wpływem doświadczeń klinicznych w Szkocji, Kępiński jako pierwszy docenił u nas rolę pielęgniarki psychiatrycznej. Ale większość życia autor „Poznania chorego” spędził w Polsce, dlatego nie dziwi fakt, że w pewnym momencie zajął się charakterem narodowym Polaków.

„Wśród narodów europejskich Polacy są zaliczani do histeryków” – pisze Kępiński. Dlatego polski psychiatra szczególnie dużo powinien wiedzieć na temat pacjentów histerycznych. Po pierwsze, autor „Psychopatologii nerwicy” przekonywał, że „niesłusznie miano hysterii przyłgnęło wyłącznie do kobiet”, równie często osobowość histeryczną prezentują mężczyźni. W polskim środowisku psychiatrycznym był to wciąż mało popularny pogląd. Po drugie histerię, podobnie jak inne zaburzenia, Kępiński definiuje przez odwołanie do systemu wartości. W hysterii dochodzi do wewnętrznego zakłamania, pochodzącego z niemożności pogodzenia sprzecznych systemów wartości.

Ale obok histeryków w rodzimym gabinecie psychiatrycznym równie często spotkać możemy psychasteników. „Polski psychastenik – to jakby typ polskiego kmiecia, cichy, spokojny, pracowity”. Natomiast polski histeryk „to typ w zasadzie szlachecki – polskie »zastaw się a postaw się«”. Rozróżnienie to we współczesnych tekstach o polskiej narracji tożsamościowej uchodzi już za klasyczne. Np. podkreślając pęknięcie wizerunku polskości na część „pańską” i „chłopską”, profesor Iza-



Antoni Kępiński

bella Bukraba-Rylska podpira swoją opinię diagnozą Kępińskiego.

Niedzisiejsza schizofrenia

Oczywiście nie wszystkie poglądy Kępińskiego oparły się działaniu czasu. Paradoksalnie XXI wiek zdewaluował przede wszystkim część obserwacji krakowskiego psychiatry w temacie, z którego był najbardziej znany: schizofrenii.

Kępiński wniósł do psychiatrii takie rozumienie schizofrenii, w którym istotę zaburzenia stanowi odwrócenie hierarchii wartości. W psychozie to, co jednostkowe, traci ważność, a pierwszoplanowe stają się sprawy ostateczne: sens życia, istnienie raju czy koniec świata. Ujęcie biologiczne schizofrenii było dla Kępińskiego zbyt jednostronne i zawężające. Co więcej, autor koncepcji metabolizmu informacyjnego pisał, że schizofrenia polega właśnie na zaburzeniu wymiany informacyjnej, prowadzącym do naruszenia podstawowych elementów struktury osobowości. W chorobie tej dochodzi więc nie tylko do patologii porządku wartościującego, ale i porządku czasowo-przestrzennego, do patologii „ja”.

O ile powyższe poglądy trudno zweryfikować, o tyle postulowany przez Kępińskiego „defekt schizofreniczny” nie został obecnie potwierdzony. Kępiński pisał jeszcze, niczym lekarze z XIX w., że swoistym skutkiem schizofrenii jest trwała zmiana osobowości na skutek przebytej choroby, czyli właśnie tzw. defekt schizofreniczny, rozumiany również jako proces zwyrodnieniowy mózgu. Aktualne dane, także dane patomorfologiczne, nie potwierdzają poglądu, jakoby schizofrenia była zaburze-

niem o charakterze postępującym. Obecnie przyjmuje się, że jest ona chorobą o charakterze epizodycznym.

Nie oznacza to jednak, że dziś lektura „Schizofrenii” Kępińskiego jest dla psychiatrów pracujących z pacjentami psychiatrycznymi stratą czasu. Najlepiej przekonuje nas o tym współczesny psychiatra, znany z pomocy osobom cierpiącym na schizofrenię. Andrzej Cechnicki w tekście „Czego dziś uczymy się od Antoniego Kępińskiego?” pisze, że autor „Rytmu życia” pokazuje przede wszystkim, iż „trzeba przestać pisać historię choroby i zacząć pisać historię życia”. Kępiński uczy nas, że symptomy chorego na schizofrenię mają zrozumiały związek z jego życiem wewnętrznym, a zadaniem osób leczących jest poznać i zrozumieć świat przeżyć cierpiącego na psychozę. Cechnicki twierdzi, że we współczesnej psychiatrii powinien nastąpić powrót do humanistycznego podejścia w duchu Antoniego Kępińskiego, do pogłębienia wrażliwości psychiatry na fundamentalne potrzeby pacjentów. W czasach Kępińskiego tego typu podejście do osób cierpiących na schizofrenię należało do rzadkości. I niestety tak jest do dzisiaj.

Koniec sprawy?

Można powiedzieć, że tzw. sprawa Kępińskiego – by użyć trafnego określenia Stefana Chwina na możliwość odmiennych sposobów interpretacji prac krakowskiego psychiatry – toczy się nadal. Dzieła Kępińskiego są i pewnie jeszcze długo będą czytane. Zarówno przez laików, jak i specjalistów. Czytane raz tak, jak się czyta literaturę piękną, innym razem jak dzieła filozoficzne, jeszcze innym jak prace specjalistyczne z zakresu psychiatrii. Jednym książką Kępińskiego pozwolą utożsamiać się z „bohaterami” „Schizofrenii”, „Melancholii” czy „Psychopatii”, drugim pomogą zmniejszyć lęk przed zaburzeniami psychicznymi.

Sprawa Kępińskiego z pewnością nie skończy się wraz z obchodami stulecia jego urodzin.

© MIRA MARCINÓW

Autorka jest adiunktem w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Ostatnio opublikowała książki: „Historia polskiego szaleństwa. Tom 1. Słońce wśród czarnego nieba. Studium melancholii” (2018) oraz „Niezabliźniona rana Narcyza. Dyptyk o nieświadomości i początkach polskiej psychoanalizy” (2018) (wraz z Bartłomiejem Dobroczyńskim).

PAWEŁ

Bravo: Za niepodległym stołem



30 TYSIĘCY ZŁOTYCH NA CELE DOBROCZYNNE. Tyle domaga się od Lecha Wałęsy w procesie cywilnym Jarosław Kaczyński, oburzony słowami byłego prezydenta o... Mniejsza o szczegóły, bo prawdziwie dobroczynny efekt ten proces już odniósł, niezależnie od tego, co zawyrokuje gdański sąd. Scysja obu panów tuż przed rozprawą miała wielką moc oczyszczającą. Pierwszy żałuje, że zrobił drugiego ministrem, a ten – że uczynił z tamtego prezydenta.

Nie ma powodów wątpić, iż żałują szczerze. Ale nie ma racji Wałęsa, że to „wielki błąd”: działania ich obu we wzajemnym powiązaniu miały swój istotny, momentalny, ale nieublagany sens. Jeśli tkwi gdzieś „wielki błąd”, to raczej w tym, że ciągle tańczymy tak, jak nam zagrają starsi panowie dwaj. Może gdańska scenka uświadomi na zasadzie absurdu wstrząsu, że z dawnych racji tych polityków został tylko popiół animozji, które służą nam dziś za zastępczą oś publicznego sporu? Przesunięta względem biegunów świata, w którym żyje już całkiem dorosła – jak zauważa Jarosław Kuisz w eseju „Koniec pokoleń podległości” – generacja ludzi nieznających, po raz pierwszy nad Wisłą od 230 lat, sytuacji niesuwerenności kraju i całego związanego z tym bagażu traumy.

Choć wedle tej koncepcji ciągle mam głowę ze starej gliny, sam bardziej chciałbym się dziś dowiedzieć, co ci dwaj panowie i ich kolezdy np. w Magdalence jedli, a nie kto kogo uczynił tam ministrem czy szambelanem.

Każdy, kto się historią interesuje, wie, że w podwarszawskiej rządowej willi było pite – i to tego, a ta wódka do dziś służy za poręczne narzędzie stygmatyzacji „zdrady elit”, bo u nas dotąd popijanie alkoholu zamiast być arcyłudzkiem sposobem na ocieplenie atmosfery i skruszenie negocjacyjnych lodów, oznacza tylko haniebne bratanie się z wrogiem. No dobrze, pili. Jednych to cieszy, drugich gorszy – zostawmy to. Ale co jedli? Domyślam się, że jak na anturaz przystało, menu było emanacją luksusu późnej komuny. Jakieś indyki w maładze, galantyny z drobiu, pewnie śledzik, może wędzony węgorz złowiony w Łańsku i dziczyzna z odstrzału dla dewizowych gości w którejś z puszczy.

Czytam właśnie o projekcie rekonstrukcji uczty wieńczącej inny fundamentalny dla Polski – choć niewątpliwie zgniły – kompromis: w Lublinie, roku pańskiego 1569. Kompromis okrągłostołowy, z którego powstała dzisiejsza Polska, nie zakończył się porządnym, oficjalnym bankietem, dlatego tak nurtuje mnie problem odtworzenia tych magdalenkowych zakąsek (ale może i żurek lub bigosik podano?), bo nic lepszego w charakterze „menu otwarcia” III Rzeczpospolita nie miała.

Śpieszmy się notować i zachowywać te drobiazgi, żeby nie było za 500 lat problemów, jakie z lubelską rekonstrukcją miał jeden z jej naukowych konsultantów, profesor Jarosław Duma-

nowski – najlepszy dziś badacz kultury jedzenia i stołu doby staropolskiej.

Z wydanej świeżo książki „Kapłony i szczeżuje” (ten potoczył się, miły w lekturze wywiad rzekę przeprowadziła z nim Magdalena Kasprzyk-Chevriaux) dowiemy się zresztą, dlaczego jałospisy to wcale nie żadne drobiazgi, lecz kluczowe dla samopoznania Polaków treści kultury. Dumanowski słusznie uwalnia namysł nad jedzeniem z więzów marksistowsko naznaczonej „historii kultury materialnej”, która – bazując na źródłach takich jak inwentarze, rachunki, statystyki – interesowała się nim jedynie jako aspektem badań nad gospodarką i przemianami w skali makro. Z tych samych źródeł – w polskim kontekście ograniczonych niestety do wielkich dworów magnackich – oraz książek kucharskich Dumanowski wyciąga tropy pozwalające zrozumieć mentalność elit XVII czy XVIII wieku, ich uwikłanie w obieg europejskiej kultury, ale i swoistość, esencję polskości w czasach świetnych. Jego ucho wyczułone na współczesne mody, w tym na tę najbardziej próżną – szukania „autentyczności” w jedzeniu – sprawia, że książka nie jest katalogiem martwych cymeliów. Przeszłość kultury, tak jak ją Dumanowski od kuchni rozbiera, to nie jest coś na sicher określone, ale raczej konstelacja tradycji i sposobów urządzania się w świecie. I każdy z tej żywej książki może wyciągnąć coś dla siebie, lepiąc własną, skrojoną z dostępnych materii tożsamość Polaka za niepodległym stołem.

© P



Profesor Dumanowski pieczolowicie wydaje i komentuje teksty, z najstarszą zachowaną polską książką kucharską „Compendium ferculorum” z 1682 r. na czele. 99 proc. tych przepisów to dziś łamigłówniki, których nie da się w praktyce wdrożyć. Jajecznicę po staropolsku jest na szczęście wykonalna: „rozbij jajec, wlej masło w rynekę, a usmażywszy, daj z ryneką na stół. Możesz też cebulki młodej, zielonej albo pietruszki drobno ukręcać”.

Uff. Zostawmy karkołomne zadanie wskrzeszania przepisów fascynatom podobnych tym, co się za husarzy przebiegają. Opowiem wam za to, co mnie trzymało dziś przy życiu, gdy pisałem tekst, bo mieszkanie w zabytkowo niedogrzejanej kamienicy zmusiło mnie do podjęcia nowych strategii przetrwania.

Otóż jeśli w domu nie czeka na nas pożywna zupa na rosole ze starej kury, ale zostało gdzieś po kątach parę warzyw, możemy zrobić z nich szybki bulion (**marchew, seler, cebula... pietruszka nie jest konieczna, pieprz, listek laurowy, może tymianek**). Zajmuje to pół godziny. Do tego potem wlewamy sporo **przecieru pomidorowego** – mam nadzieję, że zawsze macie go w spiżarni. Na tym etapie zupa już da się zjeść, ale jest anemiczna. Czymże ją ocucimy? Dajmy czegoś ostrego – na przykład **adżiki** lub **harissy**, tylko tyle żeby ostrość odzywała się dopiero po przełknięciu, nie paliła ust. I teraz mistrzowski sztych: tuż przed podaniem trzymamy **skórkę z cytryny** (sporo, z połówki cytryny na jedną osobę). Doda to tej wegańskiej zupie takiego bigla, że ucieszy też mięsożerców.

PIEPRZ NIE ZWIETRZAŁ

Jest w nim jakaś zaskakująca twardość.
W pozornie kruchym ciele tkwi tytanowy szkielet. Przez nieszczęsną ładną buźkę
musi udowadniać, że nie jest, jak to sam ujął, „budyniem z college’u”.

ROBERT KASPRZYCKI

ROK 2018 ZAPISZE SIĘ W ANNAŁACH POLSKICH fanów złotymi zgłoskami – oto w odstępie zaledwie pół roku pojawiają się u nas członkowie dwóch najważniejszych kapel w historii rocka. Lipcowy koncert Rolling Stonesów na długo zapadnie w pamięci słuchaczy, już 3 grudnia zaś zagra w krakowskiej Tauron Arenie sam Paul McCartney. Nie będzie to pierwsza wizyta „Makki” w Polsce – poprzednio gościliśmy go w 2013 r., jednak jego występy sceniczne to za każdym razem prawdziwe misterium beatlemanii.

No właśnie, spyta złośliwiec, czy do końca prawdziwe? Wszak po klasycznym pytaniu: „Beatlesi czy Stonesi?” pojawia się sakramentalne: „A Beatlesi to raczej John czy Paul?”. Lennon czy McCartney – to jedna z tych bezsensownych kwestii, jakie lubi zadawać człowiek rachujący diabły na końcu szpilki. Bo choć spór między lennonianami a mccartneyanami trwa od lat, a sympozja beatlesologiczne generują kolejne sterty papieru, dla nas, fanów prostych, w centrum zainteresowań pozostaje muzyka – niezmiennie świetna, świeża i inspirująca.

Jej twórca, Paul McCartney, czy dokładniej James Paul McCartney, przyszedł na świat 18 czerwca 1942 r. w Liverpoolu, jako dziecko Mary, położnej w lokalnym Walton Hospital, oraz Jamesa, handlowca w branży tekstylnej. Urodził się ponoć w trakcie bombardowania (port

w Liverpoolu był dla Luftwaffe łakomym kąskiem), co w pewnym sensie tworzyłoby odpowiedni *entourage* dla postaci tej miary.

Niestety, później niewiele znaków wskazywało na tę niezwykłość, wychował się bowiem w liverpoolskich szeregowcach, otaczających stadion F.C. Liverpool (choć rodzina niezmiennie kibicowała Evertonowi), chadzał do szkół, uczył się nieźle i, jak w przypadku większości bohaterów moich gawęd, zapewne wyszedłby na ludzi, gdyby na drodze nie stanęła mu muzyka. Po prawdzie muzyka otaczała go od dzieciństwa – miał w końcu irlandzkie korzenie, a jego ojciec Jim grywał ze słuchu na trąbce i fortepianie w Jimmy Mac’s Jazz Band i pisał własne piosenki. Najwidoczniej Jima nosiło wokół show-biznesu, gdyż udzielał się też jako oświeceniowiec w miejscowych teatrzykach rewiowych, a wedle relacji samego Paula, dom rozbrzmiewał dźwiękami rodem z warieté, radia i tradycyjnych śpiewników.

Wyspa skarbów

Idąc za ojcowską radą: „Naucz się grać na fortepianie, a ludzie zawsze będą cię zapraszali na imprezy”, Paul zaczął grać na trąbce, fortepianie, perkusji, gitarze, i być może skończyłoby się tylko na fазie hobby, gdyż Paul mógł dokonać awansu społecznego pokonując kolejne szczeble edukacji. Jednak nasz bohater trafił na

koncert, po którym historia muzyki pobiegła inaczej. Wszyscy znamy tę opowieść, a legenda Beatlesów, sączona przez media, stała się nie tylko obiektem rozważań z pogranicza socjologii, muzykologii i psychoanalizy, ale i swoistej sakralizacji. Czym innym jest „McCartneya but” w piosence Perfectu, jeśli nie świętą relikwią?

Zaczęło się zatem na festynie dobroczynnym w Woolton, 6 lipca 1957 r., kiedy młody Paul McCartney spotkał nieco starszego Johna Lennona i jego zespół Quarrymen. Zewsząd dobiegał skiffle – brytyjska odpowiedź na amerykańskiego rock and rolla. Do jej grania wystarczała gitara, banjo, tarka do prania i zapal. Fascynacje muzyków Quarrymen bliższe były jednak postaciom takim jak Elvis Presley, Gene Vincent, Fats Domino, Little Richard, Jerry Lee Lewis czy Buddy Holly – to rockandrollowe natchnienie wszystkich okularników. Lennon, przynajmniej bez okularów, wyglądał na tyle groźnie, że ojciec Paula z pewnym wahaniem pozwolił im na robienie prób przy 20 Forthlin Road. Wkrótce do Quarrymen dołączy młodziutki gitarzysta George Harrison, po pewnym zaś czasie kapelę wzmocni przyjaciel Lennona ze szkoły plastycznej – basista Stu Sutcliffe.

→

Paul McCartney podczas koncertu w Miami,
lipiec 2017 r.



→ Prócz fascynacji muzycznych i młodzińskiego buntu, z Lennonem zbliżył McCartneya fakt, iż obaj utracili matki. Mary zmarła na raka piersi, kiedy Paul miał lat 14, a matka Lennona, Julia, zginęła w wypadku samochodowym niemal dokładnie rok po festynie w Woolton. Dość jednak należy, że o ile po śmierci Mary Jim McCartney potrafił zapewnić Paulowi i jego bratu Mike'owi troskliwą opiekę, o tyle John, pozbawiony ojca, wychowywany od dzieciństwa przez siostrę matki Mimi, był w znacznie trudniejszej sytuacji.

Teoretycznie najlepszym gitarzystą był w tej stawce George Harrison, jednak to Lennon i McCartney zajęli się tworzeniem oryginalnego repertuaru. Ze skifflowego Quarrymen zmienili się w Johnny & Moon-dogs, by w końcowej fazie dojść do Long John and The Silver Beatles, jednak nawiązując do powieści Stevensona – zanim zdobyli swą wyspę skarbów, przeżyli nie jedną wyspę. Musieli przepłynąć przez morze, z Liverpoolu do Hamburga, żeby tam, w niemieckich klubach muzycznych, przejść morderczy poligon. Dziesięciogodzinne sety, nocowanie w ponurych norach, tani alkohol, kobiety podejrzanej konduity i kilogramy benzedryny, dzięki której nie chciało się spać ani jeść. Co warto zaznaczyć, do Hamburga jechali już jako The Beatles, mając u boku perkusistę Pete'a Besta. Za jakiś czas, w dość burzliwych okolicznościach, zmieni go Ringo Starr.

Bramy niebios

Kilka sezonów spędzonych w Hamburgu będzie dla nich doskonałą szkołą, stworzą repertuar, staną się zgraną maszyną. Co ważne, spotkają na swej drodze środowisko niemieckich Exis – „egzystencjalistów” – na czele z Astrid Kirchherr, fotografką, która odmieni nie tylko ich wizerunek artystyczny, ale także skradnie im Stu Sutcliffe'a – ten wróci na studia plastyczne, swój bas oddając Paulowi. Nietety krótko po odejściu z zespołu Stu umrze na udar mózgu.

Kluby i speluny, pierwsi fani, energetyczne koncerty w liverpoolskim klubie Cavern, z kiepskim nagłośnieniem i fantastyczną publicznością, pozwolą im okrzepnąć, a tutejszy akcent – *scouse* – stanie się wkrótce symbolem nowej Wielkiej Brytanii, dynamicznej, aroganckiej i ostrej, dekonstruującej hierarchie, przesady i towarzyskie konwenanse. Wcześniej jednak będą musieli spotkać kogoś, kto stanie się

ich latarnią morską i holownikiem na oceanie show-biznesu.

Brian Epstein, 27-letni kierownik pobliskiego sklepu płytowego NEMS, zainteresowany zamówieniem płyty zespołu, którego nie znał, dowiedziawszy się, że można ich obejrzeć na żywo, zjawia się na koncercie i wsiąka. Epstein był zamożnym, ambitnym, nieszczęśliwym, niespełnionym artystycznie gejem – dodajmy, że do 1967 r. homoseksualizm podlegał w Wielkiej Brytanii karze więzienia. Zobaczył w nich gwiazdy: wierząc w nich, wspierając ich i kochając ich. To on otworzył im drzwi do kariery, to on pozwolił światu ich poznać, to on spłonął w ogniu, który rozpełtał.

Mogło się zdawać, że beatlemania wybuchła jak błysk magnezji, jednak Beatlesi długo na nią pracowali: tłukąc swój materiał w mniejszych i większych klubach Liverpoolu czy Hamburga, odbijając się od BBC i Dekki. Dopiero wytwórnia Parlophone, odprysk EMI, w osobie George'a Martina zgodzi się dać im szansę. Zresztą za czas jakiś będzie Martin ich dobrym duchem i, jak mawiają, piątym Beatlesem.

Kwartety i duety

A potem – aż nie chce się wierzyć, że trwało to tak krótko – w kilka lat nagrali płyty, których tytuły poznał świat, w kilka lat przeskoczyli od skocznych dwuminutowych piosenek do imponujących rozbudowanych form. I choć się zdawało, że hamburskie doświadczenia nauczą ich być ponad męskie przepychanki, wszystkie te *territorial pissings*, okazało się, że Lennona już nie interesuje to, co ma. Znużony statusem gwiazdy, graniem koncertów, na których pisk fanek zagłusza muzykę, na których lecące w stronę muzyków żelkowe misie rozmiękczają sens tego grania, szukał inspiracji, a zmęczony rozpadem pierwszego małżeństwa czuł, że powoli traci pozycję lidera. Japońska artystka Yoko Ono była tylko częścią większej układanki, w której chodziło o odnalezienie siebie. Tak jakby lata spędzone w trasie odsunęły bolesny moment samopoznania.

Postępujący rozpad zespołu, szukanie jego przyczyn w działaniach Paula, Johna, w machinacjach sprytnego managera Allena Kleina (przed którym ostrzegali zresztą Beatlesi) prowadzeni przez niego Rolling Stonesi sprawili, że w braterskie więzi wkładły się knowania, w których poczesną rolę zajął wspomniany Klein.

Jak się okazało, żaden z terapeutycznych pomysłów McCartneya, w rodzaju rozszerzenia składu o pianistę Billy'ego Prestona czy gwiazdę folka Donovana, nie przeszedł w głosowaniu. Podobnie odrzucono propozycje zagrania spektakularnych koncertów w Colosseum czy pod piramidami Egiptu. Było już za późno.

Mimo wspólnoty wykutej w hamburskich piwiarniach Paul musiał pójść z nimi na wojnę. Zwycięzcą w tej bratobójczej walce nie będzie jednak nikt poza bandą pazernych prawników i dziennikarzy, dla których każda tego typu potyczka jest jak zraniony lew dla zgrai hien.

Po rozpadzie The Beatles wraz z żoną Lindą McCartney założy zespół Wings. Linda nie była dobrą wokalistką, potrafiła za to sprawić, że Paul czuł się na scenie bezpieczny, akceptowany, mówiąc banalnie: czuł się w swoim żywiole. Ten rodzaj wymiany zresztą został mu do dziś, praca z drugą osobą – Dennym Lainem, Elvise Costello, Padem Maloneyem i pewnie setką innych nazwisk – stanowiła klucz. Wystarczy posłuchać „Ebony and Ivory”, rozkołysanego duetu ze Steviem Wonderem, ciepłego i lekkiego „Say, Say, Say” z Michaeliem Jacksonem czy „Cut Me Some Slack” z Dave'em Grohlem, Kristem Novoselikiem i Patem Smearem (ex-Nirvana), za które w 2014 r. zdobyli Grammy za najlepszą piosenkę rockową – i nie był to jakiś odgrzewany kotlet, tylko pełen zgiełku i wrzasku kafar, mieszczący się w rejonach Led Zeppelin czy White Stripes.

Dość zabawnie brzmi w tym kontekście tak krytykowana u „Makki” umiejętność pisanego na zamówienie. Daj Boże każdemu napisać bondowskie „Live and Let Die”, dzięki któremu rodzina Broccoli otrzymała trzy piosenki w cenie jednej, i którego nawet Guns'n'Roses nie potrafili spartolić. Słodczy „Yesterday” potrafił McCartney zrównoważyć przejmującym „Maybe I'm Amazed” czy energetycznymi „Jet” i „Band On The Run”. I co prawda to Lennon zdobył opinię eksperymentatora i rewelatora dzięki „I Am the Walrus” i „Revolution 9”, Harrison zaś umiejętnie łączył elementy Wschodu i Zachodu, ale to najodważniejsze dzieło Paula, „Carnival of Light” z 1967 r., zamówione przez hipisowski klub Roundhouse na jedną z wcześniejszych imprez rave – jak mówi McCartney: najdłuższe improwizowane, psychodeliczne i szalone nagranie – nie zostało nigdy wydane.

Ani budyń, ani pudel

Żeby nie było aż tak poważnie i okołomuzycznie – jest Sir Paul bohaterem miejskiej legendy: oto prawdziwy Beatles zginął w 1966 r. i został zastąpiony przez sobowtóra, kanadyjskiego policjanta Williama Campbella. Ba, wielbicieli tej teorii potrafią znaleźć dziesiątki, jeśli nie setki argumentów i dowodów – na okładkach płyt, w teledyskach i w nagraniach, ze wskazaniem wersji puszczanej od tyłu.

Swoją drogą należy uznać, iż wzmiankowany Campbell musi być wyjątkowo zdolną bestią, skoro singiel z piosenką „Mull of Kintyre” z roku 1975 sprzedał się w nakładzie ponad 2 mln egzemplarzy, czyli wyższym niż wcześniejsze single Beatlesów, a na poziom wokalny kanadyjskiego policjanta nie skarżyli się ani Stevie Wonder, ani Michael Jackson. Ba, plotka podtrzymywana jest przez szereg publikacji nie tylko prasowych i książkowych, ale także przez film stworzony na podstawie domniemanego testamentu George’a Harrisona, który na taśmie zdradza, iż McCartney miał zginąć w wypadku samochodowym w listopadzie 1966 r., a brytyjskie służby rzecz zataiły w obawie przed epidemią samobójstw wśród fanów. Aż strach pomyśleć – boli jak cios w szczepionkę.

W kontekście wzmiankowanego filmu i ostatniej popularności „Bohemian Rhapsody” nieco dziwi nieobecność wątku Beatlesów na srebrnym ekranie. Poza „Backbeat”, skupionym na postaci basisty Stu Sutcliffe’a, i „Chłopcem znikąd”, poświęconym młodemu Lennonowi, nie ma praktycznie żadnego filmu, który przyrzalby się fenomenowi zespołu. W sumie może to i dobrze, bo jak atrakcyjnie pokazać, że „Let It Be” się McCartneyowi po prostu przysniło?

Z drugiej strony być może pewnym tropem fabularnym byłby filmik, na którym widzimy wspomnianego wcześniej Dave’a Grohla, który nastukany jak telegrafista siedzi w studiu i wymachując flaszką, bełkocze z pijackim żalem, że grał kiedyś w Nirvanie, najważniejszej kapeli lat 90. Nie wiemy, do kogo mówi, nie wiemy, czy to ustawka, wiemy jednak, że już wkrótce odłoży flaszkę, wstanie i założy Foo Fighters, zespół może nie tak znany jak Nirvana, ale żywy, energetyczny, charyzmatyczny. I wbrew pozorom wszystkim jest tutaj bliskie – McCartney po rozwiązaniu zespołu udał się do swej szkockiej posiadłości i trudno zało-

McCartney od zarania jest wzorem dla muzyków na całym świecie, i nie mówimy tu tylko o fakcie, że **„Yesterday” to podobno najczęściej „coverowany” utwór świata**, że w samych Stanach wyemitowano go 7 mln razy, i że trudno nawet policzyć wersje „Eleanor Rigby”.

żyć, że przez dwa tygodnie liczył tam łącznie owce.

Bo jest w nim jakaś zaskakująca twarłość – w pozornie kruchym ciele tkwi jakiś tytanowy szkielet, który sprawia, że choć musi przez tę nieszczęsną ładną buźkę udawać, że nie jest, jak to ujął, „budyniem z college’u” czy chcącym wszystkich zadowolić emocjonalnym pudlem (to z kolei określenie Lennona), to zawsze wstaje, otrzepuje się i idzie dalej, wciąż będąc człowiekiem niesamowicie kreatywnym, pracowitym, dowcipnym i mającym do siebie dystans.

Nawet trudno sobie wyobrazić tę falę hejtu, która zalała go po rozpadzie Beatlesów i wytoczeniu im procesu. Jak się zdaje, ogromnym ciosem była dla niego śmierć żony Lindy, i dzieje małżeństwa z Heather Mills, modelką realizującą stereotyp pazernej celebrytki. Choć bywa mistrzem PR, nie jest jednak żadnym makiawelicznym graczem, *vide* jego reakcja na śmierć Lennona (w rozmowie z dziennikarzem McCartney posłużył się frazą „ale obsuwa, co nie?”) czy ostatni list do Pawła Kukiza.

McCartney od zarania jest wzorem dla muzyków na całym świecie, i nie mówimy tu tylko o fakcie, że „Yesterday” to podobno najczęściej „coverowany” utwór świata, że w samych Stanach wyemitowano go 7 mln razy, że trudno nawet policzyć wersje „Eleanor Rigby” proponowane przez Arethę Franklin i Raya Charlesa, że Hendrix, dwa dni po wydaniu albumu „Orkiestra Klubu Samotnych Serc Sierżanta Pieprza”, zdołał nauczyć piosenki tytułowej i rozpocząć nią własny koncert. Wszak i na naszym

poletku uwielbienie dla McCartneya deklarują takie postaci jak Tymon Tymański, Artur Rojek czy Grzegorz Turnau, który na swym najnowszym albumie „Bedford school” zamieścił pięć piosenek niemal w całości stworzonych przez McCartneya. Zresztą jak ocenić ten zdumiewający dorobek, pochodzący jakby spod kilku różnych rąk – te genialnie zharmonizowane ballady („Here There And Everywhere”, „Blackbird”, „Yesterday”), flirty z klasyką („She’s Leaving Home”, „Eleanor Rigby”), nawiązania do estetyki variété („When I’m 64”, „Honey Pie”), brzmień zgoła metalowych („Helter Skelter”), rock and rolla („I Saw Her”, „Get Back”) i rocka („Sgt. Pepper’s Lonely Hearts Club Band”) – całą tę niesłychaną lekkość, śpiewność, i to wszystko wymyślone przez człowieka, który, o *horribile dictu*, nie zna nut.

I może nie jest to już ten sam chłopięcy głos, z jednakową swobodą śpiewający fantastyczne zestroje harmoniczne, delikatne ballady czy wrzaskiem marcowego kocura zdzierający nam skalp z głowy, niemniej barwa ta nabrała jakiejś bluesowej prawdy, mądrości, mięsa. Sam artysta ujmuje nas nie tylko sceniczną mocą, ale i pozasceniczną nieśmiałością, jakby wiedział, że choć nadal tkwi w nim ów „budyn z college’u”, to z gitarą w ręku stać się może prawdziwym zwierzęciem koncertowym, które z iskier bijących od widowni potrafi wykrzesać prawdziwie oczyszczający ogień.

Jak w „Hey Jude”, napisanym na pocieszenie dla Juliana, syna Johna Lennona z małżeństwa z jego pierwszą żoną Cynthią. Kiedy tłum zaczyna śpiewać zakończenie „Hey Jude” – tych trzynastu dźwięków sprawiających, że czujesz na grzbiecie elektryczne smagnięcie i sam nie wiedząc kiedy zaczynasz nucić: „na na na na na na / na na na na / Hey Jude” – nie trzeba ci nic więcej.

© ROBERT KASPRZYCKI



ROBERT KASPRZYCKI

będzie gościem Nuli

Stankiewicz w śróde

28 listopada o godzinie 7.30 w Polskim Radiu

RDC. Audycję można także odsłuchać

w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

Teatr jest gdzie indziej

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Przyznanie Janowi Klacie Europejskiej Nagrody Teatralnej to najlepszy dowód, że najwyższy czas przestać opowiadać anegdotki o barbarzyńcy z irokezem.

SRODOWISKOWA AGENCJA SZEPTANYCH informacji ogłasza, że bezsensowne i szkodliwe nie tylko dla Starego Teatru, ale i dla obecnego Ministerstwa Kultury pozbawienie Jana Klaty dyrektury sceny przy ulicy Jagiellońskiej było inicjatywą krakowskiego saloniku mającego swoje dojścia do najwyższych ministerialnych uszu. Chętnie wierzę. Taki Kraków nigdy nie rozumiał i nie miał ochoty rozumieć teatru Klaty, co też i nie dziwi, bo to teatr radykalnie antysalonikowy, przypominający, co chwila, że intelektualne elity żyją w fikcji, której obraz próbują narzucić na rzeczywistość, obrażając się na to, że nie chce się pod nim zmieścić.

Salonik się obruszył, uszko wysłuchało, Kłata dyrekturę stracił, a Stary Teatr wrócił tam, gdzie być lubi – na salonikową kanapę. Może za wcześniej jeszcze na takie oceny, ale wydaje mi się, że wydarzenia sprzed półtora roku będą kiedyś uznane za przełomowe, a ich aktorzy zostaną przez jakiegoś pedantycznego historyka rozliczeni imiennie i skrupulatnie. Co oczywiście nie naprawi szkód wyrządzonych polskiemu teatrowi i kulturze, ale przynajmniej rozdzieli sprawiedliwie zasługi. Pochwaleni niech będą biblioteczni poszukiwacze.

Tymczasem w sobotę 18 listopada Jan Kłata, jako jeden z sześciu tegorocznych laureatów, odebrał w Teatrze Aleksandryjskim w Petersburgu Europejską Nagrodę Teatralną w kategorii „Nowe Rzeczywistości”. Wcześniej Premio Europa di Teatro otrzymali spośród Polaków Krystian Lupa (nagroda za całokształt twórczości) i Krzysztof Warlikowski (w tej samej kategorii, co Kłata). Prestiżowe wyróżnienie, oznaczające zaliczenie do elity europejskich reżyserów, przyznawane przez grupę prawdziwych teatralnych wyjadaczy, to oczywiście powód do dumy i gratulacji, ale – składając je reżyserowi – chciałbym potraktować Premio Europa

jako sygnał, że najwyższy czas skończyć z umieszczaniem Jana Klaty w kategorii najeźdźców definiowanych przez to, że bezpardonowo atakują establishment i wywołują oburzenie w pocziwych rewirach Krakowa. Pewien profesor filozofii kiedyś zupełnie serio spytał mnie: „Jak to możliwe, że dyrektorem narodowego teatru jest facet z irokezem?”.

Wnuczek Konrada

Jan Kłata jest teatralnym wnukiem Konrada Swinarskiego. Mniej skrótkowo rzecz ujmując: były dyrektor sceny przy Jagiellońskiej to jeden z najwyrazistszych kontynuatorów teatru inscenizatorów, którego stolicą był w latach 70. ubiegłego wieku Kraków. Najważniejszym, choć dziś fałszywie ucukrowanym jego przedstawicielem był właśnie Konrad Swinarski.

Kłata nie mógł bezpośrednio widzieć żadnego z jego przedstawień. Nie sądzę też, by specjalnie interesował się jego twórczością, czerpał z niej świadome inspiracje. Chodzi raczej o podobną postawę, daleką od współczesnych poszukiwań bardziej demokratycznych i emancypacyjnych praktyk artystycznych i instytucjonalnych, co w oczach ich zwolenniczek i zwolenników umieszcza Klatę na pozycji dość tradycyjnej, jeśli nie wręcz konserwatywnej.

Reżyser nie ukrywa, że w swojej pracy zachowuje władzę autorską, słuchając i będąc otwartym na propozycje współpracowników, ale też rezerwując dla siebie prawo do podejmowania ostatecznych decyzji. I ponoszenia za nie odpowiedzialności. W rozmowie, którą odbyliśmy przed kilku laty jeszcze w gabinecie dyrektorskim przy Jagiellońskiej, a która opublikowana została w pierwszym numerze „Polish Theatre Journal”, ten wątek powracał wielokrotnie: „kto ponosi odpowiedzialność, musi podejmować decyzje”,

„tyle władzy, ile odpowiedzialności – i odwrotnie”.

Taka postawa stanowi fundament teatru inscenizatora rozumianego jako ten, kto wybiera, komponuje i w przemyślany sposób montuje całość przedstawienia, korzystając z pomysłów swoich i cudzych. Ale nie tylko. Bo teatr inscenizatora to teatr odwołujący się do bardzo konkretnego materiału, najczęściej literackiego, który w wyrazisty, autorski sposób interpretuje i przetwarza w wypowiedzi sceniczne, opatrzone silną, własną sygnaturą.

Czterdzieści lat temu taki właśnie teatr, przeznaczony w zasadzie dla inteligencji, „ludzi nawykłych do czytania książek”, królował na scenach polskich. Jego krakowska wersja o tyle różniła się od innych, że sygnatura autorska bywała tu bardzo mocna, wręcz agresywna. Dziś już się tego zazwyczaj nie pamięta, ale to właśnie przedstawienia Konrada Swinarskiego, zarówno szekspirowskie, jak i romantyczne, atakowały bezpardonowo zbiorowe wyobrażenia i przekonania, kwestionując utarte wierzenia i podniosłe schematy. Teatr Swinarskiego, przy całej swojej złożoności i obfitym zapleczu intelektualnym, wywierał najsilniejsze wrażenie i pamiętany jest z wyrazistych, mocnych pomysłów (demontaż oka Opatrzności w „Nie-Boskiej”, chłopci jedzący jaja w „Dziadach”). Jeśli do tego dodać jeszcze oczywiste inspiracje i związki niemieckie, to okaże się nagle, że Klatę łączy ze Swinarskim o wiele więcej, niż mogłoby się na pozór wydawać...

Mocne brzmienia uczzonej sieci

Podobnie jak Swinarski przed laty, Jan Kłata tworzy teatr mocny, czyli oparty na wyrazistej interpretacji lub koncepcji, czasem wręcz na koncepcie. Mówiąc półżartem, przedstawienia Klaty powinni lubić specjaliści od PR-u, bo w jednej frazie można zawrzeć ich zasadniczy pomysł, wskazać najważniejsze przejawy oryginalności reżyserskiej propozycji.

Hamlet w opuszczonej i zdegradowanej Stoczni Gdańskiej, bohaterowie „Trylogii” w schronisku czy w szpitalu, Lear w Watykanie – to tylko najbardziej oczywiste przykłady. Moc pomysłów pracuje przy tym na wielu poziomach, nie tylko całości przedstawień, ale także pojedynczych, lecz zarazem jakoś emblematycznych, zapadających w pamięć scen (Apollo-Robbie Williams w finale „Orestei”, „Marsylianka” grana na piłach mechanicznych w „Spra-



Na próbie „Trojanek” Eurypidesa, Teatr Wybrzeże, Gdańsk, 5 września 2018 r.

wie Dantona”) czy postaci (moja ulubiona – Tadeusz Kościuszko jako Indianin w przeoczonych, ale znakomitych „Termopilach polskich”). Te pomysły wspólnie tworzą sieć inscenizacji, a nawet jej tekst. Bo jeśli jako inscenizator Kłata tworzy środkami teatralnymi określony komunikat, to jest dla niego charakterystyczne, że tka go z gęstej sieci wcale niełatwych nawiązań wymagających sporej wiedzy.

No bo teatr Kłaty jest uczony, erudytyjny, porusza się na dodatek równie swobodnie w tak zwanej kulturze wysokiej, jak i w tych sferach, które są z niej wykluczone. To właśnie sprawia tak wiele problemów i wywołuje tak znaczne nieporozumienia. Do teatru wciąż (a może nawet zwłaszcza?) chodzi się wszak i po to, by podnieść samoocenę kulturowego kapitału i odróżnić się od „konsumentów” disco polo, paradokumentalnych seriali i strzelanek wideo. Bardzo często nie dostrzega się przy tym, nie zna i nie rozumie ogromnego bogactwa kultury popularnej, które stanowi niezwykle rozległe zaplecze kulturowe i intelektualne teatru Kłaty.

Koneserzy najczęściej okazują się wobec niego ignorantami, bo rzadko odróż-

niają Radiohead od Talking Heads. Tę swoją niewiedzę niejako przerzucają na reżysera, oskarżając go, że spłaszcza swoje przedstawienia, zgniatając je „kulturą masową”. Tymczasem teatr Kłaty wcale nie wydaje mi się mniej „uczony” niż na przykład teatr Jerzego Grzegorzewskiego. Tyle tylko, że ten pierwszy chodził też i do takich szkół, o których ten drugi nigdy nie słyszał, dzięki czemu jego teatralne kompozycje utkane są z wielu różnorodnych nici, przyjmując często formę kulturowych patchworków.

DJ Kłata

Co powiedziano wyżej, odnosi się w szczególności do muzyki, czy też raczej – ścieżek dźwiękowych, które artysta tworzy na potrzeby kolejnych przedstawień. Już ładnych kilka lat temu Anna R. Burzyńska ukuła zręczną nazwę DJ Kłata, dostrzegając w układanych do każdego z przedstawień „setlistach” przemyślany środek twórczy.

To rzeczywiście jedna z najistotniejszych cech warsztatu reżysera: muzyka pozwala na zrównoważenie tego, co tekstowe, budowane na drodze interpreta-

cji. Od dawna wiadomo, że myślenie o kolejnym przedstawieniu reżyser zaczyna od słuchania muzyki i budowania jej zestawu tworzącego już nie tekst (choć i takie, tekstowe, wykorzystanie utworów muzycznych się zdarza), ale rodzaj afektywnego ciągu, atakującego zmysły i emocje.

Gdy na początku „H.” rozbrzmiewa „Seven Nations Army”, jego siła i znaczenie w kompozycji przedstawienia wynika z właściwego temu utworowi wstrzymywania napięcia, które jednocześnie ta sama muzyka buduje i wzmacnia. Powiedzieć, że w tej muzyce coś się zbliża i czai do skoku, to sprowadzić na poziom tanich metafor pewien proces doświadczany błyskawicznie wraz z pierwszym riffem. Takie momentalne uruchamianie organicznych procesów dzięki muzyce to jedna z najsilniejszych broni teatru Kłaty. Jej skuteczność nie zależy od tego, po jaką muzykę sięga. Wystarczy porównać finały „Utworu o matce i ojczyźnie” z kulinacyjną sceną „Wielkiego Fryderyka”, by zobaczyć, że DJ Kłata potrafi skomponować wokół muzyki znakomite sceny teatralne, niezależnie od tego, czy brzmi →

→ mu w uszach Boney M, czy Henryk Mikołaj Górecki.

Klata powiedział kiedyś, że „mojego teatru nie zrozumie, kto nie słuchał Joy Division na pirackiej kasie”. Ta fraza zawiera całkiem poważne wskazówki, z których ta najbardziej wyrazista dotyczy słuchania muzyki w określonej sytuacji – w czasach dzikiej transformacji, na marnej jakości nośniku, ale za to z zaangażowaniem i współbrzmieniem z rzeczywistością, jakiego chyba depresyjna postpunkowa muzyka Iana Curtisa i kolegów nigdy już potem w Polsce nie miała. Niezależnie od swojej ogromnej wiedzy muzycznej, Klata używa muzyki popularnej właśnie jako narzędzia budzenia niejasnych wspomnień, przywoływania rozrzedzonych przez czas atmosfer, które miksuje z sytuacjami i obrazami teatralnymi, osiagając w najlepszych przedstawieniach prawdziwe wyżyny, na których tego, co teatralne, nie da się przełożyć na nic innego i nijak inaczej opowiedzieć.

W Polsce – nigdzie

O jego „polityczności”, potyczkach z polskością, krytycznym stosunku do mniej lub bardziej aktualnych stanów sytuacji mówiono już wiele razy. Etykieta artysty prowokującego, zaangażowanego politycznie i społecznie, która przylgnęła do Klaty dość wcześnie, sprawia, że niektóre z jego przedstawień wywołują poważne nieporozumienia albo rozczarowanie.

Bodaj najgłośniejszym *qui pro quo* była afera wokół wystawienia „Do Damaszku”, której absurdalny idiotyzm byłby nawet zabawny, gdyby nie jej groźne w dłuższej

Myślenie o kolejnym przedstawieniu **Klata zaczyna od słuchania muzyki** i budowania jej zestawu, który podczas spektaklu będzie atakował nasze zmysły i emocje.

perspektywie skutki. Komiczna dla stronniych obserwatorów awantura na widowni Starego Teatru odsłoniła jednak fundamentalną niezborność między żywioną przez wcale niemałą część publiczności i ministerialne władze fantazją o teatrze a współczesnymi praktykami i językami scenicznymi.

W dotychczasowym dorobku Klaty jest całkiem sporo przedstawień, które uznane zostały za porażki, w jakiejś mierze dlatego właśnie, że zrobił je reżyser, od którego – mniej lub bardziej świadomie – oczekuje się politycznej brutalności i jednoznacznego zaatakowania wspólnotowych wyobrażeń. Takim niezwykle interesującym przypadkiem był dyptyk „królewski” ze Starego Teatru, łączący Ubu Alfreda Jarry’ego i szekspirowskiego Leara. Zrealizowane w odstępie dwóch miesięcy przedstawienia, o wyrażeniu odmiennej estetyce, zdecydowanie nie mieściły się

w oczekiwaniach (także wzbudzanych przez PR-owe zapowiedzi).

Ani „Ubu król” nie był satyrą na Polskę, ani „Król Lear” nie był atakiem na pamięć o Janie Pawle II. Oba przedstawienia nie miały dobrej prasy i nie zyskały popularności, być może dlatego, że dla części publiczności były zbyt złożone, podczas gdy dla innej – już z założenia „barbarzyńskie”, więc niewarte namysłu. W efekcie bodaj nikt nie przyjrzał się im z uwagą i nie zastanowił nad tym, co znaczy rozgrywanie przejmującego dramatu starego i chorego władcy będącego echem polskiego papieża w zestawieniu z tragikomedią groteskowych prostaków, których historia przeraża i miażdży. Nawet tak oczywista opozycja między październikiem i glamour, jaką w swoich scenografiach proponowała Justyna Łagowska, nie została chyba uważnie skomentowana.

Wspominam o tym, bo mam nieustannie wrażenie, że między polską publicznością, także (a może przede wszystkim) tą, która entuzjastycznie oklaskuje jego „Wesele”, a Janem Klatą jest jakieś fundamentalne nieporozumienie. Bo gdybym miał uczciwie wskazać, co sprawia, że teatr Klaty budzi moje autentyczne zainteresowanie, to powiedziałbym, że to, iż zawsze jest gdzieś indziej. Ani na prawicy, ani na lewicy, ani nawet w centrum, ale zawsze w miejscu własnym, ustanawianym niezależnie od mód, intelektualnych presji i poprawności. Aż strach użyć tego słowa wymalowywanego nawet na dziobach pociągów i samolotów, ale może właśnie tu użyć go trzeba – teatr Jana Klaty to scena niepodległa. © DARIUSZ KOŚCIŃSKI

TP

Kluby „TP” zapraszają

GDĄŃSK

czwartek, 29 listopada, godz. 18.00

Spotkanie „Czy Kościół papieża Franciszka jest, czy go nie ma?”. Gościem będzie o. Wacław Oszejka.
Miejsce: Ratusz Starego Miasta (ul. Korzenna 33/35).

POZNAŃ

Środa, 28 listopada, godz. 19.00

Spotkanie „Jan Paweł II i Tischner o Kościele, wolności i grzechu”. Gośćmi będą Wojciech Bonowicz i ks. prof. Alfred Wierzbicki.

Miejsce: Restauracja Pod Niebieniem (Stary Rynek 64/65).

Poniedziałek, 3 grudnia, godz. 19.00

Kawiarenka „Judaizm w nauczaniu Kościoła katolickiego”. Gościem będzie ks. prof. Waldemar Szczerbiński. Miejsce spotkania zostanie podane na stronie: klubtygodnika.pl/poznan.

Czwartek, 6 grudnia, godz. 18.00

Rozmowa o opowiadaniu Kornela Filipowicza „Gdy przychodzą we śnie”. Gościem będzie Justyna Sobolewska.
Miejsce: sala 82 Biblioteki Uniwersyteckiej (ul. Ratajczaka 38/40).

WARSZAWA

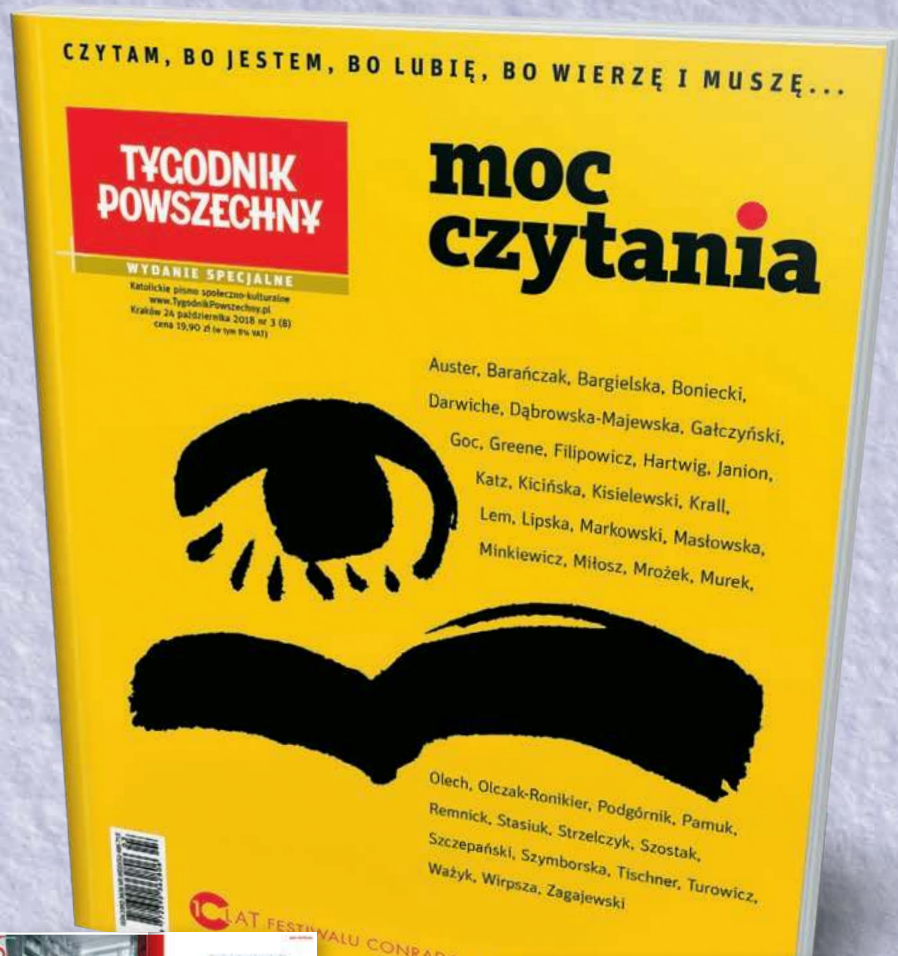
czwartek, 6 grudnia, godz. 18.00

Spotkanie „Kościół przyszłości, wizja niezrealizowana – stracone dziedzictwo abp. Józefa Życińskiego i papieża Jana Pawła II”. Gośćmi będą Aleksandra Klich i ks. prof. Alfred Wierzbicki. Miejsce: sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro).

ZIELONA GÓRA

wtorek, 4 grudnia, godz. 18.00

Promocja książki Józefa Puciłowskiego OP „Alfabet. Rozmawia Ryszard Bongowski”. Gościem będzie o. Józef Puciłowski.
Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).



Najlepsze teksty o czytaniu i do czytania

Auster, Barańczak, Bargielska, Boniecki, Greene, Filipowicz, Janion, Kisielewski, Krall, Lem, Lipska, Markowski, Masłowska, Miłosz, Mrozek, Murek, Olczak-Ronikier, Olech, Pamuk, Stasiuk, Szczepański, Szostak, Szymborska, Tischner, Turowicz, Zagajewski i inni w towarzystwie grafik Czerniawskiego, Januszewskiego, Minkiewicza i Wasilewskiego

Potrzebujesz więcej powodów? Weź, czytaj!

„Moc czytania”

już w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą
oraz w e-wydaniu na powszech.net/mocczytania

W świecie zamarzniętych dźwięków

DOROTA KOZIŃSKA

Tradycja śpiewania nowych tekstów na stare, oswojone melodie sięga co najmniej średniowiecza. W Polsce rozkwita, ilekroć wokół robi się zimno, szaro i beznadziejnie. Dowodem gwałtowny wysyp wierszowanych kontrafaktur w latach stanu wojennego.

PRZEKŁAD STANISŁAWA BARAŃCZAKA „Podróży zimowej”, klasycznego cyklu pieśni ze słowami Wilhelma Müllera, towarzyszy nam już niemal ćwierć wieku. A jednak co rusz popada w zapomnienie. Chyba tylko polską skłonnością do chowania się za barierą wyparcia i niepamięci da się wytłumaczyć zamieszanie towarzyszące jednemu z koncertów tegorocznego Festiwalu Chopin i jego Europa, kiedy to pełny cykl poetycki do muzyki Franza Schuberta zabrzmiał w wykonaniu Tomasa Koniecznego – opromienionego niedawnym sukcesem w Bayreuth – i towarzyszącego mu przy fortepianie Lecha Napierały. Wieczór anonsovano jako wykonanie „słynnego cyklu pieśni (...) z nieznanymi dotąd znakomitymi tekstami Stanisława Barańczaka”.

Podniosły się pierwsze nieśmiałe głosy protestu. Przecież wkrótce po publikacji kilka wierszy z tomiku wprowadzili na sale koncertowe baryton Jerzy Artysz i pianistka Katarzyna Jankowska. Nagrali je na płytę kolportowaną z nieistniejącym już magazynem „Studio”. O muzyczności tej poezji Artysz wypowiadał się pospołu z Michałem Bristigerem, Janem Kottem, Janem Marią Kłoczowskim i Antonim Liberą – w 1995 r., na łamach „Zeszytów Literackich”. Padły argumenty, że Artysz „umuzyczył” tylko część cyklu. Owszem, ale w 2011 r. dano całość w Operze Krakowskiej, z Andrzejem Biegunem, w inscenizacji Józefa Opalskiego. Mniej więcej w tym samym czasie za „Podróż zimową” zabrał się Maciej Kaczka, krakowski *slamer*, *birdwatcher*, „naczelný stawiacz piwa” i utrapienie Adama Wajraka, któremu dzień w dzień bombarduje stronę na FB prowokacyjnymi komentarzami.

Padł argument nie do odparcia: że Konieczny i Napierała po raz pierwszy zarejestrowali całość na płycie. Recital wzbudził lawinę zachwytów i pojedyncze, za to

bardzo ostre opinie krytyczne. Słuchanie cyklu z płyty przebiega w mniej gorącej atmosferze, ale wciąż jest o czym dyskutować. Oto mój głos w sprawie – może nas uchroni przed kolejnym napadem zbiorowej amnezji. Było tak...

Kubek w kubek

Najtrudniejszy moment w dniu redaktora przypada tuż po północy. Oczy się kleją, umysł przygasa, ciało walczy z nieodpartą pokusą ułożenia się na wznak i dotrwania świtu w ciepłych piernatach. Nic z tego. Trzy lata temu rytm naszych sesji wyznaczali recenzenci wieczornych przesłuchań Konkursu im. Fryderyka Chopina. W okolicach godziny duchów spływały pierwsze relacje, wkrótce potem słałyśmy wszystkie materiały do Krakowa i czekaliśmy na angielskie tłumaczenie. Kierowany przeze mnie zespół „Gońca Chopinowskiego” za-



bijał czas słuchaniem archiwaliów, kolorowaniem obrazków w książeczkach dla zestresowanych dorosłych i całkiem czynnym robieniem muzyki.

Mniej więcej w połowie drugiego etapu postanowiliśmy zabrać się za „Podróż zimową” Schuberta. Zaczęliśmy od finałowego „Lirnika”, pieśni o tajemniczym starcu, którego nikt nie słucha – muzycznej figury rozpacz i niepewności kompozytora.

Nie mieliśmy śmiałości tknąć klawiatur żadnego ze zgromadzonych w zbiorach Narodowego Instytutu im. Fryderyka Chopina fortepianów: kolega znalazł opracowanie legendarnego cyklu na głos z gitarą, przyniósł też nuty ostatniej pieśni z tekstem Stanisława Barańczaka. Głos płałał mi figle, więc musieliśmy przetransponować utwór do innej tonacji – z braku przyrządu zwanego kapodastrem zdecy-

dowaliśmy się skrócić menzurę strun przy użyciu ołówka i gumki do włosów. I wcale nie na tym skończyły się nasze problemy. Nagle się okazało, że sugestywne skądinąd słowa: „Stojąc przed witryną, w jej lustrzanym tle, widzę kątem oka kubek w kubek mnie” – wcale się łatwo nie śpiewają. Bo w pierwszym wersie „*Drüben hinter'm Dorfe steht ein Leiermann, und mit starren Fingern dreht er was er kann*” z oryginalnej wersji Wilhelma Müllera jest sześć razy więcej samogłosek otwartych. Bo u Schuberta w dalszym toku utworu są prawdziwe refreny, w których nie trzeba zmieniać tekstu. Wreszcie – co chyba najistotniejsze dla ludzi obeznanych z Schubertowskim cyklem – z „Der Leiermann” wyłania się całkiem inny obraz i całkiem inna konkluzja całości niż z „Pieśni XXIV” Barańczaka.

A mimo to śpiewaliśmy i graliśmy, próbując dopasować melodię polskich słów do znajomej melodii Schuberta: choć Barańczak przestrzegał, że jego „Podróż zimowa” jest zbiorem utworów oryginalnych, których – poza dość luźnym przekładem „Der Lindenbaum” – nie należy traktować jako tłumaczeń wierszy Müllera. Przestrzegał, ale w głębi duszy miał nadzieję, że muzycy i tak się za nie wezmą.

Co wolno tłumaczowi

Tradycja śpiewania nowych tekstów na stare, oswojone melodie sięga co najmniej średniowiecza. W Polsce rozkwita, ilekroć wokół robi się zimno, szaro i beznadziejnie. Dowodem gwałtowny wysyp wierszowanych kontrafaktów w latach stanu wojennego. Cykl Barańczaka, opublikowany po raz pierwszy w 1994 r., był poetycką kontrafakturą erudyty-emigranta, rozsluchanego w muzyce Bacha, Mozarta i Schuberta. Powstawał długo, w czasach, kiedy zatrzaśniętym w ojczyźnie Polakom nie śniło się jeszcze o podróżach bez wiz, ogólnodostępnych kursach językowych i czytaniu literatury w oryginale. Praktycznie cały kanon operowy i sporą część repertuaru pieśniowego serwowano nam wtedy w przekładach – rozmaitej jakości, na tyle jednak dobitnie przemawiających do zbiorowej wyobraźni, by „rączka taka zimna” i „cygańskie dziecię” do dziś wywoływały żywsze skojarzenia niż „*enfant de bohème*” albo „*gelida manina*”.

Jestem spóźnionym dzieckiem pokolenia Barańczaka; doskonale rozumiem nieprzepadłą potrzebę tłumaczenia librett i obcych słów pieśni, doceniam też

jego pokusę adaptacji. Nie mam wątpliwości, podobnie jak nie miał ich Barańczak, że potencjał dramaturgiczny jest niezbywalnym elementem muzyki wokalo-instrumentalnej. Nie lamentowałam, w przeciwieństwie do wielu polskich wagnerzystów, kiedy Opera Śląska w 2001 r. wystawiła „Tannhäusera” w odkurzoną przekładzie Mirosława Łebkowskiego, genialnego tekściarza, który zarabiał na życie pisanie piosenek dla Violetty Villas i Tercetu Egzotycznego, a w wolnych chwilach tłumaczył libretta oper Wagnera, Verdiego i Ryszarda Straussa. Łebkowski nie był wielkim poetą, ale na teatrze muzycznym znał się jak mało kto: jego „Tannhäuser” jest zgrabny, śpiewny i zadziwiająco wierny literze oryginału.

Barańczak był poetą wybitnym i prawdziwym melomanem – z tym większą radością przyjął inicjatywę Teatru Wielkiego w Poznaniu, który w 1995 r. zainscenizował Mozartowskie „Wesele Figara” w jego przekładzie. Tym razem Barańczak nie odzegał się od libretta i nie przestrzegł, że słuchacze będą mieli do czynienia z utworem oryginalnym. Nazwał jednak swoje tłumaczenie „wersją polską”. Dlaczego?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba wrócić do lektury jego książki „Ocalone w tłumaczeniu”, zwłaszcza zaś do eseju „Mały, lecz maksymalistyczny manifest translatologiczny”. Barańczak odwołuje się w nim do pojęcia dominanty semantycznej utworu; odrzuca skompromitowany jego zdaniem podział na „treść” i „formę”, postulując w zamian „ogólne pojęcie znaczenia rozumianego jako pełnia semantycznego potencjału zawierająca się zarówno w bezpośrednio dostępnych lekturze słowach i zdaniach, jak i w poetyckiej organizacji wypowiedzi”. Zgodnie z Barańczakową definicją chodzi o prymat „określonego elementu struktury utworu, który stanowi mniej lub bardziej dostrzegalny klucz do całokształtu jego sensów”. Ujmując rzecz prościej, to ten element, bez którego utwór się nie obejdzie, jego niezbywalna i niczym niezastąpiona dusza – na przykład rodzaj i układ rymów, liczba sylab w wierszu, zastosowany przez autora środek stylistyczny.

W kontekście sztuki przekładu tu zachynają się schody. Czy tłumacz ma prawo arbitralnie wyodrębnić dominantę utworu? Czy może zachować schemat wersyfikacyjny wiersza, za to pominąć ➔



→ wszystkie zawarte w nim aliteracje? Odać treść językiem współczesnym, lekceważąc kontekst społeczny powstania dzieła? Gdzie kończy się przekład, gdzie zaczyna adaptacja, od którego momentu można już mówić o utworze oryginalnym? Wbrew pozorom to ważne pytania i w dużej mierze odnoszą się do całego dorobku Barańczaka jako tłumacza. Znowu podrzuć anegdotę z własnego podwórka: zlecono mi kiedyś przekład pewnej książki popularnonaukowej z dziedziny teorii literatury, obficie ilustrowanej fragmentami poezji. Niestety, redaktor wydawnictwa miał odgórny nakaz zastępowania wszystkich oryginałów istniejącymi tłumaczeniami Barańczaka. Skutek? Autor wyjaśnia, na czym polega aliteracja, w przykładzie ani śladu aliteracji; paragraf o szyku przestawnym zilustrowany wierszem, w którym próżno doszukać się jakiegokolwiek inwersji. Redaktor nie dał się przekonać, skończyło się wycofaniem mojego nazwiska ze strony tytułowej. Baty od recenzentów zebrał... autor, zganiony między innymi za nieumiejętny dobór przykładów poetyckich.

Kineskopu czarny lej

Barańczak był przede wszystkim poetą i dostrzegał dominantę semantyczną tam, gdzie mógł znaleźć najszerze pole do popisu. W swojej wersji „Wesela Figara” Mozarta żongluje słownictwem z trzech epok naraz, przesuwając akcenty, cieszy się samym brzmieniem oryginału. W słynnej cavatinie „Se vuol ballare” lekceważy ewidentną dominantę w postaci zjadliwych zdrobnień, w ostatniej zwrotce bawi się za to aliteracjami, których w tekście nie ma w ogóle. Barańczakowe „Wesele Figara” jest brawurą, niesłychanie muzykalną adaptacją, którą z powodzeniem można wystawiać w teatrze, zwłaszcza jeśli reży-

serowi zależy na redefinicji Mozartowskiego arcydzieła.

W przypadku „Podróży zimowej” Barańczak uznał za dominantę samą muzykę Schuberta. Tekst Wilhelma Müllera, owszem, sentymentalny i naiwny, nie zasłużył jego zdaniem na pełny przekład albo choć luźną adaptację. Sęk w tym, że oprawa muzyczna tych wierszy jest z pozoru równie naiwna i sentymentalna jak sama poezja. Dopiero połączenie tych dwóch elementów daje w efekcie nieprześcignione arcydzieło (czego dowodem setki nagrań), porażający intensywnością monodram o żalu za niespełnioną miłością, który z wolna przeistacza się w egzystencjalną refleksję nad ludzkim życiem.

Dodajmy, że chodzi o refleksję otwartą: nie wiadomo, czy narrator ruszył w dalszą drogę z tajemniczym lirnikiem i co właściwie uosabia ta postać. Przesłanie „Podróży” Barańczaka jest znacznie mniej uniwersalne. Poeta opisał wędrówkę przez lodową pustynię naszej cywilizacji i swoim zwyczajem zderzył ze sobą tyle porządków współczesnego świata – sarkazm, ironię, zwykłe, czasem wulgarne szyderstwo – że w rezultacie osłabił napięcie dramaturgiczne całości. Na końcu bohater rozpoznaje się w lustrze witryny. Podróż dobiegła kresu, refleksja zamknięta, po zimie nie przyjdzie wiosna.

Cykl Barańczaka wciąż jednak pobudza wyobraźnię i pozostaje jedną z ciekawszych pozycji w jego dorobku – choć zestarzał się w warstwie czysto językowej (jak prędko grzybieje poetycki ekwiwalent „nowoczesności”, znać po wierszach polskich futurystów). Jak na ironię, szkodzi mu też gorset Müllerskiej wersyfikacji (stąd sformułowania ocierające się o grafomanię, m.in. „aby nam się spało łżej”, powtórzone w refrenie jako „łżej jest przez to także je”) – wszystko po to, żeby obydwie wersje zrymowały się z „kineskopu czarny lej”). A przecież „Podróż zimowa” zyskuje w uważnym czytaniu. Traci za to w śpiewaniu, zwłaszcza solennym, pod muchą, we fraku, i z fortepianem w tle.

Barańczak-poeta napisał całkiem nową „Winterreise”. Barańczak-tłumacz przełożył wspólne dzieło Schuberta i Müllera na język, którego jeszcze nikt nie przyswoił na tyle, żeby w nim biegle śpiewać.

Test na solidarność

ANITA PIOTROWSKA

Bohaterka musi spłacić dług. Przemierza więc Moskwę w poszukiwaniu pracy, próbując zignorować ból, poporodowe krwawienie i niedającą się opanować laktację.

NIELEGALNI, NIEWIDOCZNI, NIEROZRÓZNIALNI – zakryta oszronionym kapturem Ajka wygląda tak, jakby przed chwilą wyłowiono ją z tłumy setek tysięcy podobnych imigrantek i imigrantów przybyłych w ostatnich latach z Azji Środkowej. W najnowszym filmie Siergieja Dworcowoja zima zaskoczyła moskiewskich drogowców. Widzimy, jak drobna Kirgizka brnie w śnieżycy przez ulice wielkiego miasta, jak walczy z zadyszka, połyka środki przeciwbólowe. Czujna kamera Jolanty Dylewskiej niemalże siedzi jej na plecach, to znowu dokładnie „skanuje” twarz, kiedy bohaterka nie zważając na nic sunie przed siebie gnana jakimś niewytłumaczalnym impulsem. Przed chwilą została w szpitalu nowo narodzone dziecko – za przykładem wielu innych kobiet z jej ojczyzny, szukających lepszego życia w stolicy dawnego imperium.

Nie jest to jednak rzecz o moralnych dylematach towarzyszących dramatycznej decyzji. Nagrodzona w Cannes Samal Jeslamowa wciela się w postać kobiety samotnej, zdesperowanej, zdanej wyłącznie na siebie, a zarazem osaczonej ze wszystkich możliwych stron. Chciałoby się rzec: jak zaszczute zwierzę, bo też naturalizm tego filmu bywa chwilami nazbyt dosłowny, wzmocniony jeszcze przez istotny wątek „weterynaryjny”.

Ajka musi spłacić zaciągnięty dług, przemierza więc Moskwę w poszukiwaniu każdej pracy, próbując zignorować nie tylko brak ważnych dokumentów, lecz także swój fizyczny ból, poporodowe krwawienie i niedającą się opanować laktację. Wraz z nią zanurzamy się w miasto ukryte: odwiedzamy jego piwnice i stry-

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika”.

Śłuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

© DOROTA KOZIŃSKA



MATERIAŁY PRASOWE / AGAINST GRAVITY

Kadr z filmu „Ajka”

chy szumnie zwane hostelami, w których gnieźdzą się imigranci, a także ich nielegalne gabinety lekarskie i obskurne zaplecza, gdzie wykonują najpodlejsze czynności za najmarniejsze pieniądze. Scena w podziemnej przetwórni drobiu niejednemu widzowi może pomóc w natychmiastowym przejściu na wegetarianizm. Dworcewoj zasłynął jako rasowy dokumentalista. Po latach z tą samą bezpośredniością przypatruje się fikcyjnym postaciom. Niezależnie, czy będą to dolegliwości kobiety w połogu, czy ciemna strona imigracji zarobkowej, nie ma dla widza taryfy ulgowej.

„Ajka” opowiada o różnych aspektach bycia „niewidocznym” i „niewidoczną” w społeczeństwie, któremu wygodnie jest nie widzieć i nie wiedzieć. Na ich los składa się coś więcej niż obcość, niepewność czy strach (w każdej chwili mogą zostać oszukani, wykorzystani, deportowani), lecz także brak intymności, który w przypadku bohaterki chowającej przed otoczeniem swoją wstydliwą tajemnicę staje się szczególnie bolesny. A skoro mamy być z Ajką na dobre i na złe, skoro od początku wchodzimy w jej przemoczone ubranie, Dworcewoj zmusza do całkowitego utożsamienia z kontrowersyjną bądź co bądź postacią. Prócz nerwowych, zsubiektywizowanych zdjęć, wyrażających wieczny niepokój bohaterki, daje się to odczuć w warstwie dźwięków – ostrych, wyraźnie przesterowanych, jakby przepuszczonych przez jej mózg. Płacz dziecka, głosy miasta czy telefoniczny dzwonek brzmią tu jak ostrzeżenie.

Urodzony w Kazachstanie rosyjski reżyser prześwieśla zamkniętą społeczność

moskiewskich Kirgizów bez krzty „śąsiedzkiego” sentymentalizmu. To właśnie przeniesione i zbrutalizowane na gruncie emigracji klanowo-mafijne układy nie pozwalają Ajce wybić się na samodzielność, wyjść z permanentnej niewidoczności. Porzucenie przez nią dziecka wydaje się być całkowicie sprzeczne z kulturą, która ją ukształtowała, a która w jej przypadku okazała się czymś nietrwałym wobec prymitywnej walki o przetrwanie. Życzliwość, jakiej sporadycznie Ajka doświadcza i która pomaga jej na chwilę wydostać się z opresji, pochodzić będzie od przypadkowo spotkanych kirgiskich kobiet, wspierających ją w kobiecej niedoli. Jako naturalista Dworcewoj zdaje się wierzyć przede wszystkim w siłę instynktów – choć przecież, na szczęście, nie tylko tych, które pozwalają za wszelką cenę utrzymać się na powierzchni.

Przesłanie tego filmu łatwo zredukować do biologicznego wymiaru macierzyństwa, bo Dworcewoj celowo odcina się od dywagacji na temat jego świętości czy nieświętości. Na pierwszym planie jest jednak właśnie ona – kobieta w sytuacji beznadziejnej, w otoczeniu skrajnie niegościnnym, z przyszłością gorzej niż niepewną.

Zamiast rozbudzać nadzieje, „Ajka” proponuje widzowi zwykły test na solidarność. I, co ciekawe, dotyczy on także tych decyzji, które na pierwszy rzut oka zasługują na całkowite potępienie. ©

AJKA (Ayka) – reż. Siergiej Dworcewoj. Prod. Rosja/Niemcy/Polska/Kazachstan/Chiny 2018. Dystryb. Against Gravity. W kinach od 30 listopada.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [1 – 7 XII]

1. 1983



Serial, reż. Agnieszka Holland, Kasia Adamik, Olga Chajdas, Agnieszka Smoczyńska, Polska/USA 2018, Netflix, od 30 XI

Pierwszy polski serial

wyprodukowany przez internetowego giganta łączy gatunek political fiction z atmosferą szpiegowskiego thrilleru i opowiada alternatywną wersję naszej historii. Tytułowy rok 1983 przyniósł zamachy terrorystyczne, które na kolejne dekady zakonserwowały w Polsce komunistyczny reżym i utrzymały świat w stanie zimnej wojny.

2. Słodki kraj



Western, reż. Warwick Thornton, Australia 2017, Cinemax, 2 XII, 20.00, 4 XII, 20.00, 7 XII, 21.40

W australijskim kinie

regularnie powraca temat rasowych rozliczeń, nigdy jednak nie znalazł on tak świadomego języka filmowego. Thornton w nagrodzonym na weneckim festiwalu antywesternie tworzy skomplikowany obraz relacji między białymi osadnikami i rdzennymi mieszkańcami kontynentu. Występują m.in. Sam Neill i Bryan Brown.

3. Gruba



Dokumentalny, reż. Maria Zmarz-Koczanowicz, Polska 2017, TVP2, 23.00

Wykonują jeden z najbardziej „niekobiecych”

zawodów. Sortowanie węgla w kopalni Rydułtowy to nie tylko ciężka fizyczna praca, ale także zmaganie się na każdym kroku ze stereotypami i zwyczajami panującymi „na grubie”. Uznana dokumentalistka z ciepłym dystansem portretuje codzienność trzech kobiet w różnym wieku.

4. Prawda o robotach zabójcach



Dokumentalny, reż. Maksim Pozdorovkin, USA 2018, HBO, 6 XII, 22.00, HBO2, 7 XII, 22.35

Współtwórca „Pussy Riot:

Modlitwa punka” tym razem przygląda się dzisiejszemu społeczeństwu pod kątem jego robotyzacji. Nawiązując do „etyki robotów” Isaaka Asimova, rozmaici inżynierowie, filozofowie i dziennikarze wypowiadają się na temat zagrożeń, jakie mogą spowodować inteligentne maszyny, coraz bardziej obecne w naszym życiu.

KIEDY CZŁOWIEK ZNIKA

To, co gnije i butwieje, jest dla dziecka fascynujące. Martwy chrząszcz? Super! Martwy ptak? Rewelacja, widać mu flaki! – mówi Tomasz Samojlik, przyrodnik i rysownik.

ADAM ROBIŃSKI

ROZMOWA Z TOMASZEM SAMOJLIKIEM, HISTORYKIEM PRZYRODY oraz jej popularyzatorem wśród dzieci i młodzieży, przypomina podręcznikowy scenariusz filmu lub komiksu. Z którejkolwiek strony ją zacząć, wątki szybko zaczynają się przeplatać i uzupełniać. Szczegół prowadzi do ogółu, żart do spraw poważnych, a z pozoru niewinny rysunek staje się komentarzem do bieżącej polityki. Dlatego, jak to w scenariuszu, trzeba zacząć od scenografii.

– Witaj w miejscu, gdzie według niektórych robi się najlepszą naukę – mówi na powitanie. Jest koniec listopada, długa, słoneczna jesień za nami. Nie ma już złocących się liści, świeżej bryzy i ciepła, które każe trzymać szaliki i czapki na pawlaczu. Polska tonie we mgle, a dłonie grzeją się w kieszeniach kurtek. Kiedy Simona Kossak pierwszy raz zobaczyła Puszczę Białowieską, powiedziała, że w listopadzie każdy nizinny las jest po prostu brzydki, wszystko gnije, jest beznadziejnie melancholijne i smutne. Dlatego, choć z Samojlikiem umówiliśmy się na spacer, zaczynamy od herbaty w gabinecie nr 119 Instytutu Biologii Ssaków Polskiej Akademii Nauk. To samo serce Białowieży, „między parkiem pałacowym a cerkwią”, jak tłumaczył wcześniej przez telefon.

Zarysowawszy otoczenie, pora postawić pierwsze kreski autoportretu bohatera. Jest 1984 r., Hajnówka, Podlasie.

– Nie pamiętam oczywiście, żebym jako sześciolatek stanął przed rodzicami i oświadczył, że nie zostanę kosmonautą, tylko rysownikiem komiksów – mówi Samojlik. – Ale utarło mi się w pamięci, że kiedy mama zapisała mnie do biblioteki miejskiej, przyniosłem z niej jakieś książki, których już nie pamiętam, i jeden komiks, „Gucio i Cezar”. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

Miłość z czasem przerodziła się w dojrzałe uczucie względem literatury. Jego rodzice do dziś trzymają oprawiony u introliigatora stary rocznik „Fantastyki”, którą prenumerował. Przez całe liceum był przekonany, że zostanie pisarzem. I to mimo faktu, że swoje pierwsze komiksy opublikował w pierwszej klasie liceum.

– Byłem zapatrzony w Billa Wattersona [twórcę „Calvina i Hobbesa” – red.] i amerykański model komiksu prasowego, czyli paski w każdym wydaniu, stały bohater i zabawne gagi. Moimi postaciami były nadmuchane balony z helem, które

wymieniały się kąśliwymi uwagami. Humor prymitywny, ale spodobał się na tyle, że kilka odcinków poszło w „Kurierze Podlaskim”. Satysfakcja była ogromna, ale nie przełożyło się to na rysowanie pełnometrażowego albumu komiksowego.

Ten opublikował dopiero po studiach, gdy nieoczekiwanie dla samego siebie zaczął robić karierę naukową. Kiedy, jak sam mówi, „było już za późno, by odwrócić bieg wydarzeń”.

Prawdy objawione

Próbował zdawać na prawo, ale dostał się na tworzona właśnie europeistykę na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Byli próbnym rocznikiem, kierunek dopiero się organizował, więc magistra musieli robić z historii. Był 2002 r. Zakład Badania Ssaków PAN w Białowieży szukał specjalisty, który pomógłby w organizowaniu grantów naukowych. Samojlik się sprawdził, został administratorem projektów europejskich. Kilka miesięcy po tym, gdy zaczął pracę w Białowieży, Zakład Badania Ssaków stał się samodzielnym Instytutem Biologii Ssaków i przeprowadził do nowoczesnego budynku. I tak oto gabinet numer 119 został zarysowany w czasie i przestrzeni.

Didaskalia: pokój jest nieduży, z jednym tylko biurkiem. Na ścianie przy wejściu szczegółowa mapa całej Puszczy Białowiejskiej z wydzieleniami. Na parapecie kilka książek o żubrach, na szafce pluszowa ryjówka i kilkanaście komiksowych postaci z plasteliny lepionych dziecięcą ręką, najwyraźniej ślad po wizycie czytelników.

– Już kilka miesięcy po przyjęciu do pracy zacząłem interesować się badaniami instytutu i tym, co robią koledzy i koleżanki. Szukać jakiejś działki, którą mógłbym się zająć w tych murach. Moje historyczne wykształcenie przydało się, kiedy uświadomiłem sobie, że sporo jest do zrobienia w dziedzinie historii środowiska Puszczy Białowieskiej. Pozycji na ten temat było sporo, ale kiedy przyglądałem im się z bliska, widziałem mnóstwo sprzeczności. Opartych na lokalnych legendach prawd objawionych, których nikt nie sprawdzał, nie weryfikował źródłowo. Na przykład takich, że skoro Puszcza była królewskim rezerwatem łowieckim, to królowie spędzali tu po pół roku polując na wszystko, co się rusza. Pochylałem się nad źródłami i widziałem, że to wcale tak nie wyglądało. To mi dało motywację do rozpoczęcia prac nad doktoratem.





→ – Temat trochę obok głównych zainteresowań instytutu – zauważam.

– I tak, i nie. Badając jakikolwiek gatunek czy proces ekologiczny, a więc to, czym zajmują się moje koleżanki i koledzy, nie da się wyciągnąć wniosków dotyczących współczesnej sytuacji bez sięgnięcia do przeszłości. Nie da się badać obecnych zależności w przyrodzie bez odwołania się do tego, co było dawniej. Sto czy tysiąc lat temu. Nie możemy mówić o szansach przetrwania żubra, jeśli nie znamy całej jego historii sprzed wyginięcia i po wyginieciu.

Zaczynając pracę naukową, musiał wdeptywać ścieżki w nowej dziedzinie. Historia przyrodnicza łączy nauki historyczne z ogólnie pojętym przyrodoznawstwem. W jego przypadku sprowadziło się to do odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób człowiek wpłynął w przeszłości na lasy Puszczy Białowieskiej.

Ale zanim znalazł pierwsze odpowiedzi, echem odbiła się jego młodzieńcza pasja. Komiks nazywał się „Wiedźmun” i był prywatnym hołdem złożonym twórczości Andrzeja Sapkowskiego. Narysował go w czasie wakacji, po miesiącu miał gotowy pierwszy tom, „Dwie Wieże Funduszu Emerytalnego”. To była szyta grubymi nićmi parodia, w której każda postać miała swój pierwowzór w oryginalnej sadze o wiedźminie. Był Gierwald Zrywi (na pytanie „Z jakiej Rywi?” odpowiadał „Zrywikapturn”), była księżniczka Czyrak w miejsce popielatowłosej, smukłej Ciri. Główny wątek komiksu to zmęczenie tytułowego bohatera. Wiedźmun jest spracowany, nazabijał się już potworów i chce odejść na emeryturę, ale zamiast nich teraz piętrzą się przed nim biurokratyczne problemy.

„Wiedźmun” był chwilowym żartem, od którego uwagę odciągnęła praca w instytucie. Ale to nie tak, że całkiem porzucił po nim komiksy. Rysował je, tylko że do szuflady. Miał pomysły, zawsze zostawiał je jednak po czterech, pięciu stronach. Zamiast nich, wołał pisać poważne książki naukowe i popularnonaukowe.

Ściana obojętności

Tak było do czasu, kiedy w jego życiu pojawili się istotni bohaterowie pierwszoplanowi: Jagienka i Tymek.

– Dzieci pytały: „Tata, a czym ty się zajmujesz?”.

– Pytały, ale nie za bardzo to rozumiały. Kiedy się pojawiły, ja z kolei zrozumiałem, że popularyzacja osiągnięć nauki omija dużą grupę fantastycznych odbiorców – opowiada Samojlik. – Zacząłem więc kupować i czytać im te książeczki, które miały przyrodę w tle lub zwierzęcych bohaterów. I co chwila spotykał mnie zawód, bo na przykład pięknie wydana książka z borsukiem na okładce z życiem tychże borsuków nie miała nic wspólnego. Frustracja była ogromna, tym większa, że dzieci Ignęły do tych historii. Zacząłem więc opowiadać im do snu o żubrze Pompiku.

Istotna postać drugoplanowa: żubrzyk pokrzywdzony przez los, bo urodzony na jesieni, a więc dwie pory roku za późno. Nie ma czasu, by zmęczyć przed zimą. W na-



TOMASZ SAMOJLIK:

Uświadomiłem sobie,
że mogę narysować padlinę
i wyłazące z niej larwy
i żadne dziecko nie poczuje
się zniesmaczone.

turze ciężko byłoby mu przeżyć. Na szczęście ten jest tylko rysunkowy. Skąd imię?

– Żubry, które przychodzą na świat w rezerwacie hodowlanym w Białowieży, a także inne polskie żubry linii białowiejskiej dostają imiona i wpis do księgi rodowodowej. Zasada jest taka, że te imiona powinny zaczynać się od liter PO. Chciałem spełnić ten wymóg, bo dzieci bardzo fascynował fakt, że żubry otrzymują oficjalne imiona. Równocześnie znaleźć sympatyczne imię dla mojego bohatera. Na początku, ale krótko, był Pomponik, który szybko stał się Pompikiem. Jego siostra nazywa się Polinka. Pomruk, tata żubr, dostał imię po autentycznym samcu, jednym z ojców założycieli współczesnej, odnowionej populacji. Mamę, Poradę, myślałem, że sam powołuję do życia, tymczasem taka żubrzyca też już kiedyś była.

Kiedy Pompik (poniżej na rysunku) stał się pierwsze kroki, Jagienka miała dwa i pół roku, a Tymka nie było jeszcze na świecie. Dziś mają odpowiednio 13 i 10 lat. Pompik z opowiastki do snu stał się bohaterem serii książeczek dla dzieci. Któregoś razu Samojlik poszedł z nimi do szkoły, by trzecioklasistom opowiadać o przyrodzie. Okazało się, że to była trzecia klasa gimnazjum. Odbił się od ściany obojętności. Wtedy pomyślał, że komiks może być medium skuteczniejszego popularyzowania badań wśród nieco starszych odbiorców.

W 2010 r. opublikował „Ostatniego żubra”, czarno-biały komiks z fabułą osadzoną w autentycznym tle historycznym roku 1919. Do Puszczy Białowieskiej przyjeżdża prof. Władysław Szaffer, aby ocenić stan Puszczy po I wojnie światowej i przy okazji sprawdzić los białowieskich żubrów.

Z rozpaczą stwierdza, że gatunek wyginął. I wtedy pojawia się wątek fantastyczny: jeden mały żubr przetrwał zagładę, chodzi po Puszczy i szuka swoich współplemieńców. Wędrując razem z nim, czytelnik dostaje pigułkę wiedzy przyrodniczej i lokalnego podlaskiego kolorytu.





MARIA KRZESIAK

Tomasz Samojlik rysuje komiks „Zew padliny”, Białowieża, sierpień 2018 r.

Utarty szlak nauki

Pomysł chwytła. Kolejne komiksy w dorobku Samojlika to m.in. „Ryjówka przeznaczenia”, „To nie jest las dla starych wilków”, „Bartnik Ignat i skarb puszczy”. Wszystkie realizowane według tego samego zamysłu: w rozrywkowym, humorystycznym opakowaniu przemycić trochę faktów. Ile?

– Nie myślę o proporcjach. To wszystko musi się łączyć naturalnie. Kiedy za bardzo gładzę, za dużo żargonu wplatam, to mam w domu recenzentów, którzy natychmiast to wyłapują. Ale czasem trudno mi się powstrzymać przed włączeniem do fabuły czegoś ściśle naukowego i niezwykle fascynującego, choćby zjawiska Dehnela [chodzi z grubsza o to, że na zimę ryjówka potrafi zmniejszyć swoją masę i rozmiary – red.].

– Gdzie jest większa satysfakcja: w nauce czy w twórczości?

Samojlik: – To nie tak. To dwa zupełnie osobne uniwersa. W świecie książek i komiksów reakcja na to, co robię, jest błyskawiczna. Publikuję i od razu wiem: trafiłem czy dałem ciała. Muszę się dopasować do odpowiedniego poziomu wrażliwości. To wielka satysfakcja, ale zupełnie nieporównywalna z tą, która płynie ze świata nauki. Naukowiec musi być przygotowany na mozolną, cierpliwą pracę przez długie miesiące. Potem próbuje opublikować swoje badania, co się diametralnie różni od zwykłej publikacji. Wysyła się manuskrypt do jednego periodyku, czeka na recenzję i decyzję, jeśli jest odmowna, to procedurę powtarza się z innym piśmem. Nie powiem, jaki mam rekord odmów, ale było ich dużo. W międzyczasie naukowiec zbiera dość uwag, by poprawić pracę i trafić wreszcie na periodyk o takim profilu, który będzie pasował. Nauka ma swój utarty szlak, jakakolwiek próba odstępstwa od normy kończy się czerwoną kartką. Może się to wydawać ograniczeniem, ale jest konieczne, by nauka pozostała nauką.

Nasz protagonista jest już postacią wyrazistą i złożoną. Pora na nową scenografię. Wnętrze zamieniamy na plener. Choć najatrakcyjniejszym miejscem w Puszczy Białowieskiej jest niewątpliwie Obręb Ochronny Rezerwat, gdzie rośnie najstarszy,

dziewiczy las, na cel spaceru wybieramy park pałacowy. Założono go w 1895 r. jako część carskiej rezydencji myśliwskiej, w stylu angielskim, zwanym też krajobrazowym. Miał stać się źródłem uniesień płynących z kontemplacji na łonie natury. Ale była to natura daleka od dzikości, starannie przemysłana, wyreżyszerowana. Każde drzewo w parku pałacowym – nieważne jak stare – posadzono ludzką ręką. Scenografia w sam raz do pytania o wpływ człowieka na Puszczę.

– To bardzo polityczne zagadnienie – zauważam. Idziemy w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, a parkowe ścieżki rozgałęziają się i łączą jak wątki naszej rozmowy.

– Dzisiaj tak. Ale przez długie lata to był niczym niewyróżniający się temat badawczy, który nie interesował nikogo poza garstką specjalistów, przewodników i miłośników lokalnej historii. Na czołówkach gazet pojawił się dopiero w związku z bardzo przykrymi wydarzeniami ostatniego roku – mówi Samojlik.

Notatka z kolaudacji: eksploatacja starodrzewów w części gospodarczej Puszczy przez Lasy Państwowe, którą przerwał dopiero wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, odbiła się tak głośnym echem, że nie trzeba jej tu szerzej objaśniać.

Niedźwiedź nie je w Uber Eats

Zanim jednak do tego doszło, Samojlik spotkał w pociągu z Hajnówki do Warszawy dziennikarza Adama Wajraka. Znali się już wcześniej i współpracowali, tym razem mieli okazję zastanowić się, co mogliby razem zrobić dla dzieci. Ale nie słodką opowieść o zwierzątkach. „To musi być coś mocnego” – zgodzili się. Tak powstały komiksy „Umarły las”, „Nieumarły las” i „Zew padliny”, do których Wajrak dopisał przyrodnicze pogadanki.

– Pokażmy najpaskudniejszą stronę natury. Bo to, co gnije i butwieje, jest dla dziecka fascynujące. Martwy chrząszcz? Super! Martwy ptak? Rewelacja, widać mu flaki! Wcześniej trochę cenzurowałem swoje komiksy, ale Adam przekonał mnie, że to nie ma sensu. Przecież niedźwiedź nie zamawia z Uber Eats, musi na nie zapracować, zapolować. Sóweczka zabija wszystkie gryzonie w polu widzenia. Uświadomiłem

→ sobie, że mogę narysować padlinę i wyłazłą z niej larwy i żadne dziecko nie poczuje się zniesmaczone.

Tematem, który od razu przyszedł im do głowy, było martwe drewno. Dlaczego leży w lesie? Co się dzieje pod korą? I kiedy komiks był już bardzo zaawansowany, zaczęła się afera, a martwe drewno znalazło się w centrum sporu o Puszczę.

Zdarzało się potem, że gdy razem z Wajrakiem jechali w Polskę na spotkania autorskie, ktoś na nich krzyczał, że politykują. Ktoś inny sugerował z kolei, że zwierzęcy bohaterowie to zakamuflowani politycy. Doszukiwano się wśród nich nawet ministra Szyszki.

– A nie myślałeś, żeby rzeczywiście narysować taką satyrę?

– Nie, bo to, co obserwujemy, to sekunda na zegarze życia Puszczy. Ona ma 12 tysięcy lat, procesy lasotwórcze zaczęły się już po zlodowaceniu. Mniej więcej 7 tysięcy lat temu był już komplet gatunków, które mamy dziś. Mówimy o tym samym lesie, po którym chodzili królowie Polski! Mało tego, wcześniej, w czasach Chrystusa, żyli w nim ludzie, którzy jakoś wiązali koniec z końcem, żyjąc z tego, co daje im Puszcza. I teraz my zaczynamy się mądrzyć, co tu powinno rosnąć, a co nie? Jakie to aroganckie! Szczerze ufam, że po sporze o Puszczę pozostanie tylko wstyd.

– A jak się robi naukę w miejscu wrzuconym w tak głośny polityczny spór?

– Trudno, gdy naukowe stwierdzenia są dyskredytowane przez osoby, które mają wyłącznie emocjonalne argumenty. A naukowiec nie może jednak zniżyć się w dyskusji do poziomu bruku. Możemy pisać listy otwarte, uwypuklać fakty, podkreślać kłamstwa, ale w żaden sposób nie pakujemy się w debatę polityczną. Jestem stąd, z Hajnówki, mam w bliskim otoczeniu osoby głośno mówiące o potrzebie ochrony całości Puszczy Białowieskiej. Podkreślają fakt, że tysiące ludzi z całego świata przyjeżdżają tutaj co roku nie z przypadku. I że nie będą przyjeżdżać, żeby zobaczyć świeżo zasadzony młodnik. Z drugiej strony mam dużo znajomych wśród leśników. Jeszcze kilka lat temu byłem przekonany, że wszyscy idziemy w jednym kierunku, oni w swoim środowisku, ja w swoim, ale cel mamy ten sam i jest nim dobrostan Puszczy. Teraz te relacje się pokomplikowały.

Zatrzymujemy się przed budynkiem dyrekcji Białowieskiego Parku Narodowego. Zwracam uwagę na głąz z pamiątkową inskrypcją. „Prastara puszczo, trwaj wiecznie w swej potęgde i pięknie” – brzmi przesłanie od uczestników konferencji naukowej z 2009 r. Samojlik ucieka wzrokiem kawałek dalej. Zaczyna rysować palcem w powietrzu zarys królewskiego dworu dynastii Wazów. Uczestniczył w jego odkryciu wraz z archeologami – kopali tuż pod trawnikiem przed budynkiem dyrekcji i muzeum przyrodniczego BPN – Nie wiemy, jak dokładnie wyglądał, ale zabudowania sięgały mniej więcej do tych kamieni. Możemy sobie wyobrazić na podstawie zachowanych planów z epoki parterowy budynek z poddaszem. Małe okna, bo zimy były w tym okresie szczególnie chłodne. W środku dwanaście pieców, centralny i po jednym w każdej izbie. Po zburzeniu tego dworu budowano kolejny, za Sasów, za Stanisława Augusta dobudowano mu zaś dwa mniejsze budynki dla służby i gości. A na wzgórzu, pomiędzy tymi dębami, znajdowała się lodownia.

Na terenie Starej Białowieży
**odkryto myśliwski dwór
Jagiellonów.** Ścieżka
w uroczysku Zamczysko
okazała się biec przez
środek cmentarza, tuż pod
nią znaleziono tam czaszkę
paroletniej dziewczynki.

Uniewinnić wilka

Takich archeologicznych sensacji jest w Puszczy więcej. Na terenie Starej Białowieży odkryto myśliwski dwór Jagiellonów. Ścieżka w uroczysku Zamczysko okazała się biec przez środek cmentarza, tuż pod nią znaleziono tam czaszkę paroletniej dziewczynki. Z kolei na Polanie Berezowo odkopano zagubioną w lesie osadę sprzed 2 tysięcy lat. Zamieszkujący ją ludzie wytapiali żelazo z rud darniowych zebranych w puszczańskich starorzeczach, wytwarzali narzędzia, hodowali bydło, polowali na zwierzynę leśną. Bada-

nia palinologiczne potwierdziły uprawę zbóż dokładnie w tym okresie.

– Za każdym razem, kiedy człowiek z Puszczy znika, choćby zrobił jej nie wiadomo co, ona natychmiast zaczyna działać – mówi Samojlik. – W doktoracie zrobiłem symulację, ile potrzebuje czasu, by powrócić do stanu naturalnego. To maksymalnie kilkaset lat. Ale już po stu latach las pionierski jest nie do odróżnienia od tego występującego naturalnie. Te wszystkie znaleziska zawdzięczamy temu, że właściwie od XIV wieku Puszcza objęta jest jakąś formą ochrony, czy to carski nakaz, czy rezerwat. Stanowiska znajdują się parę centymetrów pod ziemią, w korzeniach czy wykrotach, bo nikt ich nigdy nie zaorał.

Zadaję jeszcze jedno polityczne pytanie: – Jak duża jej część jest rozpoznana pod kątem osadnictwa?

– Projekt skanowania laserowego objął całość. Jeśli w terenie jest parometryowy kopiec, to na ekranie wyróżni się kilkoma pikselami. Ale diabeł tkwi w szczegółach, bo każdy taki obiekt trzeba potem zweryfikować. Nie wolno ich wrzucać na jedną mapę i twierdzić, że skoro w Puszczy są tysiące obiektów pochodzenia ludzkiego, to jest to dowód na to, że jest ona sztuczna. A tak zrobiło swego czasu Ministerstwo Środowiska. Niektóre z tych obiektów mają trzy tysiące lat, inne dwa, jeszcze inne kilkaset, a część pochodzi z XX wieku. To ogromny przedział czasowy. Nie ma podstaw, by twierdzić, że są dowodem na to, iż Puszcza nie jest lasem naturalnym.

Wychodząc z parku, wracamy jeszcze do komiksów. Postaci z Samojlikowego „Wiedźmuna” walczyły ze złymi bohaterami bajek. Metodą na ich zwyciężenie była prosta konstatacja, że bajka i baśń to nie to samo. Definicja bajki jako krótkiego, wierszowanego utworu o charakterze żartobliwym rozkładała każdego potwora na łopatki. Ale bajka powinna mieć też morał.

U Samojlika morału można poszukać w „Ambarasie”. Wznowiona w tym roku książka to historia Czerwonego Kapturka wywrócona na lewą stronę. Bohaterem jest wystraszony wilk, który śmiertelnie boi się człowieka.

– Zależało mi na tym, żeby raz na zawsze zdyskwalifikować tego „kapturka”. Wyeliminować nieszczęsne skojarzenie wilka ze złem. Bo nie ma czegoś takiego jak złe zwierzęta, tak samo jak nie ma i dobrych. One są wrzucone w pewien kontekst biologiczny. Zachowują się tak, jak je zaprogramowała natura. Bzdurą jest, że wilka uważamy za złego, a taką sikorkę za słodką. Gdyby ludzie wiedzieli, jak wilk się musi namęczyć, żeby cokolwiek upolować, ile to wymaga współpracy z resztą watahy! A sikorka? Przecież ona wydziobuje mózgi nietoperzom, które dopiero co wyszły z hibernacji!

© ADAM ROBIŃSKI

Lektor: Cztery lata w słońcu



■ **Michael Haag**
DURRELOWIE Z KORFU
przeł. *Berenika Janczarska*,
Noir sur Blanc,
Warszawa 2018, ss. 222.

WIEM, KTO NA PEWNO SIĘGNIE po tę książkę. Po pierwsze, wielbiciele pisarstwa Lawrence'a Durrella (1912–1990), autora „Kwartetu aleksandryjskiego” i „Kwintetu awiniońskiego”, przyjaciela Henry’ego Millera. Po drugie, ci, którzy kochają wspomnienia z dzieciństwa na Korfu autorstwa Geralda Durrella (1925–1995), w wieku dojrzałym działacza na rzecz ochrony gatunków zagrożonych wyginięciem

i twórcy ogrodu zoologicznego na Jersey. Trzy tomy tych wspomnień to idylliczny i niezwykle zabawny portret rodziny (bracia Lawrence, Leslie i Gerald, siostra Margo i ich matka Louisa), która w połowie lat 30. zeszłego wieku opuszcza zadeszczoną i reumatyczną Anglię, by na cztery lata przenieść się na słoneczną wyspę. Michael Haag zebrał, uporządkował, a niekiedy sprostował fakty

dotyczące pobytu Durrellów na Korfu (jak mawiała Margo Durrell: „Jeśli chodzi o moją rodzinę, to nigdy nie wiem, co jest prawdą, a co fikcją”). Książka nie ogranicza się do czterech lat greckiej idylli, ale opisuje też wcześniejsze dzieje Durrellów i opowiada o ich dalszych, wojennych i powojennych losach – poznajemy więc także historię słynnego dziś The Durrell Zoo.

Louisa, jej mąż Lawrence Samuel i wszystkie ich dzieci urodzili się w Indiach Brytyjskich. Pan Durrell, inżynier, podejmował kolejne prace – od Pendżabu po Arakan w Birmie, od rozlewisk Brahmaputry po podnóża Himalajów. Po jego nagłej śmierci w 1928 r. wdowa zdecydowała się na powrót, a właściwie pierwszy w życiu przyjazd do Anglii. Źle się adaptowała w chłodnej ojczyźnie, depresję leczyła alkoholem, przeprowadzka

na Korfu miała więc też cel terapeutyczny. Terapia okazała się skuteczna, Lawrence rozwinął na Korfu pisarski talent, a Gerald oddał się zoologicznym pasjom, wspierany przez Teodora Stephanidesa – lekarza, poetę i biologa-amatora. To najważniejsza obok Spirosa-Amerykanina, taksówkarza i opiekuna, postać z kręgu Durrellów. Pojawiają się też żony Lawrence’a – Nancy, z którą wraz z Millerem odbywali na Korfu ekstazyjne nagie kąpiele; Aleksandryjka Eve Cohen, pierwowzór Justyny z „Kwartetu”. Jest i mroczna kucharka Lugarecja, tak barwnie sportretowana przez Geralda. Nad wszystkimi góruje jednak roztargniona Louisa, kochająca matką udzielającą swojemu ekscentrycznemu potomstwu nieograniczonego kredytu zaufania. Mnóstwo pięknych zdjęć! © P



„Tygodnik Powszechny Historia” „Dał nam siłę” – na 40. rocznicę wyboru Karola Wojtyły na papieża

- Po 33 dniach pontyfikatu umiera Jan Paweł I. Kardynałowie, ponownie zebrani na konklawe, wybierają na papieża metropolitę krakowskiego Karola Wojtyłę. Jak do tego doszło i jak zareagował świat?
- Akt pokuty za grzechy Kościoła, nowe otwarcie w dialogu z innymi religiami, wyczulenie na biedę, pielgrzymki, próba budowy nowego feminizmu: 27 lat tego pontyfikatu nieodwracalnie zmienia Kościół
- Już za życia mówiono o nim „Jan Paweł Wielki”. Co ze spuścizny papieża przetrwało do dziś?

Wśród autorów:

ks. Adam Boniecki, abp Grzegorz Ryś, Marek Zając, Katarzyna Wiśniewska, Anna Turowiczowa, Agnieszka Sabor, Józefa Hennelowa, Józef Majewski, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk

„Tygodnik Powszechny Historia”

– do nabycia w dobrych punktach z prasą i salonach prasowych

STANISŁAW

Mancewicz: O łzach



UMIARKOWANIE UMIERA NA NASZYCH oczach, jak nie przymierzając pszczoły. Mamy oczywiście wyjątki w tym trendzie, a najpowszechniej spotykanym jest szalone umiarkowanie w myśleniu. Zauważalna jest wręcz moda w umiarkowaniu, jeśli idzie o ruszanie głową.

Niemal w każdej dziedzinie amatorskie umiarkowanie jest wypierane przez profesjonalnie uprawiany maksymalizm, idący pod rękę z karmiącą matką wszelkich wyolbrzymień, czyli egzaltacją. Są oczywiście branże, to zupełnie jasne, w których by istnieć, trzeba iść na całość, zzuć z siebie wszystko, włącznie z majtkami, a te najlepiej zdjąć sobie publicznie przez głowę. Nie trzeba dodawać, że spektakle tego gatunku były zawsze podstawą szeroko pojętej rozrywki. Dziś jednak, jak okiem sięgnąć, owe formy wyrazu objęły cały horyzont. Być może dlatego, że zaiste wszystko stało się rozrywką. Po prostu.

Egzaltacja stała się niezbędnym elementem wyrażania czegośkolwiek. Bez egzaltacji nie ma analizy ani informacji. Nieegzaltowany komentarz, zwany suchym, jest bezwartościowy. Rzecz jasna egzaltować można się cynicznie i pod zamówienie, dla sławy i pieniędzy po prostu, ale też – nie kryjmy – egzaltowani naturszczycy są wśród nas, a ich rzesze rodzą się na pniu codziennie. Egzaltacja jest ich życiem, a rozdzierające parabolizowanie jest ich jedynym żywiołem. Łkające serce – zważmy – jest podstawowym mechanizmem uruchamiającym aparat mowy.

Żalenie się głównie nad sobą to jedyna propozycja. Publiczne beki i demonstrowanie przeróżnych lęków stały się ideologią łączącą ludzi o bardzo różnych światopoglądach i gustach. Aż dziwne, że nie powstał dotąd żaden ruch bądź partia polityczna o nazwie dajmy na to Nasza Łza. Śmiemy twierdzić, że ugrupowanie takie zdobyłoby większość konstytucyjną.

Jeśli idzie o przykłady, to weźmy sławne już na cały świat lakrymacje wicepremiera Glińskiego na temat własnego męczeństwa. Każdemu wolno, rzecz jasna, beczeć na swój temat. Ale w dzisiejszych warunkach musiało się to skończyć maksymalizowaniem po całości. Gliński, będąc zaledwie politykiem partii rządzącej, partii biorącej czynny udział w zwyczajnej dla tej branży skrajnie nieestetycznej i nieetycznej jatce politycznej, partii będącej zarówno kreacją, jak i celem absolutnie najwyczajniejszych aktów niechęci przeciwników, ogłosił się z tej okazji prześladowanym przez hitlerowców Żydem. W istocie było to zagranie pełną – że się wyrazimy – pulą. Nie da się ukryć, że tą parabolą Gliński zdjął główną nagrodę jarmarku z czubka namydlonego słupa, po którym wspinają się ku radości gawieździ żądni sławy lokalni siłacze.

Niesłuchanie rzadko, rzec trzeba, media światowe zajmują się ogłaszaniem zwycięzców we wspinaniu na namydlone słupy. Zwłaszcza w zawodach, które odbyły się poza granicami świata widzialnego. Tym razem się udało. Pełny opis zwycięstwa pana Glińskiego, jego wiktorii ogłoszonej na owym czubku, odnotowały największe serwisy informacyjne planety.

Szczere gratulacje, bo konkurentów jest – trzeba przyznać – mnóstwo. Czempionat w nieumiarkowaniu, w prezentowaniu koktajlu zmiksowanego z egzaltacji, bujdy na resorach i łez krokodyla, został zdobyty. Konkurencja została na starcie, w zgryzocie, sflaczeniu, ponizeniu i poczuciu zagapienia. Wypada może dodać, że można jeszcze spróbować zawalczyć, bowiem prześladowanie Żydów przed II wojną światową jest jeszcze do przebiccia ich losem w czasie jej trwania. Trudno zachęcać pana Glińskiego do tej szarży, ale zdaje się nie bardzo trzeba.

© P

BARTOSZ MINKIEWICZ





S-NET

GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

**INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING**

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ Z SIECI ILE SIĘ DA.

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator

Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl

XXII EDYCJA KONKURSU

Grand Press 2018

Grand Press

NAGRODY W KATEGORIACH:

NEWS
DZIENNIKARSTWO ŚLEDTCZE
PUBLICYSTYKA
REPORTAŻ
WYWIAD
DZIENNIKARSTWO SPECJALISTYCZNE

Dziennikarz Roku

Magazyn „Press” zaprasza ponadto kolegia redakcyjne wszystkich pism, stacji radiowych i telewizyjnych oraz profesjonalnych redakcji internetowych w Polsce do udziału w wyborze Dziennikarza Roku 2018.

Nominacje będą przyjmowane **do 4 grudnia br.**
 Regulamin konkursu na: www.grandpress.pl.

PRZYZNANE ZOSTANĄ TEŻ NAGRODY

Grand Press Digital
Grand Press Economy
Nagroda im. B. Tomaszewskiego

Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród
 odbędzie się 11 grudnia 2018 roku w Warszawie
 w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN



ORGANIZATOR

press



MECENAS KONKURSU



SPONSORZY KONKURSU



HUAWEI



GRUPA LUXMED



ZAKS 100



Biedronka



Grupa Żywiec



Google

PARTNER NAGRODY
 GRAND PRESS DIGITAL

facebook

PARTNER NAGRODY
 GRAND PRESS ECONOMY

allegro

PARTNER NAGRODY
 IM B. TOMASZEWSKIEGO

BGZ BNP PARIBAS

DZIENNIKARZ ROKU

GRAND PRESS